

# Święty kontra Scotland Yard

Leslie Charteris



calibre 0.9.27

**LESLIE CHARTERIS**

**ŚWIĘTY KONTRA**

# SCOTLAND YARD

**TYTUŁ ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO: THE SAINT V. SCOTLAND YARD**

**PRZEŁOŻYŁ JANUSZ PULTYN**

*Paulinie*

*za szczęśliwe dni*

**CZEŚĆ I**

**SKARB PAŃSTWA**

**ROZDZIAŁ I**

Zanim szeroki świat dowiedział się czegokolwiek o dżentelmenie noszącym przydomek —

Skorpion, niektórzy znali go dobrze. Każdy z nich, na pewno, dałby wiele za wiadomość, skąd ów pan

pochodzi i gdzie mieszka.

Kaprys historii sprawił, że jeden z tych ciekawskich miał bezsporne prawo do noszenia nazwiska Montgomery Bird, a niewątpliwie zgodzą się wszyscy, że Ptak to bardzo śmieszne nazwisko dla takiego typka.

Montgomery Bird był szczupły, niski i bardzo wytworny. Nosił pasiaste kamasze, lecz przy bliższej znajomości okazywało się, że posiada gorsze wady. Kronikarz ma jednak przykry obowiązek obiektywnego opisywania faktów. Ptak był, na przykład, jedynym właścicielem nocnego klubu o oficjalnej nazwie „Eyrie”, lecz powszechnie znanego pod bardziej odpowiednim mianem „Ptasiego Gniazda”. W tym to bardzo marnym lokalu zetknął się pewnego wieczoru ze Skorpionem.

To, że znalazł się tam Simon Templar, było niemal przypadkiem. Już od pewnego czasu interesował się, czysto zawodowo, sprawami Montgomerego Birda i stwierdził, że nadszedł czas na zebranie owoców tego zainteresowania.

Nie wiadomo, jak został członkiem „Eyrie11, ale Simon Templar zna prywatne sposoby załatwiania

takich spraw. W każdym razie, bez wahania, pozdrowiony przez portiera, przekroczył progi lokalu.

Wspiął się stromymi schodami na przerobiony strych, gdzie mieścił się klub, odwzajemnił uśmiech dziewczyny w recepcji i oddał kapelusz lokajowi w liberii. Zatrzymał się przez chwilę przed szklanymi

drzwiami do sali i zapalił papierosa, przyglądając się leniwie obecnym. Wiedział już, że pan Bird ma

zwyczaj spędzać każdy wieczór wśród swoich gości i chciał się upewnić, że i dzisiaj tak będzie. Jednak

jego następne posunięcia były wymuszone i odbiegały nieco od powziętego planu.

Bird spotkał się już przedtem ze Skorpionem. Gdy podszedł kelner z wiadomością, że chce z nim porozmawiać dżentelmen, który nie podał nazwiska, pan Bird nie okazał zdziwienia. Wyszedł do recepcji, kiwnął głową gościowi, zapisał go pod nazwiskiem J.N. Jones i bez słowa zaprowadził do swego prywatnego biura. Bird podszedł do biurka, zatrzymał się i odwrócił.

— Co dzisiaj? — zapytał krótko, a przybysz wzruszył szerokimi ramionami.

— Czy muszę wyjaśniać?

Pan Bird usiadł na obrotowym krześle, położył prawą kostkę na lewym kolanie i odchylił się do tyłu. Paznokcie wypielęgnowanej dłoni bębniły niestrudzenie w blat biurka.

— Dostałeś sto funtów w zeszłym tygodniu — powiedział.

— Od tego czasu zarobiłeś co najmniej trzy setki — odparł przybysz zimno.

Usiadł na poręczy drugiego fotela, pozostawiając prawą rękę w kieszeni płaszcza. Bird spojrzał na nią unosząc cynicznie brwi.

— Dobrze o siebie dbasz.

— Zwykłe środki ostrożności.

— Albo zwykły blef.

Przybysz pokręcił głową.

— Możesz sprawdzić — jeśli zmęczyło cię życie.

Bird uśmiechnął się i poprawił wąsik.

— Z tą przyprawioną brodą i w przydymionych okularach wyglądasz zupełnie jak łajdak — powiedział.

— Na ten temat nie będziemy dyskutować — powiedział przybysz gładko. — Przejdźmy do celu mojej wizyty. Czy muszę powtarzać, że wiem o twoim handlu narkotykami? W tym pokoju jest prawdopodobnie dość dowodów, by posłać cię na pięć lat ciężkich robót. Jednak policja, bez pomocy

kogoś życzliwego, długo mogłaby szukać. Tajemnica twojego sprytnego schowka pod podłogą, w tamtym kącie, mogłaby pozostać nieodgadniona. Policja nie wie, że twój ukryty sejf otwiera się tylko wtedy, gdy drzwi do pokoju są zamknięte, a trzecia i piąta płyta boazerii są uniesione do góry. Przypuśćmy jednak, że ktoś ich anonimowo zawiadomi.

— Nic nie znajdą — dokończył Montgomery Bird z równą słodyczą.

— Mam jeszcze w zanadrzu inne informacje — powiedział przybysz. Wstał nagle.

— Mam nadzieję, że mnie zrozumiałeś — powiedział. — Nie obchodzą mnie twoje przestępstwa, lecz będziesz miał kłopoty, żeby się z nich wytłumaczyć na ławie oskarżonych. Są też zbyt dochodowe,

byś je porzucił — na razie. Dlatego będziesz mi płacił sto funtów tygodniowo tak długo, jak zechcę.

Czy to dostatecznie jasne?

— Ty... — Montgomery Bird zerwał się nagle z krzesła.

Brodacza to nie poruszyło. Poruszył tylko lekko prawą ręką w kieszeni płaszcza.

— Mój — hmm — podstawowy blef nadal czeka na sprawdzenie — powiedział beznamiętnie, a Bird stanął jak wryty. Z wysuniętą lekko głową patrzył w ciemne szkła, zasłaniające oczy wysokiego mężczyzny.

— Kiedyś cię dostanę, ty świnię.

— A do tej pory będziesz dalej płacił mi sto funtów tygodniowo, drogi panie Bird — padła łagodna

odpowieź. — Nadeszła pora następnej raty. Jeśli nie sprawi ci to zbyt wielkiego kłopotu... — Nie dokończył zdania. Po prostu czekał.

Bird wrócił do biurka i wyciągnął szufladę. Wyjął kopertę i rzucił na blat.

— Dziękuję — powiedział przybysz.

Palce zastygły nieruchomo na kopercie, gdy rozległ się ostry dzwonek. Brzmiała w nim hałaśliwa złośliwość, która wierciła w bębenkach uszu — coś w rodzaju wzmocnionego bzyczenia wściekłej osy.

— Co to było?

— Mój prywatny alarm.

Bird spojrział na elektryczny zegar na kominku, gość podążył za jego wzrokiem i ujrzał, że tarcza zaświeciła się na czerwono.

— Policja?

— Tak.

Wysoki mężczyzna chwycił kopertę i wsunął do kieszeni.

— Wyprowadź mnie stąd — nakazał.

Tylko wprawne ucho rozpoznałoby nieznaczne drzenie jego dobitnego głosu, lecz Montgomery Bird zauważył je i spojrział z ciekawością.

— A jeśli nie?

— Postąpisz głupio — bardzo głupio — odparł gość spokojnie.

Bird cofnął się z wściekłością w oczach. W jedną ścianę wpuszczone było wielkie lustro. Położył dłoń na ramie i przesunął taflę w bok, odsłaniając ciemny, prostokątny otwór — wejście do ukrytej windy.

W tej właśnie chwili Simonowi Templarowi, z nieodgadzionych przyczyn, znudziło się bezczynne oczekiwanie.

— Proszę się odsunąć od windy — mruknął.

Obaj mężczyźni odwrócili się na dźwięk jego głosu jak para marionetek, których sznurki się splątały. Wydało im się, że Simon zjawił się tu nie z tej ziemi. Tylko przez chwilę. Potem dostrzegli za nim otwarte drzwi obszernej szaty.

— Panowie, proszę zejść do samochodu — mruknął przybysz zachęcająco. Przeszedł przez pokój.

Wydawało się, że robi to wolno, lecz było to tylko złudzenie. Dosięgnął obu, nim któryś z nich zdołał się ruszyć. Wyciągnął lewą rękę i chwycił poły płaszcza brodacza, gdy ten zniknął. Była to najbardziej

zadziwiająca rzecz, jaką Montgomery Bird widział w życiu, ale Święty mnożył cuda z łatwością i wdziękiem, przy których Wielki Lama wyglądałby jak trzeciorzędny kanciarz od gry w trzy karty.

Templar spokojnie przesunął na miejsce ruchome lustro i odwrócił się ponownie.

— Nie, ty nie, Montgomery — wycedził. — Może się jeszcze dziś przydasz. Tylny bieg, kolego.

Leniwie wyciągnął rękę i chwycił cofającego się Birda za ucho, ścisnął je i szarpnął. Usłyszał stłumiony jęk.

Simon poprowadził Birda zdecydowanie i szybko do otwartej szafy.

— Możesz tu ochłonać — powiedział, a następnym doznaniem, które dotarło do świadomości

Montgomeryego Birda, był mrok i odgłos klucza, przekręcanego w zamku.

Święty poprawił płaszcz i wrócił na środek pokoju. Usiadł na krześle Birda, położył nogi na jego stole, zapalił jedno z jego cygar i patrzył w sufit z wyrazem nieopisanej błogości na twarzy. Tak właśnie zastał go główny inspektor Claud Eustace Teal. Minęło kilka sekund, nim detektyw był w stanie użyć głosu, ale wtedy nadrobił stracony czas.

— Co — warknął — zakichany kichający kichasiu.

— Cii — wtrącił się Święty.

— Czemu? — warknął Teal z zainteresowaniem.

Simon uniósł rękę.

— Posłuchaj.

Nastąpiła chwila ciszy, potem wzrok Teala odzyskał blask.

— Czego niby mam słuchać? — zapytał gwałtownie.

Święty spojrzał na niego.

— Coś poruszyło się w lesie. To tylko skrzydełko ptaka — wyjaśnił słodko.

Detektyw z wyraźnym wysiłkiem opanował szczękościsk.

— Czy Montgomery Bird to następny z twych śmiesznych przydomków? — zapytał ze słodyczą w głosie. — Bo jeśli tak...

— Tak, stary druhu?

— Bo jeśli tak — powtórzył ponuro główny inspektor Teal — to nareszcie ujrzysz więzienie od środka.

Simon patrzył na niego nieporuszony.

— Pod jakim zarzutem?

— Na razie, za sprzedawanie alkoholu poza wyznaczonymi godzinami.

— A potem?

Detektyw zmrużył oczy.

— O co ci chodzi?

Simon zaciągnął się cygarem Birda.

— Zawsze wiedziałem, że policja jest dość tępa — zauważył radośnie — ale nie miałem pojęcia, że zniży się do posyłania głównych inspektorów w roli kontrolerów barów.

Teal nic nie odpowiedział.

— Z drugiej strony, czym innym jest ściganie handlarzy narkotyków — mówił dalej Święty.

Uśmiechnął się do detektywa i wstał, strącając z cygara popiół długi na cal.

— Muszę się przejść, — mruknął — a jeśli naprawdę chcesz znaleźć trochę narkotyków i jeśli



znajdziesz chwilkę czasu po oczyszczeniu baru, powinieneś spróbować zamknąć te drzwi i podciągnąć

kawałki boazerii. Trzecią i piątą płytę, choć nie wiem, na której ścianie. Aha, jeśli potrzebujesz Montgomeryego, to dusi się w lodówce. Do szybkiego zobaczenia.

Klepnął serdecznie melonik Teala i wyszedł, nim detektyw zdołał w pełni pojąć, co się dzieje.

Święty mógł iść tak gładko, kiedy tylko chciał, a wybrał tę chwilę, bo był bardzo taktownym człowiekiem. Miał też w jednej kieszeni kopertę zawierającą sto funtów, a w drugiej pełną zawartość

sejfu pana Montgomery'ego Birda. W takich okolicznościach Święty nie lubił zwlekać.

## ROZDZIAŁ II

Simon Templar odsunął talerz.

— Dzisiaj — oznajmił — zebrałem pierwsze owoce cnoty.

Wziął otrzymany list i poprawił wyimaginowane prince-nez. Patrycja patrzyła wyczekująco.

Święty zaczął czytać:

*Szanowny P. Templar,*

*Natrafiwszy na egzemplarz pańskiej książki „Pirat” i nie mając nic do roboty, siadłem, by ją poczytać. Cóż, odniosłem wrażenie, że jest Pan pisarzem bez poczucia proporcji. Sympatia czytelnika w*

*wyniku błędnego rozpoczęcia pierwszego rozdziału pozostaje, oczywiście, cały czas przy Kerriganie,*

*choć jest on przestępcą. Nic dziwnego, że książka ta nie miała drugiego wydania. Najwidoczniej nie*

*rozumie pan mentalności angielskich czytelników. Gdyby bohaterem zamiast Maria uczynił Pan*

*Anglika czy Amerykanina, powstałoby dzieło chętniej czytane i przyjmowane, ale wszawy Dago, który*

*wydobywa się sam z niemożliwych tarapatów i sytuacji, tego już za wiele. To nie jest przekonujące. To*

*nie pociąga. Jednym słowem jest infantylne.*

*Wyobrażam sobie, że musi mieć Pan sporą dawkę krwi Dago w swych...*

Przerwał, a Patrycja Holm spojrzała na niego pytająco.

— No? — ponagliła.

— To wszystko — wyjaśnił Święty. — Bez adresu, bez podpisu, bez podsumowania, czyli nic.

Widocznie zabrakło mu słów. W tym momencie prawdopodobnie wydał krótki, ostry krzyk cierpienia i zaczął gryźć meble. Może nigdy nie poznamy jego losu. Zapewne jest w jakimś odległym miejscu...

Święty rozbudowywał swą teorię. Jakiś czas temu, w krótkim napadzie cnoty, Święty zabawił się w pisanie książki. Co więcej, udało mu się umieścić ją w wydawnictwie i teraz przygody Maria, wielkiego bandyty z Ameryki Północnej, można było kupić w każdej księgarni za trzy półkoronówki. A list, który przeczytał, stanowił część jego wynagrodzenia.

Inną część wynagrodzenia otrzymał pół roku wcześniej.

— To nie wszystko — powiedział Święty, biorąc ze stolika następny papier. — Ten *billet — doux* zdaje się kończyć zabawną korespondencję:

*Poprzednie upomnienia o zapłatę za niżej wymienioną ratę za lata 1931–1932, którą należało uiścić*

*1 stycznia 1932, nie wywołały żadnego skutku, dlatego składane jest niniejszym bezpośrednio żądanie i*

*ostatnie ostrzeżenie, że jeśli zapłata nie zostanie uiszczona czy przesłana na powyższy adres w ciągu*

*siedmiu dni od poniższej daty, zostaną podjęte kroki odzyskania należności poprzez egzekucję, z dodatkowymi kosztami.*

*Lionel Delborn. Poborca.*

Wbrew ponurym przewidywaniom anonimowego krytyka, „Pirat” nie pozostał całkowicie

niezauważony wśród zalewu literatury sensacyjnej. Wydział Wywiadowczy („piękna nazwa” — mówił

Święty) Skarbu Państwa dostrzegł jej ukazanie się, sprawdził swe rejestry i odkrył, że autor, powszechnie znany Simon Templar, nie zarejestrował się jako autor, jak się okazało kosztownego wybryku, uchylając się od uiszczenia podatku. Nie zapytano Świętego o jego poglądy na obowiązki w tej sprawie, lecz wysłano mu oszacowanie, według którego wyliczono jego dochody na sześć tysięcy funtów rocznie. Zachęcono do odwołania się, jeśli ich nie uzna. Święty nie uznał i oświadczył, że oszacowanie jest bezprawne, błędne z zasady, przesadzone co do wysokości i złośliwe. Wynikła z tego

długa, bogata dyskusja. Templar, prowadzący swą sprawę z dużym talentem adwokackim i oratorskim,

bronił się, twierdząc, że jest instytucją dobroczynną, a przeto nie podlega podatkom.

— Jeśli — mówił Święty przekonującym tonem — sięgnie się do wspaniałych słów Lorda MacNaghena w sprawie *Komisarzy Podatkowi przeciwko Pemselowi*, 1891, A.C. str. 583, stwierdzi

się, że działalność dobroczynna podzielona jest tam na cztery rodzaje, z których czwarty określono jako *wysiłki przynoszące dobroczynne skutki dla społeczeństwa, nie wymienione w poprzednich punktach*. Jestem wszechstronnie dobroczynny dla społeczeństwa, w przeciwieństwie do trzeciego komisarza z lewej.

W opublikowanych protokołach można sprawdzić, że tę argumentację odrzucono, a przytoczona wyżej epistoła jest tego ostatecznym dowodem.

— Oto, co otrzymałem — powiedział Święty, patrząc ze smutkiem na rzucające się w oczy, czerwone litery — za całe życie filantropii i samozaparcia.

— Chyba będziesz musiał zapłacić — powiedziała Patrycja.

— Ktoś będzie musiał — powiedział Święty znacząco.

Oparł żółtawą kopertę z „Ostatnim żądaniem” o dzbanek z kawą i spojrzał na nią w łagodnym zamyśleniu — zdumiewająco czystymi, zuchwałymi, niebieskimi oczami, pełnymi psotnych błysków.

Gdy kontemplował adres, powoli na wargi wracał mu stary uśmiech Świętego.

— Ktoś będzie musiał zapłacić — powtórzył z rozmysłem, a Patrycja Holm westchnęła, bo wiedziała, co to zapowiada.

Święty wstał nagle, roześmiał się lekko, zabrał „Ostatnie żądanie” i zbliżył się do kominka. Obok wisiał na ścianie zwykły kalendarz, a na gzymsie leżał stary sztylet korsykański. *Che la mia ferita sia mortale*, głosiła inskrypcja na ostrzu. Święty szybko przerzucił kartki kalendarza i wyrwał tę, na której

wielkie czerwone cyfry oznaczały dzień, kiedy to wyczerpie się cierpliwość pana Lionela Delborna. Umieścił ją na liście i kopercie, jednym szybkim ruchem przygwoździł sztyletem do boazerii nad kominkiem.

— Żeby nie zapomnieć — powiedział i znów się śmiejąc spojrział na urażoną minę Patrycji. — Nie nadaję się na kogoś szacownego, miluchna, i nic na to nie poradzę. Nadeszła pora, by przypomnieć sobie o dawnych czasach.

W gruncie rzeczy podjął tę decyzję już dwa tygodnie wcześniej i Patrycja o tym wiedziała, ale dopiero teraz otwarcie wypowiedział wojnę. O ósmej wieczorem tego dnia, gdy wędrował w poszukiwaniu niewinnych, nocnych rozrywek, samochód, który stał w mroku na końcu ślepej uliczki Upper Berkeley Mews, nagle włączył światła i ruszył w jego stronę. Święty odskoczył i wpadł twarzą w drzwi, a w tej samej chwili usłyszał odgłos strzału z pistoletu z tłumikiem i stukot kul wbijających się w drewno nad jego głową. Wychylił się, gdy samochód go minął i strzelił dwukrotnie za skręcającym w Berkeley Square autem, ale nie wiedział, czy trafił.

Potem otrzepał ubranie i ruszył spokojnie dalej. Gdy później spotkał się z Patricią, nie uznał za konieczne opowiedzieć, dlaczego się spóźnił. Był to już jednak trzeci raz od spotkania z Birdem, kiedy

Skorpion próbował go zabić i nikt lepiej od Simona Templera nie wiedział, że to nie jest koniec.

### **ROZDZIAŁ III**

Bystre oczy mogłyby zauważyć osobnika o trupim wyglądzie i zapadłych policzkach, sterczącego od kilku dni na Upper Berkeley Mews. Simon Templar obdarzony dobrym wzrokiem dostrzegł go już podczas pierwszej wizyty. Spotykał go także za każdą następną. Trzeba też być równie dobrze poinformowanym, aby podejrzewać jakiś związek między wychudłym ulicznikiem a ostatnimi zakłóceniami spokoju Świętego. Simon Templar nie mógł się jednak zdecydować.

— To Harold Garrot — odparł raz na pytanie Patrycji — znany lepiej jako Długi Harry. Jest średnio biegłym włamywaczem, spotkaliśmy się już, ale nie na gruncie zawodowym. Namysła się, czy przyjść i coś mi powiedzieć. Któregoś dnia zaryzykuje.

Przewidywania Świętego sprawdziły się w dwadzieścia cztery godziny po rozmowie przy kominku. Simon był sam. Ciągła działalność polityczna pewnego właściciela gazety skłoniła go do poezji i zapełniał arkusz papieru początkiem niewielkiego poematu, wyrażając swe zdanie na jego temat.

*Charles Charleston Karol Wielki Św. Karol*

*Zwykle wydaje strachliwe hallo*

*Gdy profesorzy których zamieszcza*

*Piszą jak wiele Anglia przeszła*

*Od podstępnych, morderczych dni,*

*Które opiewał w sztukach Szekspir.*

*Dla niego przez Atlantyku wody*

*Światła elektryczne, Forda samochody*

*Czy radio dużo mniej znaczą,*

*Niż to, co dlań jest stratą.*

*Gdyby przed pięciuset laty żył,*

*Machałby mieczem z całych sił,*

*Nosiłby ryże wąsiska długie*

*I panowałby, ściskając maczugę,*

*Nad ludźmi w kolczugach na grzbiecie,*

*A nie w kamizelkach i w zimie, i w lecie.*

*I piłby ze szlachtą mocne wino*

*A nie cienkie, sztuczne piwo.*

W tym momencie natchnienie namówiło Świętego na krótki wypad do baryłki w kącie pokoju.

Napełnił cynowy kufel, napił się i pisał dalej:

*Czyż więc nie ma prawa być wściekły*

*Skoro urodził się w wieku dwudziestym?*

Tu utknął na chwilę. Rozwazał właśnie możliwe treści następnej strofy, gdy przerwał mu brzęk dzwonka u drzwi.

Wyszedł do przedpokoju i spojrzał przez okienko nad drzwiami, na lustro, zmyślnie umieszczone pod wiszącą nad wejściem latarnią. Natychmiast rozpoznał dzwoniącego i bez wahania otworzył drzwi.

— Wejdz, Harry — zaprosił Święty serdecznie i poprowadził gościa do salonu — Byłem zajęty dziełem, przy którym Milton wyda się marnym epigonem, ale mogę poświęcić ci kilka minut.

Długi Harry spojrzał na kartkę pokrytą do połowy równym pismem Świętego.

— Poezja, panie Templar? Uczyliście się poezji w szkole — przypomniał sobie.

Simon przyglądał mu się uważnie przez chwilę, potem uśmiechnął się szeroko.

— Harry, trąciłeś właściwą strunę. Za tę podpowiedź będę się za ciebie modlił. Poczekaj chwilę.

Rzucił się na krzesło i szybko pisał. Potem chrząknął i przeczytał na głos:

*Eton i Oxford zniweczyć nie zdołały*

*W nim chęci rycerskiej chwały;*

*Mimo śmiechów, szyderstw i wyrzeczeń*

*Charles wciąż kocha średniowiecze.*

*I choć los go skazał bez apelacji*

*Na życie wśród giełd i akcji,*

*Charles, w cylindrze i kalesonach,*

*Czepia się Sprawy jak rzep ogona,*

*Wierząc, niby w transie,*

*Że swej Szansy doczeka się.*

Odłożył kartkę z szacunkiem.

— Dla mnie to tylko rozrywka, ale Milton musiałby wylać przy tym krwawy pot — zauważył z zadowoleniem. — Z wodą sodową, Harry?

— Proszę czystą, panie Templar.

Simon przyniósł szklaneczkę szkockiej, a Długi Harry pociągał z niej, zakładając i rozkładając niezgrabne nogi.

— Mam nadzieję, że nie gniewa się pan, że przyszedłem — ośmielił się w końcu.

— Ani trochę — odparł Święty serdecznie — Zawsze chętnie witam tu chłopców z Eton. Co się stało?

Długi Harry nerwowo wykręcał palce i marszczył brwi. Był typowym recydywistą, przestępcą z nawyku, co oznaczało, że poza godzinami pracy był całkowicie zwyczajnym człowiekiem o trochę niższej niż przeciętna inteligencji i większym niż przeciętnym sprycie. Teraz zachowywał się niespokojnie. Święty przypuszczał, że musiał zebrać całą swą odwagę, by raz tylko, krótko i niepewnie

zadzwoić do drzwi frontowych.

Simon zapalił papierosa i czekał w milczeniu, aż wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona.

— Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć panu czegoś, co może pana zainteresuje.

— Jasne — Święty wypuścił z ust wąską strużkę dymu i czekał dalej.

— To jest o... o Skorpionie, panie Templar.

Oczy Świętego zwężyły się niedostrzegalnie, a zaciągnięcie się papierosem było długie, głębokie i powolne. Potem spojrzał na Długiego Harry'ego znów szeroko otwartymi, niebieskimi, niewinnymi oczami.

— O jakim Skorpionie? — zapytał łagodnie.

— Sądziłem, że wie pan o Skorpionie, bo oczywiście jako... — Noo?

Simon wycedził tę sylabę miodowym głosem, choć z nagłym napięciem, a Długi Harry niespokojnie poruszył nogą.

— Cóż, pamięta pan, kim pan był, panie Templar. Wtedy wiedział pan niemal o wszystkim.

— A tak — kiedyś. Ale teraz...

— Gdy spotkaliśmy się uprzednio, proszę pana. Święty rozchmurzył twarz w uśmiechu.

— Zapomnij o tym, Harry — doradził cicho — Jestem szacownym obywatelem. Byłem nim, gdy się spotkaliśmy i nic się nie zmieniło.

Możesz mi powiedzieć co chcesz, Harry — jak jeden uczciwy obywatel drugiemu — ale zalecałbym ci zapomnieć o tej rozmowie, gdy tylko staniesz na wycieraczce za drzwiami. Ja też zapomnę, bo tak jest bezpieczniej.

Długi Harry kiwnął głową.

— Jeśli pan zapomni, to będzie bezpieczniejsze dla mnie — powiedział poważnie.

— Mam beznadziejną pamięć — stwierdził ostrożnie Święty. — Już zapomniałem, jak się nazywałeś. Za chwilę nie będę pewny, czy w ogóle tu byłeś. Teraz wal, synu.

— Nie ma pan nic przeciwko mnie?

— Nic. Jesteś zawodowym włamywaczem i małym złodziejaszkiem, ale to mnie nie obchodzi. Teal zajmował się twymi drobnymi wybrykami

— I zapomni pan, co powiem?

— Słyszałeś przecież.



— Dobrze, panie Templar... — Długi Harry odchrząknął, znów się napił i kilka chwil mrugał nerwowo. — Pracowałem dla Skorpiona, panie Templar — powiedział nagle.

Simon nawet nie drgnął.

— Tak?

— Tylko raz, proszę pana — jak dotąd. — Po odbiciu się z trampoliny Długi Harry płynął na całego. — I nie będzie następnego razu — nie z mojej woli. On jest niebezpieczny. Nigdy nie można się przy nim czuć pewnie. Wiem o tym. Przysłał mi wiadomość pocztą. Wiedział o mnie wszystko, nawet gdzie mieszkam, choć byłem tam dopiero od dwóch dni. W liście było pięć banknotów jednofuntowych. Napisał też, że jeśli wsiądę do samochodu czekającego przy drugim kamieniu milowym na pomoc od Hatfield w ubiegły czwartek o dziewiątej, zarobię jeszcze pięćdziesiąt.

— Co to był za samochód?

— Nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć. Był duży i ciemny, bez świateł. Powiem coś panu.

Początkowo się wahałem, podejrzewałem pułapkę, ale skusiło mnie te pięć dych. Samochód już na mnie czekał. Podeszedłem i zobaczyłem przez szybę kogoś przy kierownicy. Nie powiem panu jak wyglądał — miał schyloną głowę i widziałem tylko czubek jego kapelusza. „To twoje instrukcje” — powiedział i dał mi kopertę, potem dodał: „i połowa pieniędzy dla ciebie. Spotkamy się tu jutro o tej samej porze”. Potem odjechał. Zapaliłem zapałkę i zobaczyłem, że dał mi połówki banknotów.

— A potem?

— Potem — była ta robota, panie Templar.

— Jaka robota?

— Miałem wejść do domu w St. Albans i zabrać jakieś papiery. Dostałem mapę, plan, dane o zamkach i wszystkim. Miałem swoje narzędzia — zapomniałem panu powiedzieć, że w pierwszym liście kazano mi je zabrać i było to rzeczywiście tak łatwe, jak napisano. W piątek wieczorem spotkałem samochód zgodnie z umową i wręczyłem papiery, a kierowca dał mi drugie połówki

banknotów.

Simon wyciągnął szczupłą, opaloną dłoń.

— Polecenia? — zapytał zwięźle.

Wziął tanią, żółtą kopertę i przejrzał zawartość. Jak mówił Długi Harry, była tam ładnie narysowana mapa i plan oraz inne informacje podane pozbawionym charakteru kaligraficznym pismem. Wszystko to zajmowało dwie, drobno zapisane kartki.

— Nie miałeś pojęcia, do czyjego domu wchodzisz?

— Najmniejszego, proszę pana.

— Czy przejrzałeś te papiery?

— Tak — Długi Harry podniósł wzrok i spojrzał ponuro na Świętego. — Dlatego właśnie przyszedłem do pana.

— Co w nich było?

— To były listy miłosne. Był na nich adres — Half Moon Street 64. Podpisane były — „Mark”.

Simon przesunął dłonią po doskonale gładkich włosach.

— Ach tak? — mruknął.

— Czy czytał pan niedzielne gazety?

— Tak.

Długi Harry opróżnił szklaneczkę i odstawił ją niezdarnie.

— Si — sir Mark Deverest zastrzelił się w sobotę przy Half Moon Street 64 — powiedział ochryple.

Zdenerwowany zacinał się czasem i miarą jego poruszenia był fakt, że zdarzyło mu się to dwukrotnie w jednym zdaniu.

— Szantaż to fach Skorpiona, panie Templar. — Nigdy się tym nie zajmowałem, ale słyszałem, że on to robi. Jakoś zapomniałem o tym, gdy po mnie posłał. Nawet przeglądając te listy nie przyszło mi do głowy, po co mu są potrzebne. Ale teraz widzę to jasno. Chciał szantażować Deveresta, a ten wolał

się zastrzelić, niż płacić. A j—ja pomogłem go zamordować, panie Templar. Bo to było morderstwo. I

p—pomogłem je popełnić! — głos Długiego Harry'ego przeszedł w gardłowy szept, a jego wodniste

oczy spoczęły na opalonej twarzy Świętego z wyrazem paniki i lęku. — Nie wiedziałem, co robię,

panie Templar — niech padnę trupem, jeśli wiedziałem!

Simon wychylił się i zgniótł papierosa w popielniczce.

— To wszystko, co masz mi do powiedzenia? — spytał chłodno, a Długi Harry nie mógł przez chwilę wydobyć głosu.

— Pomyślałem, że zajmie się pan Skorpionem, bo wiedziałem, że pan zawsze był...

— Noo?

Znów wypowiedział tę miodową sylabę, głosem rozplływającym się jak masło.

— Bo, proszę pana, gdyby pan był Świętym i gdyby pan nie zapomniał, że kiedyś mógł nim być, to wtedy...

— Polowałbym na skorpiony?

— Tak właśnie pomyślałem, proszę pana.

— No i?

— Byłem tu wczoraj wieczorem, panie Templar, zastanawiając się, czy wejść do pana i widziałem strzelaninę.

— No i?

— Tamten samochód — był dokładnie taki sam, jak ten, który widziałem za Hatfield, proszę pana.

— No i?

— P — pomyślałem, że to może ten sam samochód. — No i?

Simon ponaglił go po raz czwarty, napełniając ponownie szklaneczkę gościa. Był odwrócony

plecami, lecz tuż nad poziomem oczu miał trudne do zauważenia, małe lustro. Znajdowały się one w

każdym kącie pokoju. Ujrzał w nim, jak Długiemu Harry'emu drżą usta.

— Przeszedłem, bo pomyślałem, że zdoła pan przeszkodzić Skorpionowi, żeby mnie nie dostał — powiedział Długi Harry jednym tchem.

— Aha! — Święty odwrócił się nagle. — O to chodzi! Jesteś na jego liście, co?

— Tak myślę — przytaknął Długi Harry. — Wczoraj strzelano do mnie, ale chyba pan tego nie zauważył.

Simon Templar zapalił następnego papierosa.

— Zauważyłem. Skorpion wyszedł, że tu się kręcisz i próbował cię załatwić. To oczywiste. Ale nigdy nie zacząłbyś się tu kręcić, gdybyś nie wpadł na pomysł opowiedzenia mi o swoim życiu, a jeszcze mi nie zdradziłeś, dlaczego się na to zdecydowałeś. Śpiewaj, Harry, a ja posłucham tego cierpliwie.

Długi Harry w całkowitym milczeniu uraczył się łykiem „Maison Dewar” i wytarł usta wierzchem dłoni.

— W poniedziałek rano otrzymałem następny list, polecający mi przyjść jutro o północy w to samo miejsce.

— No i?

— W poniedziałek wieczorem spotkałem się z kumplami. Nic im nie powiedziałem, ale wspomniałem to i owo, nie wymieniając siebie. Pamięta pan Wilbey'a?

— Tego, którego trzy miesiące temu znaleziono naszpikowanego kulami przy Portsmouth Road?

Tak, pamiętam.

— Słyszałem, choć może to plotka, ale podobno jego ostatnia robota była dla Skorpiona. Mówił o niej. Wtedy też zastrzelił się jakiś frajer. Zacząłem myśleć. Może to pana zdziwi, panie Templar, ale czasem jestem bardzo cwany.

— Zrozumiałeś, że póki szantażowany płaci, wszystko jest w porządku. Gdy jednak uczyni coś

rozpaczliwego, mogą być z tego kłopoty. A wtedy Skorpion woli, by ktoś nie zaczął o tym rozpowiadać. Zgadza się?

Długi Harry przytaknął, a jego wydatne jabłko Adama skakało w górę i w dół.

— Tak, pomyślałem, że jeśli zjawię się tam jutro, będę — jak to się mówi — na widelcu. Choćbym nie poszedł... — Przerwał z grymasem, który miał udawać odwagę. — Rozumie pan, nie mogę tego opowiedzieć policji i pomyślałem...

Simon Templar zagłębił się bardziej w fotelu i posłał pod sufit doskonale równe kółka z dymu.

Rozumiał dobrze sposób myślenia Długiego Harry'ego. Był on pospolitym kasiarzem, unikającym mokrej roboty. Przemoc nigdy go nie pociągała. Święty wiedział, że Długi Harry nigdy nie nosił broni,

nawet noża... Sytuacja była jasna.

Należało coś z tym zrobić, co wymagało namysłu przez chwilę, czy dwie. Może dwie. A potem powoli plan wyrósł z małego, karmionego smoczkiem szczeniaka w wielkiego, groźnego brytana hasającego własnymi drogami... Zajęło to może pięć sekund.

— Sądzymy — powiedział Święty marzycielsko — że nasz przyjaciel postanowił uśmiercić cię jutro, ale gdy wczoraj zastał cię pod moim domem, postanowił oszczędzić sobie podróży.

— Tak to widzę, panie Templar.

— Widząc cię przed sobą wyciągam wniosek, że nie jest on najlepszym strzelcem świata. Dlatego...

— Tak, panie Templar?

— Wydaje mi się, Harry — powiedział miło Święty — że jednak umrzesz jutro.

## **ROZDZIAŁ IV**

Następnego ranka Simon leniwie kończył papierosa i filiżankę kawy po śniadaniu, gdy o wpół do dwunastej wpadł do niego Teal.

— Jadłeś już śniadanie? — spytał Święty gościnnie. — Mogę przypalić dla ciebie jajko czy coś innego. Nie jestem najlepszym kucharzem.

— Dziękuję — powiedział Teal. — Już zjadłem o ósmej.

— Cóż za ohydna pora — odparł Święty.

Podszedł do inkrustowanej szafki z fajkami i z powagą podsunął detektywowi nową, dziewiczą paczkę miętowej gumy do żucia.

— Czuj się jak u siebie, Claud Eustace. Skąd ten zaszczyt?

Obok tacy ze śniadaniem błyszczał świeżo oczyszczony i naoliwiony pistolet. Teal spojrzął nań sennym wzrokiem, gdy odpakowywał gumę do żucia. Nic jednak nie powiedział i ruszył jak lunatyk na

obchód pokoju. Zatrzymał się przed papierami przyszpilonymi nad kominkiem.

— Zamierzasz włożyć swój wkład do skarbu państwa? — zapytał.

— Ktoś będzie musiał — odparł Święty spokojnie.

— Kto?

— Mówię o skorpionach, Teal.

Detektyw odwrócił się powoli, a jego dziecięce oczy nagle zamknęły się, jakby opanowane przemożną nudą.

— Jakich skorpionach? — zapytał ostro, a Święty się zaśmiał.

— Mniejsza o to, stary gronostaju. To takie moje powiedzonko.

Teal skrzywił się z niesmakiem.

— Wracasz do staraj gry, Święty?

— Teal! Skąd ci to przyszło do głowy?

Detektyw opadł na fotel.

— Co masz do powiedzenia o skorpionach?

— Mają żądła na ogonach.

Teal żuł gumę z rytmiczną monotonią.

— Od kiedy interesujesz się Skorpionem? — rzucił lekko.

— Od jakiegoś czasu — mruknął Święty. — Ostatnio jednak, to zainteresowanie stało się odrobinę zbyt wzajemne, by wyszło na zdrowie. Czy wiesz, że Skorpion jest amatorem? — dodał nagle.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Nie sądzę, ale wiem. Skorpion jest zielony. Między innymi dlatego muszę się za niego wziąć.

Nie lubię, jak strzelają do mnie amatorzy, wtedy czuję, że obniża to moje notowania na giełdzie. A gdybym został zabity przez amatora... Teal, wyobraź sobie tylko!

— Skąd o tym wiesz?

Święty leniwie wziął papierosa.

— Dedukcja. Jak u Sherlocka Holmesa. Kiedyś cię tego nauczę, ale teraz podam tylko wyniki.

Chcesz rozdział i wiersz?

— Chętnie.

— O.K. — Święty rozsiadł się wygodnie. — Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie ktoś z wiadomościami o Skorpionie, i choć decydował się na to trzy dni, nadal żyje. Rozmawiałem z nim telefonicznie pół godziny temu. Gdyby Skorpion był zawodowcem, tamten nigdy by mnie nie odwiedził — ani nie zadzwonił do mnie dziś rano. To po pierwsze.

— A po drugie?

— Pamiętasz morderstwo przy Portsmouth Road?

— Tak.

— Wilbey pracował dla Skorpiona i stanowił dlań zagrożenie. Jeśli sprawdzisz swoje akta, to stwierdzisz, że na sześć dni przed śmiercią Wilbey został uniewinniony od zarzutu przestępczego włóczęgostwa. Dokładnie to samo stało się z ptaszkiem, który odwiedził mnie ubiegłego wieczoru. Również pracował dla Skorpiona i został zwolniony z aresztu zaledwie dwa dni przed wezwaniem go przez Skorpiona. Czy coś ci to mówi?

Teal zmarszczył czoło.

— Jeszcze nie, ale myślę.

— Pozwól, że ci pomogę.

— Nie, jeszcze chwilkę. Skorpion był w sądzie, gdy wydawano wyrok.

— Właśnie. A potem ich śledził. Stąd znał adresy. To oczywiste. Gdybyśmy, ty czy ja, potrzebowali jakiegoś określonego przestępcy, na przykład włamywacza, to w ciągu trzydziestu godzin trafilibyśmy do trzydziestu specjalistów. Ale prawdziwy, prosto z lasu amator nie ma takich możliwości, bez względu na swój spryt. Po prostu brak mu znajomości. Nie możesz znaleźć kasiarza w pośredniaku, ani

nie dasz odpowiedniego ogłoszenia w *Timesie*, a będąc szacownym amatorem, nie masz ich wśród zaufanych przyjaciół. Jaki pozostaje jedyny sposób?

Teal powoli kiwnął głową.

— To dobry pomysł — przyznał. — Nie muszę ci mówić, że dawno już przejrzelśmy wszystkie rejestry. Skorpion nie trafił do kartoteki. Żaden z kapusiów nawet o nim nie wspomniał. Nie ma go w spisie naszych stałych klientów.

Przezwiśko „Skorpion” wypłynęło po raz pierwszy dziewięć miesięcy wcześniej, kiedy to zamożny kupiec bawełny z Midland włożył głowę do piekarnika i zapomniał zakręcić gaz. W liście znalezionym

podczas śledztwa trafiono na słowa: *Placiłem od lat i mam już tego dość. Na ukąśzenie Skorpiona jedynym lekiem jest śmierć.*

A w krótkim protokole:

*Sędzia: Czy wie pan, co zmarły chciał powiedzieć wspominając o skorpionie?*

*Świadek: Nie.*

*Sędzia: Czy policji znany jest zawodowy szantażysta o tym przydomku?*

*Świadek: Nigdy przedtem o nim nie słyszałem.*

Szacowni obywatele, z których grona Święty wykluczył Teala i siebie, pozostawali nadal w błogiej



nieświadomości...

Jednakże w szerokiej, choć nieokreślonej przestrzeni, zwanej popularnie „podziemiem”, zaczęły krążyć niejasne pogłoski. Przechodząc z ust do ust stawały się coraz bardziej wymyślne i fantastyczne,

aż wreszcie trafiły do zacnych uszu Scotland Yardu, gdzie uznano je za wystarczająco wiarygodne, by się nimi zainteresować.

Kate Allfield, „Gęba”, wsiadła do salonki, którą członek Parlamentu jechał samotnie do swego okręgu wyborczego. Zatrzymał pociąg w Newbury i oskarżył ją, a gdy jej kontroskarżenie o gwałt załamało się podczas bezlitosnego przesłuchania, „wyznała”, iż działała z namowy nieznanego współsprawcy. Kate szukała łatwych pieniędzy na wiele sposobów i fakt, że ten był dla niej nowy, znaczył niewiele. W podziemiu rozeszło się jednak słowo wyjaśnienia: „Skorpion”.

„Młot” Tope — złodziej i bandyta, bardzo brutalny — został wezwany. Chwalił się przy kielichu, że rozwiąże tajemnicę Skorpiona i poszedł na spotkanie. Nigdy nie zdradził, co się stało, przez trzy tygodnie omijał swe zwykłe meliny, a gdy go znowu ujrzano, miał na skroni różową bliznę i silną awersję do rozmów na jej temat. Ponieważ zasługiwał na swój przydomek, nie zadawano mu wielu pytań, ale ponownie rozeszły się plotki...

Podobnie było w kilku następnych wypadkach; legenda Skorpiona rosła i wpływała w dziwnych miejscach, niezauważona przez polujących na sensację dziennikarzy, równie tajemnicza dla policji i przestępców. Jack Wilbey, drobny złodziejaszek, zmarł i znalazł swe miejsce w historii, ale gazety odnotowały jego śmierć jako jeszcze jedną nierozwiązaną zbrodnię, pretekst do stałych narzekań na brak skuteczności policji. Dopiero znajomość dalszych rozdziałów sprawy pozwoliła na połączenie tego morderstwa z samobójstwem pewnego bogatego para. Nawet główny inspektor Teal, trzymający rękę na pulsie wszelkiej przestępczej działalności w Metropolis, nie połączył ogniw, które Święty teraz

mu przedstawiał. Śledził je przezuwając w milczeniu, aż wreszcie się odezwał.

— Co jeszcze wiesz? — zapytał, jedynie z cieniem żywszego zainteresowania w zawsze słabym głosie.

Święty podniósł kartkę papieru.

— Posłuchaj — powiedział.

*Jego wiara była prawdziwa, i choć raz*

*Zmylony zgodził się objąć patronat*

*Nad krucjatą o Licytowany Brydż*

*Nie daje się już dłużej zwodzić.*

*Nie znalazł nigdzie innych rycerzy*

*Mieczami chcących się zmierzyć,*

*Z twierdzą, gdzie rządzi Belzebub*

*Nacierać śmiało na Portland Club.*

*Miał szansę później, pewnego dnia*

*Ukazała się inna gazeta.*

*Charles napisał, Charles wywiad dał*

*I Charles, zwycięzca w turniejach*

*Nadal przez słowo Krucjaty zaczarowany*

*Poślubił Handlu Imperialnego sprawy.*

— Cóż to u licha? — spytał zaskoczony detektyw.

— Moje małe arcydzieło — stwierdził skromnie Święty. — Może zauważyłeś', że rymy są dość niepewne. Jak myślisz, czy Poeta Laureat połączyłby *choć raz z patronat*? Ciekaw jestem twego zdania.

Teal ponownie opuścił powieki.

— Przestanieś gadać? — westchnął.

— Już niedługo, Teal — powiedział Święty odkładając kartkę. — Gdyby cud poezji był dla ciebie zbyt subtelny, pozwól mi powiedzieć, że zmieniłem temat.

— Widzę.

— Naprawdę?

Teal spojrział na pistolet na stoliku, papiery na ścianie i westchnął ponownie.

— Tak sędzę. Zamierzasz prosić Skorpiona o zapłacenie za ciebie podatku.

— Zamierzam. — Jak?

Święty roześmiał się i wskazał na ozdobiony kominek.

— Tysiąc trzysta trzydzieści funtów, siedemnaście szylingów i pięć pensów — powiedział. — To mój wyrok za to, że jestem pożytecznym, obywatelem zarabiającym uczciwie, zgodnie z prawem tego okulałego kraju, a nie płodnym pasożytem. Czy mam też pracować na ciebie i za ciebie? Jeśli tak, wyemigruję następnym statkiem i zostanę naturalizowanym Wenezuelczykiem.

— Chciałbym — powiedział Teal szczerze i wziął kapelusz. — Czy znasz Skorpiona? — zapytał nagle.

Simon pokręcił głową.

— Jeszcze nie. Ale poznam. Jego darowizna jeszcze nie wpłynęła, ale mogę ci powiedzieć, dokąd trafi te tysiąc trzysta trzydzieści funtów. Do biura pana Lionela Delborna, poborcy zdzierstw — oby wypadły mu zęby, a nogi zgniły! Siedem pensów dołożę z własnej kieszeni.

— A co zamierzasz uczynić z nim samym?

Święty uśmiechnął się.

— To trudno powiedzieć — mruknął. — Wypadki w rodzaju — no — zdarzają się, prawda? Nie chcę, oczywiście, byś zaczął źle o mnie myśleć, ale...

Teal przytaknął i spojrział poważnie w kpiące oczy Świętego.

— Wpadłbym na całego, gdyby to się wydało — powiedział — ale między nami chciałbym, byśmy

zawarli umowę.

Simon przysiadł na skraju stołu, papieros zwisał mu z ust, a jedna brew uniosła się kapryśnie.

— Jaką umowę?

— Daj mi Skorpiona, a nie będę pytał, jak zapłaciłeś podatki. Przez kilka chwil Święty przyglądał się okrągłej, czerwonej twarzy

detektywa, potem zerknął na przybite nad kominkiem memorandum. Wreszcie spojrzął Tealowi w oczy i uśmiechnął ponownie.

— O.K. — wycedził. — O.K., Claud.

— Umowa stoi?

— Stoi. Skorpion popełnił morderstwo i nie widzę powodu, by kat nie zarobił swych pięciu funtów.

Musisz już chyba iść, Claud Eustace. Tak — możesz mieć Skorpiona. Dostanę cztery pensy zaliczki?

Teal przytaknął i wyciągnął dłoń.

— Cztery i pół — tego dnia, kiedy go dostarczysz postawię ci piwo w dowolnym pubie, odległym nawet o trzy mile — powiedział.

## **ROZDZIAŁ V**

Patrycja Holm przyszła zaraz po wpół do piątej. Simon Templar zjadł obiad, jak zawsze mawiał, w „pubie na rogu”, czyli w restauracji „Berkeley” i pospacerował elegancko wokół Piccadilly przez następną godzinę, bo gdy dopiero nauczył się stawiać dwa kroki jeden po drugim, jego droga babcia sadzała go na kolanie i nakazywała „jeść, pić i bawić się”.

Gdy przyszła Patrycja, właśnie pisał, ale odłożył pióro i przyjrzał się jej uważnie.

— Och, jesteś — zauważył. — Myślałem, że już umarłaś, ale według Teala, wybrałaś się jedynie na wycieczkę do Władystoku.

— Pomagałam Eilen Wiltham, już tylko pięć dni zostało do jej ślubu. Czy cię to wcale nie interesuje?

— Zupełnie — powiedział Święty z prostotą. — Myśl o zbliżającej się zbrodni rozstraja mnie. Już

trzy razy odmówiłem Charlesowi pomocy przy wyborze pizam na noc poślubną. Powiedziałem mu, że

gdyby był tak często żonaty jak ja...

— Wystarczy — przerwała Patrycja.

— Na pewno — odparł Święty i rzucił okiem na pocztę, którą wyjęła ze skrzynki.

— Te dwie koperty ze znaczkami po pół pensa możesz natychmiast zniszczyć. Na trzecim, pomimo mylącej *Briepnarki* za półtora pensa, rozpoznaję urzędniczą rękę Andersona i Shepparda. Dołącz ją do

zagłady. Pozycja czwarta — wziął małą paczkę w brązowym papierze i zważył badawczo na dłoni.

—

Jest o wiele za lekka na bombę. To prawdopodobnie nowe złożone podwiązki do skarpet, jakie zamówiłem w Asprey's. Otwórz, kochanie i powiedz, co o nich myślisz. A ja przeczytam ci następny kawałek 'Tajemnych dziejów Charlesa'.

Wziął swój rękopis.

*Na jakąż gotował się uciechę*

*Przed pierwszym starciem (w plenerze)!*

*Z jakim nakładał zachwytem*

*Kolczugę i żelazne rękawice,*

*Nagolenniki, taszki, napierśniki,*

*Zarękawie, fartuch, nabiodrniki!*

*Wyruszył zuchwale patrząc w pole*

*Gotów do walki, gotów nawet polec,*

*Lecz nie gotów, na Zawiszę!*

*Na to, co los mu pisze.*

*W następnym już rozdziale*

*Odstłonię sekret niedbale:*

*Zadowolcie się, że bez honoru*

*Jakieś zbiry wrzuciły go do rowu,*

*A wlokąc się do domu...*

— Wybacz — przerwał spokojnie.

Jego prawa ręka śmignęła jak błyskawica, a wystrzał z ciężkiego pistoletu w zamkniętym pomieszczeniu rozległ się niby grzmot. Dziewczyna poczuła dziwnie gorące ukąszenie prochu i głucho

dzwonienie w uszach. Po chwili dobiegły ją niewzruszone słowa Świętego:

*A wlokąc się do domu, pełen szram.*

*Dostał zapalenia płuc i zmarł*

Pobladła Patrycja patrzyła na niego z lękiem.

— Co to było? — spytała drżącym głosem.

— Dziwne miejsce jak na skorpioną — odpowiedział Simon Templar łagodnie. — Nieprzyjemny gatunek — ostatni raz widziałem go na wzgórzach za Puruk-jahu. Wygląda na to, że mój kumpel szybko podróżuje, albo... Tak. — Święty rozjaśnił się. — Zadzwoń do Zoo, staruszko i powiedz im, że

mogą odzyskać swą własność, jeśli zechcą tu przybyć i zeskrobać ją z dywanu. Nie zechcemy jej chyba

zatrzymać, prawda?

Patrycja wzdrygnęła się. Po rozerwaniu brązowego papieru znalazła małe, tekturowe pudełko, w jakie czasem pakuje się tanią biżuterię. Gdy uniosła wieczko, ujrzała małego, niebiesko-zielonego potwora, niezdarną miniaturę homara, leżącą w gnieździe waty. Gdy mu się przyglądała, poruszył się i...

— Nie — nie był zbyt wielki — powiedziała tonem usiłującym dorównać lekkością głosowi Świętego.

— Są różne skorpiony — wyjaśnił Święty radośnie — i czasem ich jadowitość jest odwrotnie

proporcjonalna do rozmiarów buta. Przeważnie nie są zbyt groźne — sam byłem ukąszony i skończyło

się na swędzeniu i spuchniętej ręce. Ale ten, nieodżałowany należał do jedynej niewątpliwej, nie żartującej rodziny, morderczej dla ludzi. Szkoda, że załatwiłem się z nim tak szybko — mógł to być naprawdę cenny okaz.

Patrycja przesunęła machinalnie palcami po brzegach poszarpanej dziury, pozostałości po niklowanej kuli kalibru 45, która przeszła gładki, mahoniowy stół, by następnie przebić dywan i utkwic w podłodze. Potem spojrzała twardo na Świętego.

— Dlaczego ktoś ci przysłał skorpiona? — spytała.

Simon Templar wzruszył ramionami.

— To nieśmiertelny Paragot powiedział: *W tym kraju zawsze zdarzają się rzeczy niespodziewane, które paraliżują mózg*. A skoro nie można się było spodziewać, że prawdziwy Skorpion, wielkości człowieka, pośle jako wyraz szacunku swego młodszego braciszka, to wszystko jasne.

— To wszystko?

— Co wszystko?

— Co zamierzasz mi powiedzieć.

Święty przyjrzał się jej uważnie. Podziwiał wysoką, zgrabną sylwetkę o nieodpartym uroku, piękny kształt podbródka, oczy równie niebieskie jak jego. Powoli zakręcił pióro, wstał i obszedł stół.

— Powiem ci tyle, ile zechcesz wiedzieć — powiedział.

— Jak w dawnych, szalonych czasach?

— Miały swe miłe strony, prawda? Przytaknęła.

— Czasami pragnę, by wróciły — powiedziała tęsknie. — Nie zakochałam się w tobie dla spodni od Andersona i Shepparda.

— Miałem je! — zawołał Święty z oburzeniem. — Dokładnie pamiętam.

Patrycja roześmiała się nagle i położyła mu ręce na ramionach.

— Daj mi papierosa, chłopcze — powiedziała — i opowiedz, co się stało.

Zrobił to — choć niewiele miał do powiedzenia. Nawet główny inspektor Teal nie wiedział więcej.

Skorpion wyrósł w mroku, atakował w mroku i cofał się w jeszcze głębszy mrok. Ci, którzy mogliby mówić, nie ośmielali się tego robić, a ci którzy chcieliby, umierali przedwcześnie...

Opowiadając o wszystkim Święty ujrzał, że w oczach Patrycji znów budzi się światło szalonych, dawnych czasów i płonęło ono w pełni, gdy doszedł do pewnej kwestii, o której chętnie dowiedziałyby

się główny inspektor Teal.

— Dziś wieczorem o dziewiątej.

— Będziesz tam?

— Będę — powiedział Święty sznurując usta. — Zastrzelony przez cholernego amatora! Wielki Boże! Gdyby mnie trafił! Pat, uwierz tacie, jeżeli ktoś ma mnie zabić, to będzie to zawodowiec pierwszej klasy, ze znakiem próbnym na każdym ogniwie.

Patrycja ułożyła złotą główkę na oparciu głębokiego fotela.

— O której zaczynamy? — zapytała spokojnie.

Przez sekundę patrząc na niego z ukosa, widziała dawny, uparty wyraz ust, instynktowny i nieświadomy. Nagle przysunął fotel i zaśmiał się jak dawniej.

— Czemu nie? — powiedział. — To niemożliwe, niedorzeczne, niewyobrażalne, ale czemu nie?

Nie ma już starej bandy — Dicky, Arenie, Roger — rozpadła się przez kobiety, wszyscy noszą teraz meloniki. Zostałaś tylko ty. Żona pastora zapiszczałaby głośno i połknęła druty do robótek, ale co z tego? Jeśli naprawdę chcesz znów spróbować starego piwka...

— Daj mi szansę!

Simon uśmiechnął się.

— A potem wpadniesz w to jak mors do wody?



— Jeszcze głębiej — powiedziała.

— No to zgoda — powiedział Święty. — Mała randka, jaką będę miał dziś wieczorem, stanie się jeszcze weselsza, jeśli po stronie świętości i łagodnych alkoholi znajdzie się dodatkowa dusza. A jeśli

coś pójdzie niezgodnie z planem, może będziesz miała okazję do specjalnego występu. Pat, mam wrażenie, że to będzie nasz tydzień!

## ROZDZIAŁ VI

Jedną z najbardziej czarujących cech Świętego było to, że nigdy się nie śpieszył i nigdy nie martwił.

Nalegał na spędzenie wolnego czasu w barze hotelu „May Fair” i dopiero po wpół do siódmej odebrał

samochód, wsadził Patrycję i skierował długą, srebrną maskę hirondeła na północ, z niewątpliwie umiarkowaną szybkością. Zjedli kolację w Hatfield. Przedtem zostawili hirondeła w hotelowym garażu. Po posiłku Święty zamówił kawę, likiery i wypalił po kolei dwa wielkie cygara o plutokratycznie delikatnym zapachu. Obliczył dokładnie, ile czasu zajmie im dojście do celu i był zdecydowany wyruszyć na chwilę przed wyznaczoną porą.

— Jestem skazany — powiedział ponuro — i mam swe przywileje. W razie potrzeby Skorpion na mnie zaczeka.

Nie miał jednak zamiaru się spóźnić, bo plan kampanii, który podczas pełnej nikotyny przerwy w kolacji przerobił ze względu na udział Patrycji, wymagał zjawienia się na spotkaniu tuż przed pozostałymi. Ale o tym Skorpion nie miał pojęcia.

Templar jechał powoli, z wygaszonymi światłami, obserwując mroczne cienie na poboczu drogi.

Tuż za miejscem, w którym blade światła wychwyciły szarawą plamę umówionego kamienia milowego, ujrzał drobny, czerwony ognik zapalonego papierosa i lekko nacisnął na hamulec. Papieros

upadł i zniknął pod niewidoczną piętą, a z ciemności wynurzył się powoli wysoki, czarny kształt.

Prawa dłoń Skorpiona spoczęła na zimnej kolbie automatycznego pistoletu w kieszeni, a druga

opuściła szybę. Pochylił się nad szparą.

— Garrot?

Szept dobiegł do mężczyzny stojącego na poboczu. Wszedł powoli naprzód i odpowiedział gardłowo.

— Tak, proszę pana?

Skorpion pochylił głowę tak nisko, że widać było jedynie czubek jego kapelusza.

— Wypełniłeś polecenie. To dobrze. Podejdź bliżej...

Pistolet wysunął się cicho z kieszeni, palec wskazujący objął szybko spust. Podniósł broń błyskawicznie, tak, iż czubek lufy spoczął na krawędzi opuszczonej szyby, mierząc w pierś stojącego o dwanaście cali mężczyzny. Jedno szybkie spojrzenie na lewo i prawo upewniło Skorpiona, że droga jest pusta.

— Pozostało tylko jedno.

— Tak — zgodziła się krótko Patrycja Holm. — Nie ruszaj się!

Skorpion posłuchał. Beznamiętna wrogość w jej głosie zmroziła go w miejscu. Nie słyszał bezszelestnego otwierania tylnych drzwi ani nie poczuł napływu zimniejszego powietrza do wnętrza samochodu. Czuł tylko chłodny ucisk stalowego kółka na karku i przez sekundę tkwił jak sparaliżowany. W tym czasie jego cel zniknął.

— Rzuć broń. Za samochód. Niech to usłyszę!

Znów ten szybki, rozkazujący głos, srogi jak arktyczne morze, wbił mu się w uszy niby cienka, lodowata igła. Zawahał się przez chwilę, a potem, gdy koniec luty wzmógł ostrzegawczo nacisk u podstawy czaszki, posłusznie wysunął rękę i rozluźnił palce. Pistolet stuknął o jezdnię i niemal natychmiast postać, którą wziął za Długiego Harry'ego, pojawiła się ponownie w kwadratowym okienku.

Ale głos, który usłyszał, nie należał do Długiego Harry'ego. Był to najbardziej nonszalancki,

ironiczny, czarujący głos, jaki Skorpion słyszał w życiu. Te jego cechy zauważył podświadomie, bo nie

był w stanie zajmować się swoim odkryciem z radosną, serdeczną otwartością.

— O.K.... Jak się masz, Skorpionie?

— Kim jesteś? — spytał mężczyzna w samochodzie.

Ciągle trzymał opuszczoną głowę, a spod randa kapelusza zerkał w mrok, by dojrzeć swego rozmówcę, ale Święty miał twarz w cieniu. Rzuciwszy okiem w bok, Skorpion zdołał dostrzec głowę dziewczyny, której pistolet ciągle wpijał mu się z kamienną stanowczością w rdzeń kręgowy. Jednakże

jej włosy zakrywał duży, ciemny kapelusz, a luźna apaszka była naciągnięta na twarz, zasłaniając ją przed ciekawym wzrokiem.

Nonszalancki śmiech Świętego był odpowiedzią na pytanie.

— Jestem najgorszym strzelcem w świecie, podobnie jak dama za tobą, ale z tej odległości nawet my nie chybimy. Martw się tylko o siebie. Ważniejsze jest pytanie — kim ty jesteś?

— Musisz się tego sam dowiedzieć — odparł beznamiętnie człowiek w samochodzie. — Gdzie jest Garrot?

— Ach! Stara się to ustalić cały synod specjalistów. Jedni mówią, że po prostu gnije, a inni, że już zgnił. Może unosi się po szklanym morzu, odziany w białą szatę, mistyczną i wspaniałą, a z tyłu wietrzyk muska jego nowe skrzydełka. Może też zstąpił do centralnej kotłowni w piwnicy. Nie byłem nigdy dobrym teologiem.

— Nie żyje?

— Całkowicie — powiedział Święty radośnie. — Sam mu pomogłem w zejściu.

— Zabiłeś go?

— Och, nie! Nie lubię tego. Jedyne urządziłem mu śmierć. Jeśli zdołasz doczekać rannych gazet, dowiesz się, że z Tamizy wyłowiono ciało nieznanego mężczyzny. To będzie Długi Harry. Teraz

wyjdziesz i uchyl kurtyny, kochasiu!

Święty cofnął się i otworzył drzwiczki, jednocześnie chowając do kieszeni pistolet Skorpiona.

W tejże chwili doznał dziwnego uczucia daremności. Wiedział, że nie będzie mu dane teraz rozgnieść Skorpiona piętą.

Raz czy dwa razy do tej pory, w życiu, które trwało dotąd tylko dlatego, że nigdy, nawet na mgnienie oka, nie przestał mieć się na baczności i że w każdej grze umiał przewidywać o kilka ruchów

naprzód działania swych przeciwników, z szybkością pioruna przecinającego powietrze, doznał podobnego uczucia — jakby spadała nieuchwytna przesłona odcinając jakąś ważną barierę jego czujności. Coś się stanie. Mówiła mu to wyćwiczona intuicja, bez najmniejszych wątpliwości, a domieszka zdrowego rozsądku dopowiadała, jaki będzie ogólny zarys przyszłych wydarzeń. Jednak ich

dokładny kształt był poza jego możliwościami przewidywania.

Dźwięcząca cisza zapadła na scenie, a w niej brzęczało coś, co powinien był uwzględnić, dobijało się szaleńczo do zamkniętego okna jego umysłu. Wiedział, że tak jest, ale mózg nie udzielał mu żadnej odpowiedzi. Zaledwie na ułamek sekundy ząb koła przeskoczył o jedną pozycję i niezawodna maszyna

zawiodła. Ślepa plamka, która wędruje sobie gdzieś po układzie nerwowym człowieka, urwała się i spłynęła do aparatu koordynującego, którego akurat teraz Simon Templar najbardziej potrzebował.

Żadne jego wysiłki nie mogły jej usunąć.

— Wyłaż, Cuthbert — rzucił Święty z lekkim zgrzytem w głosie.

W ciemności wypełniającej samochód Simona wzrok przykuło i zainteresowało coś białego, leżącego na siedzeniu obok kierowcy. W przeczuciu porażki, które tańczyło mu w podświadomości i krzyczało o jego beznadziejnej głupocie, Święty wyciągnął rękę. Chwycił kawałek papieru, a widząc,

to Skorpion rzucił się dziko, ale nie dość szybko.

Simon schował papier do kieszeni płaszcza, a drugą ręką złapał Skorpiona za kark.

— Wyłaź! — powtórzył ostro.

I wtedy jego przeczucia się spełniły — prosto i bezpośrednio, jak to przewidywał.

Skorpion nie zgasił silnika samochodu — ten to drobny, lecz ważny fakt walczył bezskutecznie o dotarcie do mózgu Świętego. Dźwięk motoru był prawie niesłyszalny, nawet dla bardzo czułego ucha

Simona — stanowił zaledwie rytmiczną pulsację wypełniającą nocną ciszę. Zdawał się jednak — zbyt

późno — wznosić i wzbijać jak grzmot tysiąca aut, wtedy to Święty dostrzegł swą pomyłkę.

Ale Skorpion już puścił sprzęgło. Jego lewa noga musiała w mroku ukradkowo wcisnąć pedał, a potem, gdy ręka niezauważalnie włączyła bieg, wystartował z hukiem. Święty, stojący jedną nogą na jezdni a drugą na stopniu, stracił równowagę. Gdy padał, słupek drzwi uderzył go boleśnie w łokieć ręki sięgającej do kołnierza kierowcy i tysiące rozpalonych do czerwoności igieł wbiło mu się w ramię,

aż po koniuszek najmniejszego palca, unieruchamiając wszystkie mięśnie. Padając na drogę usłyszał trzask pistoletu Patrycji.

Nabierający szybkości samochód minął go, gdy wyciągnął broń Skorpiona. Przypadkowo trafił w prawą tylną oponę, a potem uderzył go w oczy błysk światła i podszedł szybko do Patrycji.

— Idziemy — powiedział spokojnie.

Ruszyli powoli, a światła samochodu rzucały cienie trzydzieści jardów przed maską.

— Przez to szarpnięcie — powiedziała Patrycja ponuro — chybiłam o jard. Przepraszam.

Simon kiwnął głową.

— Wiem. To moja wina. Powinienem był wyłączyć mu silnik.

Minął ich inny samochód i Simon przeklął go łagodnym głosem.

— Prawdziwa radość z życia w kraju pełnym samochodów — powiedział — to łatwość, z jaką się poluje. Możesz zastrzelić kogo chcesz, a każdy poza ofiarą pomyśli, że to wystrzał z rury wydechowej.

Ale złudzenie mija na widok broni. — Patrzył posepnie na chwiejne światła tylne niepożądanego przeszkody. — Gdyby tylko ten czterokołowy gad doznał zawału dwie mile wcześniej, moglibyśmy już wracać do domu.

— Słyszałam, że strzeliłeś.

— A on jedzie — na trzech pozostałych oponach. Nie sądzę, by stanął i zaczął zmieniać koło.

Patrycja westchnęła.

— To było krótkie i słodkie — powiedziała. — Nie możesz zatrzymać jakiegoś samochodu i ruszyć w pogoń?

Pokręcił głową.

— Teal mógłby to zrobić, ale ja nie jestem policjantem. Myślę, że jeszcze trochę za wcześnie, by rozruszać naszą kampanię reklamową.

— Szkoda, że nie wyszło lepiej, chłopcze — powiedziała Patrycja tęsknie, biorąc go pod ramię, a Święty stanął, by na nią spojrzeć. W ciemnościach nie bardzo to było możliwe, ale popatrzył.

— Ty krwiożerczy dzieciaku! — powiedział i roześmiał się. — Ale to jeszcze nie koniec — stwierdził. — Jeśli chcesz, to zapisz moje proroctwo: śmiertelność skorpionów wzrośnie i to bez mego udziału.

Wrócili do Hatfield, nim zapytała, co się stało Długiemu Hardemu, choć raz Święty nie wyglądał na niewinnie urażonego.

— Długi Harry ma się dobrze, według mej najlepszej wiedzy i wiary — powiedział — ale przez telefon uzgodniłem z Tealem ogólne zarysy jego uśmiercenia. Gdybyśmy nie zabili Długoego Harry'ego, uczyniłby to Skorpion, ale nasza metoda jest mniej groźna. A co do Skorpiona — cóż, niestety obiecałem, że zawiśnie zgodnie z prawem. Staję się ostatnio taki uczciwy, że w każdej chwili mogę zostać zabrany do nieba w ognistym rydwanie.

Trochę później w kącie opustoszałej palarni hotelu zbadał swą pamiętkę z tego wieczoru, skończywszy wpierw ostatni, błogosławiony kufel piwa. Okazała się nią koperta, ostemplowana w dzielnicy Południowo — Zachodniej o jedenastej rano tegoż dnia i zaadresowana do Wilfreda Garnimana, zamieszkałego przy Mallaby Road 28 w Harrow. W środku znajdowała się kartka pokryta kobiecym pismem.

*Drogi Panie Garniman,*

*Czy może Pan w przyszły wtorek przyjść na kolację i partyjkę brydża? Czwartym będzie pułkownik Bames.*

*Pańska oddana*

*R. Venables*

Przez chwilę kontemplował liścik z rozdrażnieniem zaostrażającym jego przystojne rysy, a potem wręczył go Patrycji i dla pocieszenia jedną ręką sięgnął po czystego „Bassa”, a drugą po papierosa. Chmurzył się coraz bardziej.

Patrycja przeczytała i spojrzała na niego z zakłopotaniem.

— Wygląda to zwyczajnie — powiedziała.

— Wygląda cholernie zwyczajnie! — wybuchnął Święty. — Jak można kogoś szantażować zaproszeniem na brydża?

Dziewczyna skrzywiła się. — Nie rozumiem. Dlaczego ma to być list należący do kogoś innego?

— A dlaczego pan Wilfred Garniman miałby być człowiekiem, którego szukamy?

— Dlatego. Czy wzięłeś to z samochodu?

— Zobaczyłem, że leży na siedzeniu obok niego — musiało mu wypaść z kieszeni, gdy wyciągał pistolet.

— No i? — nalegała.

— Dlaczego miałby to być początek triumfalnego marszu Skorpiona na szafot? — spytał Święty.

— To właśnie chciałabym wiedzieć.

Simon przyglądał się jej w milczeniu. Grymas rozdrażnienia powoli opuszczał jego twarz. W głębi oczu zbudziła się para niebieskich diabełków.

— Czemu nie? — Patrycja domagała się odpowiedzi.

Powoli, łagodnie, z niesamowitą precyzją, w kącikach ust Simona pojawił się uśmiech Świętego i zaczął rosnać, aż rozjaśnił całą twarz.

— Niech pękne, jeśli wiem, czemu nie — powiedział Święty anielskim głosem. — To dlatego, że uległem słabości i siedząc w autobusie odniosłem wrażenie, że to ruszył świat. A nasuwający się wniosek wydał mi się zbyt łatwy i oczywisty, by być prawdziwy.

## **ROZDZIAŁ VII**

Święty odkrył, iż Mallaby Road w Harrow należała do tych miłych ulic, przy których mieszkały damy i dżentelmeni. Lordów i damy można było przeważnie znaleźć w takich miejscach jak Mayfair, Monte Carlo, czy St. Moritz. Kobiety i mężczyźni występują niemal wszędzie, ale damy i dżentelmeni kwitną najpełniej na ulicach takich jak Mallaby Road w Harrow. Miała ona jakieś dwieście jardów długości i mieściła trzydzieści szacownych, angielskich domów. Każdy z nich stanowił cudownie zachowany okaz architektury w stylu elżbietańskim, każdy był dokładnie taki sam jak pozostałych dwadzieścia dziewięć, otoczony identycznym trawnikiem, rabatkami pełnymi kwiatów i nastrojony wszechpotężnej szlacheckości.

Simon Templar znalazł się na Mallaby Road o dziewiątej, a o tak wczesnej porze jego energia była zawsze trochę wyczerpana i poczuł się nieco oszołomiony.

Nie sposób było dostrzec żadnych znaków szczególnych i odnalazł numer 28, odczytując cyfry na bramkach ogrodów, a stało się to dopiero po sprawdzeniu trzynastu innych. Zaczął od niewłaściwego końca uliczki.

Pokojówce, która otworzyła drzwi, podał wizytówkę na nazwisko Andrew Herrick z nadrukiem



*Daily Record*. Simon Templar bez skrupułów posłużył się kartą należącą do reportera, który kiedyś chciał przeprowadzić z nim wywiad, ale Święty zazwyczaj nie przejmował się takimi drobiazgami.

Zatrzymywał wszystkie otrzymywane wizytówki i kilka, których nie dostał, by korzystać z tego zasobu

w razie potrzeby.

— Pan Garniman właśnie kończy śniadanie, proszę pana — powiedziała pokojówka z wahaniem. —

Ale spytam go, czy pana przyjmie.

— Na pewno przyjmie — zapewnił Święty z tak uroczą pewnością, że gdyby pokojówka nazywała się pani Garniman, stwierdzenie to automatycznie stałoby się oczywistością.

A i w tym wypadku okazało się prawdziwe. Pan Garniman spotkał się ze Świętym, a Święty z panem Garnimanem. Obie te sprawy zdarzyły się jednocześnie, ale Święty wygrał na punkty.

— Niestety, nie mogę panu poświęcić wiele czasu, panie Harrick — powiedział Garniman. —

Muszę wyjść za kilka minut. W jakiej sprawie chciał się pan ze mną widzieć?

Jego niespokojne oczy przyglądały się bystro Świętemu, ale Simon zniósł to badanie z pełnym spokojem, osiągalnym jedynie dla człowieka noszącego ubrania od Andersona i Shepparda, koszule od

Harmana, buty od Lobba i chłodną rezerwę.

— Przyszedłem zapytać, czy może nam pan powiedzieć coś o Skorpionie — powiedział Święty spokojnie.

Cóż, można to tak ująć. Z drugiej strony, ktoś równie dobrze mógłby stwierdzić, że wobec jego spokoju kawałek szyby wydawał się powierzchnią Pacyfiku podczas huraganu. A przy łagodnej niewinności Świętego, anioł Botticellego wyglądałby wręcz złowrogo.

Simon przypatrywał się mięsistemu obliczu Wilfreda Garnimana bez natarczywości, ale dostrzegł trwający zaledwie mgnienie oka wyraz, który poprzedził zdumiony grymas Garnimana i zastanowił się,

czy szybki cios nie pomógłby w skutecznym zakończeniu całej sprawy. To, iż przewyciężył

podstępną pokusę, i nie pozwolił, by tak rozdzierająca duszę rozterka odzwierciedliła się na jego twarzy, wynikało jedynie z nieustannego, trzeźwiejącego wpływu urzędowego zawiadomienia Lionela Delborna i pełnego poświęcenia podejścia Świętego do interesów.

— O Skorpionie? — powtórzył pan Garniman. — Obawiam się, że niezupełnie.

— Rozumiem. Właśnie. Powiniennem chyba wyjaśnić.

— Gdyby pan mógł. Naprawdę nie wiem...

— Dlaczego mamy pana uważać za autorytet w kwestii skorpionów. Dokładnie. Naczelnny powiedział, że tak pan to określi.

— Gdyby pan...

— Zdradził panu powód tego, raczej niezwykłego postępowania?

— Zobaczyłbym na pewno, czy jestem w stanie panu pomóc, ale jednocześnie...

— Nie dostrzega pan takiej możliwości. Absolutnie. Będziemy tak dalej rozmawiali, czy wyśpiewamy resztę w chórze?

Pan Garniman mrugnął.

— Chce mi pan zadać jakieś pytania?

— Z całego serca — powiedział Święty serdecznie. — Pani Garniman nie będzie chyba temu przeciwna?

— Pani Garniman?

— Pani Garniman.

Pan Garniman znowu mrugnął.

— Jest pan...

— Pewien...

— Jest pan pewien, że to nie pomyłka? Nie ma pani Garniman.

— Niemożliwe — powiedział Święty grzecznie i przerzucił strony wielkiego notesu.

— Wypytać Luisa Cararo. Pierścionki z brylantami i Marcel. Sonda: czy można być dobrą matką z

pryszczami? — Przepraszam, nie ta strona... O, mam: Spotkać się z Wilfredem Garnimanem i zapytać

gruba... zapytać go o skorpiony. Mallaby Road 28, Harrow”. Zgadza się, prawda?

— To moje nazwisko i adres — potwierdził Garniman. — Ale chcę nadal poznać cel tej...

— Wizyty — podpowiedział Święty. Tego ranka na pewno czuł się bezradny. Zamknął notes i wsadził do kieszeni.

— Tak naprawdę — powiedział — dowiedzieliśmy się, że Święty się panem interesuje.

Mówiąc to, nawet nie patrzył na Garnimana, ale spoglądał w lustro stojące na kominku i ujrzał, że tamten rozłączył i złączył trzymane na plecach ręce.

— Święty? — spytał Garniman. — Czy naprawdę?

— Czy na pewno pana nie zatrzymuję? — spytał Święty, nagle stając się bardzo rzeński i uprzejmy.

— Jeśli pana personel ma się niepokoić...

— Mój personel może poczekać kilka minut.

— To bardzo uprzejmie z pana strony. Ale jeśli zatelefonujemy...

— Zapewniam pana, to zupełnie niepotrzebne.

— Nie chciałbym, aby praca w pańskim biurze uległa dezorganizacji.

— Bez obaw — odparł Garniman. Przeszedł przez pokój. — Zapali pan?

— Dziękuję — powiedział Święty.

Właśnie się zaciągał, gdy Garniman odwrócił się do niego z rzeźbioną, hebanową szkatułką w dłoni.

— Och — rzucił Garniman trochę zaskoczony.

— Nie szkodzi — odparł Święty, który nigdy nie czuł się zażenowany. — Może mojego?

Wyciągnął paczkę, ale Garniman pokręcił głową. — Nie palę w ciągu dnia. Czy nie jest dla pana za wcześnie na drinka?

— Obawiam się, że o wiele za późno — powiedział Święty łaskawie.

Garniman odłożył hebanowe pudełko na stojący z boku stolik. Potem odwrócił się gwałtownie.

— No? — zapytał. — Cóż to za pomysł?

Święty udał wstrząśniętego. — Jaki pomysł? — zapytał niewinnie.

— Ten ze skorpionami i Świętym? — Garniman zmarszczył trochę brwi.

— Według Świętego.

— Nie rozumiem pana. Myślałem, że Święty już dawno zniknął.

— To popełniłeś tragiczną pomyłkę, mój drogi — Simon Templar mruknął zimno. — Bo to ja jestem Święty.

Oparł się o regał z beztroskim uśmiechem, a jego ospałe, niebieskie oczy spoczęły kpiąco na bladym, pulchnym obliczy Garnimana.

— I obawiam się, że jesteś Skorpionem, Wilfredzie.

Przez chwilę Garniman stał nieruchomo. Potem wzruszył ramionami.

— Czytałem chyba w gazetach, że panu wybaczone i wycofał się pan z interesów, tak że raczej nie da zawiadomienie policji o tym wyznaniu. A co do skorpionów, które wymienił pan kilka razy...

— Ty sam — poprawił go Święty łagodnie, a Garniman ponownie wzruszył ramionami.

— Nie wiem, jakiemu złudzeniu pan uległ.

— To nie złudzenie, Wilfredzie.

— Nic mnie nie obchodzi, jak pan to nazywa.

Święty stanął jeszcze bardziej beztrosko z rękoma tkwiącymi głęboko w kieszeniach, a na ustach igrał mu lekkomyślny uśmiech.

— Nazywam to faktem — powiedział miękko. — I trzymaj się z dala od tego dzwonka, póki nie skończę mówić... Jesteś Skorpionem, Wilfredzie, przypuszczalnie najlepszym szantażystą stulecia.

Doceniam to — twoje metody są nowoczesne i dokładne. Ale szantaż to brzydkie przestępstwo. Twa bezwzględność już spowodowała samobójstwo dwojga ludzi. Postąpili głupio, ale ty bardzo wrednie.

Naprawdę, zrobiliby mi wielką przyjemność zakopanie cię w tym ogródku i przywalenie ową szacowną rezydencją, ale po pierwsze, obiecałem cię dostarczyć katu, a po drugie, muszę zapłacić podatek, tak więc... Przepraszam na chwilę.

Coś przypominającego zamrożony kawałek rtęci przeleciało przez pokój i walnęło w drewnianą płytę obok przycisku dzwonka, do którego skradały się palce Garnimana. Nóż wbił się dokładnie między drugi i trzeci palec, tak iż poczuł chłód i cofnął dłoń, jakby wstrząsnął nim prąd. Ale Święty dalej leniwie przerzucał tom *Encyclopaedia Britannica*, jakby w ogóle się nie poruszył.

— Rób co ci mówię, Wilfredzie, a wszystko będzie dobrze — pamiętaj, że w spodniach mam jeszcze dużo tych pocisków — mruknął Święty uspokajająco, ostrzegawczo i kłamliwie — choć Garniman nie mógł tego ostatniego wyczuć. — Cóż to mówiłem?... Ach tak. Mam podatek do zapłacenia.

Garniman wystąpił nagle krok naprzód i wykrzywił usta.

— Posłuchaj...

— Czego? — spytał Święty z podnieceniem.

Garniman przełknął ślinę. Święty słyszał to wyraźnie.

— Wdarłeś się tutaj pod fałszywym nazwiskiem, zachowujesz się jak bredzący szaleniec, rzucasz dzikie, fantastyczne oskarżenia...

— Ciskasz nożami.

— Co u diabła robisz? — ryknął Garniman.

— Pan robi — poprawił Święty.

— Co u diabła — ryknął Garniman — pan robi?

— Dziękuję — powiedział Święty.

Garniman szalał.

— Co u...

— O.K. — powiedział Święty z zadowoleniem. — Słyszałem to za drugim razem. Dopóki będziesz mi mówił „pan”, będę wiedział, że wszystko jest z należnym szacunkiem. I znów straciłem wątek. Chwileczkę... Już mam: „mam podatek do zapłacenia”.

— Wyjdzie pan natychmiast — zapytał Garniman dość spokojnie — czy mam wezwać policję? Simon zastanowił się nad tym.

— Ja wezwałbym policję — stwierdził wreszcie.

Oderwał się od regału i powędrował leniwie po pokoju. Wydobył nożyk z tablicy obok dzwonka, uważnie sprawdził kciukiem jego czubek i schował do pochwy w lewym rękawie. Wilfred Garniman obserwował go bez słowa. Święty odwrócił się do niego.

— Na pewno wezwałbym policję — wycedził. — To ich zainteresuje. To prawda, że wybaczone mi pewne sprawy, ale czy wycofałem się z interesów, czy też jestem sprytniejszy od głównego inspektora

Teala, jest często przedmiotem dyskusji w Scotland Yardzie. Niewątpliwie chętnie przyjmą wszystko,

co rzuci światło na tę sprawę.

Garniman nadal milczał, Święty spojrzał na niego i zaśmiał się łagodnie.

— Z drugiej strony, jeśli jesteś na tyle bystry, by dojrzeć kilka przeciwwskazań dla tego pomysłu, może wolisz udać się spokojnie do swego pięknego biura i przemyśleć inne poruszone przeze mnie kwestie. Zwłaszcza te brzemiennie słowa o podatku.

— To wszystko, co ma pan do powiedzenia? — spytał Garniman równie cicho, a Święty przytaknął.

— Na razie — powiedział lekko. — A skoro nie zdecydowałeś się na policję, skupię się na sposobie, w jaki przyczynisz się do pomnożenia skarbu państwa.

W oczach Wilfreda Garnimana ukazał się na chwilę słabutki błysk, lecz szybko zniknął. Podeszedł do drzwi i otworzył je.

— Będę zobowiązany — powiedział.

— Za tobą, drogi misiu — powiedział Święty uprzejmie. Przepuścił Garnimana przed sobą, w sieni nałożył kapelusz i zawadiacko go przekrzywił.

— Sądzę, że się jeszcze spotkamy? — rzucił Garniman lekkim, towarzyskim tonem.

Święty przyjął to z uśmiechem.

— Możesz się zakładać — powiedział.

— No to — *au revoir*.

Święty uchylił kapelusza i patrzył, jak tamten odwrócił się i ruszył po schodach. Potem otworzył drzwi i wyszedł, a ciężki kamienny wazon na kwiaty zaczął w tejże chwili lecieć ku ziemi: musnął rondo stetsona Simona i rozbił się z hukiem o płyty chodnika, o cal za jego prawą piętą.

Święty odwrócił się powoli, trzymając nadal dłonie w kieszeniach i zerknął na szczątki, a potem wrócił do drzwi i nacisnął dzwonek.

Pokazała się pokojówka.

— Pan Garniman zrzucił aspidistrę — mruknął do niej lekko i spokojnie odszedł.

## **ROZDZIAŁ VIII**

— Ale, na Boga — spytała zaskoczona Patrycja — jaki był tego cel?

— Ćwiczenie taktu — odpowiedział Święty skromnie. Dziewczyna nadal patrzyła bezradnie.

— Gdybym tylko mogła je zrozumieć — zaczęła, a Święty się zaśmiał.

— Zrozumiesz, kochana — powiedział. Rozsiadł się i zapalił papierosa.

— Pan Wilfred Garniman — zauważył — jest zadziwiająco inteligentnym gościem. Ta wizyta była konieczna ze względu na, przeważnie mój, wkład dla rozwoju narodu. Garniman wydłużył swój akt oskarżenia poprzez zaproponowanie mi papierosa i drinka, ale to tylko dlatego, że jak wspomniałem, jest amatorem. Chyba czytał zbyt dużo kryminałów i stamtąd czerpał pomysły. Ale w naprawde istotnych sprawach zachowuje się jak zawodowiec. To, jak nagle się uspokoił w środku burzy, było naprawde zadziwiającym widokiem.

— A teraz — powiedziała Patrycja — pewnie uspokaja się kilkaset mil stąd.

Simon pokręcił głową.

— Nie Wilfred — powiedział z przekonaniem. — Poza rzucaniem kawałkami architektury jest on pierwszorzędnym amatorem. Tak szybko główkuje, że gdyby wypadł z czterdziestego piętra *Empire State Building*, znalazłby się na dachu, nim wiedziałby, co się stało. Bez żadnej mojej pomocy wyczuł,

że nie zamierzam wzywać policji. Wie stąd, że jest w niewiele gorszej sytuacji niż dotąd.

— Dlaczego?

— Może i jest amatorem, jak stale ci powtarzam, ale skutecznym. Na długo przedtem, nim jego dom zaczął się na mnie sypać, czynił przyjacielskie próby wycofania mnie z gry. Przewidział wszelkie zagrożenia, nim przystąpił do interesu, i pomyślał, że jego proceder jest dokładnie taki sam jak ten, dzięki któremu będę siedział i uważał. Zresztą słusznie. Tylko się chwaliłem i udowodniłem mu to.

Sam mi powiedział, że nie jest żonaty, nie udało mi się go skłonić do powiedzenia czegokolwiek o jego

legalnym zajęciu. Ale od rzeźnika dowiedziałem się, że jest to „gdzieś w City” — mam więc dwie informacje. Sprawdziłem też jego adres domowy, co z tego najważniejsze oraz, co niemal równie ważne, znalazł się on pod wrażeniem mojej błyskotliwości i uroku osobistego. Grałem błazna, bo mam

na to zawsze ochotę w takich sytuacjach, ale w przerwach między śmieszkami uzyskałem wszystko, co

chciałem. Wiedział o tym — zgodnie z moim zamiarem.

— A co dalej?

— Prywatna wojna potrwa dalej — powiedział Święty leniwie.

Jego przewidywania okazały się, jak zwykle, całkowicie słuszne, choć w sprawach Wilfreda

Garnimana nastąpił zwrot, o którym nie miał pojęcia, a gdyby go poznał, być może przez następne dni nie zachowałby się tak beztrosko.



W dniu pierwszego spotkania kręcił się w pewnej odległości od Mallaby Road w zamiarze zwiększenia zasobu informacji, zaś pan Garniman pojechał samochodem do swojej legalnej pracy. Świętemu wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że taksówką go nie dogoni. Następnego dnia Simon przemierzał te same tereny za kierownicą swego samochodu, ale korek przy Marble Arch przeszkodził mu w tropieniu. Trzeciego ranka spróbował znowu i złapał dwie gumy, nim przejechał pół mili. Gdy wysiadł, by sprawdzić uszkodzenia, znalazł na drodze rozrzucone ostre stalowe kolce. Czwartego dnia w obawie, że cztery pod rząd śniadania o siódmej mogą popsuć mu zdrowie, Święty został w łóżku i zajął się myśleniem.

Szybko wychwycił błąd we własnej technice tropienia.

— Postąpiłbym mądrzej — powiedział — gdybym śledził go pierwszego dnia, a wpadł na pogaduszki drugiego. Chyba wyczerpuje się mój geniusz.

Tę diagnozę potwierdzał także brak pomysłu na znalezienie zręcznego sposobu wydobycia od Garnimana części bezprawnych zysków.

Główny inspektor Teal wysłuchał wszystkiego, gdy przyszedł wieczorem i był niemal zaczepny. Po wyjściu detektywa Święty usiadł przy biurku i podziwiał schludne wyniki swych trwających dziewięćdziesiąt sześć godzin wysiłków umysłowych. Miały one postać dwudziestoczworowierszowego

epilogu Epickiej Historii Charlesa.

*Po odczytaniu Charlesa testamentu,*

*Jego ojciec usłyszał wśród lamentów,*

*Iż uparł on się Być spalonym na stosie.*

*Lecz tatuś, spadkobierca jedyny*

*Takiej reklamie przeciwny,*

*Postanowił, że chęć jego spełni*

*Bez wielkich na dworze płomieni*

*I, wśród wielkiej rozpaczy*

*Spalić go w krematorium raczył*

*I tak Charles ma kapliczkę swą*

*Wraz z rycerzem i nałożnicą*

Simon Templar patrzył ponuro na kartkę, potem z nagłą niecierpliwością odsunął kałamarz i wstał.

— Pat — powiedział — czuję, że nadeszła pora udać się do naprawdę podłego klubu nocnego i utopić nasze smutki w mrożonym piwie imbirowym.

Dziewczyna zamknęła książkę z uśmiechem.

— Dokąd pójdziemy? — spytała, a wtedy Święty nagle zerwał się z miejsca jakby dźgnięty rozpalonym prętem.

— Rany boskie! — krzyknął. — Pat, mój stary cudzie, stary aniele!

Patrycja mrugnęła do niego.

— Mój drogi staruszkule!

— Do diabła z wszystkimi drogimi staruszkami! — zawołał Święty szaleńczo.

Wyciągnął ręce, poderwał ją lekko z krzesła, przycisnął, potargał włosy i pocałował.

— Odbijamy — zarządził bez tchu. — Szybko, szybko, wykup się, ubierz, rozbierz, pomóż twarz czymkolwiek. Wsadź pistolet do stanika, znajdź siatkę na motyle i ruszamy!

— Ale skąd ten pośpiech?

— Będziemy entomobotanikami. Zapolujemy na chrząszcze na West Endzie. Zajrzymy do każdego klubu nocnego w Londynie — jestem członkiem wszystkich. Jeśli nic nie znajdziemy, nie będzie to moja wina. Wyrwiemy L z Londynu i zwiążemy nim uszy ministra spraw wewnętrznych. Wrzaski tego platfusowego miśka usłyszysz cały kraj.

Nadal paplał głupstwa, gdy Patrycja zniknęła, a po chwili olśniewała strojem wieczorowym i

dzierżyła shaker do przyrządzania koktajli z taką wylewnością, jakby był najdroższą pamiątką. Była oszałamiająca.

— Na miłość boską! — powiedziała chwyciwszy go za ramię — skup się i powiedz mi coś.

— Jasne — powiedział Święty. — Ta koszula nocna jest jak marzenie. A może to ma być sukienka?

Nigdy się tego nie wie. Nie chcę się też wtrącać w sprawy osobiste, ale czy nie zapomniałaś włożyć

czegoś na plecy? Widać ci cały kręgosłup. Mnie to nie przeszkadza, ale... Mówiąc o słupie,

kręgosłupie — widziałem wczoraj wieczorem, w ambasadzie niezwykle okaz. Musiał mieć co najmniej

trzydzieści dwa cale od pyska. Powiedzieli, że ten, kto go złowił, walczył trzy tygodnie. Zwykła wędka

na pstrągi i oścień...

Nim dotarli do „Carltona”, gdzie Święty postanowił zjeść kolację, Patrycja Holm niemal wpadła w

histerię ze śmiechu. Dopiero, gdy zamówił ekstrawaganckie potrawy z odpowiednimi winami, zdołała

go namówić na poważniejszą rozmowę. Wtedy przybrał minę niewinnego zdumienia.

— Ale mnie nie wydasz? — zapytał. — Nie weźmiesz wszystkiego dla siebie? Myślałem, że jesteś ze mną długo. Czy nie pamiętasz mego maleńkiego wyczynu w „Gnieździe”? Kto niby zapłacił za ten kawałek kolorowej moskitiery, który nosisz? Kto kupił te spinki? Kto, jeśli do tego dojdzie, pokryje kosztą tej sześciokolejkowej niestrawności?... Cóż, może niektórzy powiedzą, że Montgomery Bird, ale ja osobiście...

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. — Myślisz, że ten drugi w „Gnieździe” to był Skorpion?

— A któż niby?... Ale wpadłem na to dopiero dziś wieczorem! Powiedziałem ci, że właśnie szantażował Montgomeryego, gdy wpakowałem się tam z Tealem. Podśluchałem ich całą rozmowę, a była ciekawa. Pomyślałem wtedy, by kiedyś przyjrzeć się temu brodatemu pancernikowi, ale nigdy nie

przyszło mi do głowy, że to był Wilfred — niech mnie licho, jeśli wiem dlaczego!

Patrycja przytaknęła.

— Ja też o tym nie pomyślałam — powiedziała.

— A ja musiałem wszystko przespać! Jasne, że to był Skorpion — a jego proceder jest większy, niż mi się zdawało. Ten facet ma całą organizację. Macza swe palce w połowie afer, jakie się pieką w tym wielkim mieście. Jeśli ma coś na Montgomerygo, to dlaczego nie na dziesięciu innych. Od wszystkich bierze swój procent. Przyznaję, że odsunąłem Birda od interesów, ale...

— Jeśli masz rację — powiedziała Patrycja — a Skorpion nie prysnął, możemy go znaleźć wszędzie.

— Dziś — powiedział Święty. — A jeśli nie dziś, to innego wieczoru. Gotów jestem zgodzić się na czuwanie, ale termin zapłacenia podatku mija jutro, chcę więc spotkać się z nim dzisiaj.

— Masz jakiś pomysł?

— Tuzin — powiedział Święty. — A jeden z nich mówi, że Wilfred będzie miał miły wieczór! Jego mózg nagle zaczął znowu galopować. W kilka minut naszkicował plan kampanii tak zręcznej i zgrabnej, jak wszystko, co obmyślał jego płodny geniusz. I po raz kolejny okazał się dobrym prorokiem, choć wydarzenia przybrały odrobinę inny obrót, niż przewidywał.

Piętnaście po jedenastej natrafili na Wilfreda Garnimana w klubie „Złote Jabłko”. Na pewno miał miły wieczór. Stał w drzwiach sali balowej, sardonicznie uśmiechnięty, przyglądając się gościom, gdy jakaś dziewczyna weszła i stanęła obok. Zerknął na nią z roztargnieniem. Nie oderwał już jednak od niej oczu i zaczął intensywnie rozmyślać.

Była młoda, zgrabna, jasnowłosa i śliczna. Nawet Wilfred Garniman to widział. Oceniając zmęczonymi oczami inne szczegóły jej wyglądu rozpoznał wytworną prostotę sukni za pięćdziesiąt gwinei. A jej twarz była czystą niewinnością — Wilfred Garniman miał wprawne oko na te rzeczy. Niespokojnie zerknęła na tłum jakby kogoś szukając i po jakimś czasie stało się jasne, że tego kogoś nie

ma. Wilfred Garniman na pewno nie zainteresowałby jej. Ich spojrzenia spotkały się i trwały tak kilka

chwil, potem na jej ustach wykwitł nikły cień uśmiechu.

Dokładnie w godzinę później Simon Templar zadzwonił do domu przy Mallaby Road 28 w Harrow.

Nie spodziewał się odpowiedzi, ale zawsze wolał się upewnić. Odczekał dziesięć minut dzwoniąc co

jakiś czas, a potem wszedł przez okno na parterze. Trafił wprost do gabinetu Garnimana, gdzie pozostał

jakiś czas, uprzednio starannie zaciągnąwszy zasłony. Dokładnie mówiąc trzydzieści pięć minut według jego zegarka.

Potem usiadł na krześle i zapalił papierosa.

— Gdzieś tu jest jakiś haczyk — mruknął z namysłem. — Bo wynik systematycznych i fachowych poszukiwań wyniósł dokładnie zero.

Tego się Święty nie spodziewał. Przed opuszczeniem „Carltona” ogłosił pewną teorię z całym przekonaniem nieodpartego faktu.

— Wilfred mógł przejść do porządku nad moim wtargnięciem i ufać, że może usunąć mnie z drogi, nim zdołam przyszpilić go na dobre, ale nie pozwoli sobie na spalenie wszystkich mostów. A z tego wynika konieczność przetrzymywania zdobyczy. Nie umieści jej w banku, bo zawsze ktoś mógłby coś zauważyć i nabrać podejrzeń. Schowa ją do bezpiecznej skrytki, ale jeszcze nie teraz.

W tym czy innym miejscu, łatwo dostępnym dla Wilfreda Garnimana, znajduje się spora, brzęcząca gotówka, czekająca na każdego, kto ją znajdzie i zaproponuje jej zmianę adresu. Garniman może ją mieć przy sobie, ale Święty raczej w to wątpił. Zdecydował, że najbardziej prawdopodobnym schowkiem jest dom w Harrow i jadąc tutaj postanowił oszczędzić trochę czasu, z góry rozważając możliwe skrytki. Myślał o wielu i odrzucał kolejno z różnych powodów. Ostatecznie zdecydował się bez wahań na pokój, w którym spędził na próżno trzydzieści pięć minut... i w którym zamierzał nadal pozostać.

— To tajemna kryjówka Skorpiona — rozmyślał. — Wilfred stale o tym pamięta. W tym celu ją urządził. To sanktuarium wielkiej, bezwzględnej organizacji, która nie istnieje. Siadywał wieczorami na tym fotelu, przy tym biurku, rozmyślając, jaki jest wspaniały. Patrzył na niewinny fragment wystroju, kryjący jego schowek, rozkoszował się leżącymi tam bezpiecznie listami, dokumentami i pieniędzmi. Tłusty, oślizły, obmierzły ślimak...

Ponownie uważnie rozejrzał się po pokoju. Pokryte gładką tapetą ściany nie mogły kryć niczego. Sejf mógł być najwyżej za obrazami, ale zajrzał za wszystkie. Fałszywe książki odrzucił od razu, bo zawsze którąś mogła wyciągnąć służąca, lecz sprawdził każdą półkę — bezskutecznie. Całą podłogę pokrywał dywan i poświęcił mu zaledwie jedno spojrzenie. Analiza głębokich rozmyślań Wilfreda Garnimana nie pasowała do obrazu tegoż dżentelmena łażącego na czworakach, otworzył wszystkie szuflady biurka, lecz w żadnej nie natrafił na nic kompromitującego. To wydawało się wyczerpywać listę możliwości. Patrzył badawczo na kominek — ale tam też zaglądał. Pomiął zewnętrzną architekturę budynku, jak też niebieskie dachówki, bo trudno byłoby dopasować przerażające dowody

do ich czystych, mieszczańskich linii. Jak też do linii wszystkiego w tym pokoju.

— Co — powiedział Święty sennie — jest absurdem. Pozostawała, oczywiście, sypialnia Wilfreda Garnimana, Simon dawno już ją ocenił jako jedyną dopuszczalną alternatywę. Mimo to nie był całkiem

przekonany. Łupy szantażysty nie pasowały psychologicznie do różowych, popelinowych piżam, zwłaszcza kogoś takiego jak Wilfred Garniman. Ten pomysł go nie pociągał. A jednak, jeśli złupiona gotówka z przynależnościami nie znajdowała się w sypialni, musiała być w gabinecie...

— Co — zamruczał Święty — jest aaa–bsolutnie wykluczone...

Sytuacja wydawała się coraz mniej niepokojąca... To naprawdę niezbyt ważne... Wilfred Garniman, jeśli się zastanowić, jest jeszcze grubszy od Teala... a uwzględniając detektywów... Teal jest tłusty, Długi Harry długi, a Patrycja igra ze Skorpionem; wszystko to bardzo dziwne i zabawne, ale zajmę się

tym po śniadaniu, najdroższa...

## ROZDZIAŁ IX

Gdzieś w bezkresnej ciemności pojawiła się drobna, biała plamka. Leciała ku niemu, stawała się coraz większa, bielsza i straszniejsza, aż zdało mu się, że go zgniecie, zmiażdży i rozetrze na miazgę

otkwiące za plecami szczątki całego wszechświata. Jęknął, a górna połowa wielkiego, białego nieba opadła jak migawka, posyłając mu w oczy nagły błysk jaskrawego światła. Dolna część bieli dotknęła

nosa i ust czymś mokrym, a ostry, kwaśny zapach wbił się aż do czubka głowy i spłynął do gardła jak cienki strumyk zagęszczonego ognia. Zaczął dyszeć, kaszleć i prychać — aż ujrzał Wilfreda Garnimana.

— Cześć, stara ropucho — powiedział Święty słabo.

Odetchnął głęboko, wydmuchując z nosa ogniste iskielki środka pobudzającego, podsunętego mu przez Garnimana. W głowie rozjaśniło mu się nagle, tak, że czuł przez kilka chwil, jakby przewiewał go zimny wiatr, a oślepiające światło przygasło. Gdy jednak zerknął w dół, ujrzał, że przeguby i kostki

ma mocno związane.

— Bardzo użyteczna metoda, Wilfredzie — mruknął. — Jak to zrobiłeś?

Garniman swymi powolnymi, skrupulatnymi rękoma zwijał i chował do kieszeni chusteczkę.

— Naciskając głową oparcie krzesła wyzwoliłeś gaz — odparł ponuro. — To mój pomysł — zawsze byłem przygotowany na przyjęcie niepożądanych gości. Wystarcza najmniejsze obciążenie.

Simon kiwnął głową.

— To na pewno dobre zagranie — zauważył. — Nic nie zauważyłem, choć pamiętam, że nim zasnąłem, gadałem do siebie dość idiotycznie. W ten sposób mali ludzie realizują swoje wielkie idee...

Wilfredzie, rozwijasz się.

— Przeprowadziłem ze sobą partnerkę do tańca — powiedział Garniman dość lekko.

Machnął wskazując tłustą ręką, a Święty, skręcając głowę w ślad za jego gestem ujrzał Patrycję na drugim krześle. Patrzył na nią sekundę czy dwie, potem powoli odwrócił głowę.

— Nie chwyciła bluesa, prawda? — wycedził. — Sądzę, że teraz nakręcisz gramofon i zaczniesz od nowa... Ale dziewczyna chyba straciła serce do tańca...

Garniman usiadł przy biurku i zbliżył do Świętego ciężką, nieodgadnioną twarz.

— Widziałem ją wcześniej, jak tańczyliście w „Jerycho”, na długo przed naszym pierwszym spotkaniem. Nigdy nie zapominam twarzy. Gdy udało się jej zarzucić na mnie sieć, straciłem trochę czasu na upewnienie się, że to nie pomyłka, potem poszło łatwo. Parę kropel z buteleczki, którą

zawsze mam przy sobie, do jej szampana i zaczęła robić wrażenie kompletnie zalanej. Ocknie się bez naszej pomocy, może za pół godziny, może za pięć minut — zależy od jej odporności.

— Mięiste wargi Wilfreda Garnimana rozchyliły się w parodii uśmiechu.

— Nie doceniłeś mnie, Templar.

— To — powiedział Święty — jeszcze się okaże.

Garniman wzruszył ramionami.

— Czy muszę wyjaśniać, że doszedłeś do kresu swego interesującego, awanturczego żywota?

Simon uniósł brew i skrzywił się pogardliwie.

— Znowu? — westchnął, a Garniman zmarszczył gładkie czoło.

— Nie rozumiem.

— Bo nie znajdowałeś się tyle razy w takiej sytuacji co ja, stary koniu — powiedział Święty. —

Straciłem już rachubę, jak często tak bywało. Wiem, że wymaga tego tradycja, ale czasem mogliby dać

mi spokój. Co tym razem jest w programie, pokrajesz mnie w wannie i podpalisz piecyk gazowy? A może przepuścisz mnie przez magiel i pogrzebiesz pod stołem bilardowym? Czy też wymyśliłeś coś



naprawdę oryginalnego?

Garniman przechylił głowę ironicznie.

— Mam nadzieję, że będziesz zadowolony.

Zapalił papierosa i wstał od biurka. Gdy wziął z podłogi kawał sznura i podszedł do Patrycji, Święty zagruchał w tym samym tonie łagodnego znużenia.

— Uważaj przy kostkach, Wilfredzie. Ta jedwabna mgiełka na nogach kosztuje pięć funtów za jedną kończynę, a pęka od dotknięcia muchy. A wracając do tematu, pomińmy wszystkie nonsensy o śmierci, czy hańbie. Dziecko może nie chce umrzeć. A ponadto taka gadanina jest już przeżytkiem...

Garniman nic nie odpowiedział. Templar obserwował go, uznając ze smutkiem, że ta szczególna sytuacja dawno straciła dlań pierwotny urok.

Wilfred pracował ociężale i metodycznie, wykonując każdy ruch flegmatycznie i z rozwagą. Święty, który znał wielu przestępców, nie pamiętał nikogo równie pozbawionego uczuć. Spotkał się już z zimną bezwzględnością, czy kamienną obojętnością, ale zawsze gdzieś w głębi wyczuwał napiętą strunę zemsty. U Wilfreda Garnimana nie było jej wcale. Pracował tak, jakby ustawiał pułapkę na myszy, z przerażającą skutecznością, przy całkowitej pustce w mózgu. A Simon Templar nagle pojął, że to nie jest gra. Wtedy poznał, że Wilfred jest szalony.

Garniman skończył i wstał. Potem, nadal milcząc, chwycił Patrycję na rękę i wyniósł z pokoju.

Święty wyteżył mięśnie. Całe jego ciało napięło się w wysiłku jak sprężyna z hartowanej stali, a ramiona nabrzmiały, aż zatrzeszczały szwy w rękawach. Przez chwilę pozostawał całkowicie nieruchomo, z wyjątkiem drżenia tytanicznego wysiłku, które przechodziło mu przez ciało niby zmarszczki od wiatru po spokojnym stawie... Potem odprężył się i opadł, wypuszczając powietrze. Na

jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech.

— To utrudnia wszystko — szepnął do czterech, milczących ścian.

Liny wokół jego przegubów nadal mocno trzymały. Gdyby poruszał się swobodnie, zerwałby te

więzy, ale spętany mógł wykorzystać jedynie czwartą część swej siły. Sznury były dobre — nowe, grube na pół cala, trzysplotowe. Dokonał próby, a teraz odpoczywał. Dłuższe szarpanie wyczerpałoby

go niepotrzebnie. Na dodatek, nie miał dzisiaj przy sobie *Belle*, małego noża, który zazwyczaj trzymał

w pochewce przymocowanej do lewego przedramienia. Nóż ten ocalił go w niezliczonych podobnych sytuacjach.

Niezgrabnie zwlókł się z fotela i podczołgał parę jardów do biurka. Stał na nim telefon, ściągnął go na kolana i podniósł słuchawkę. Czekał wieczność, nim odezwała się centrala. Podał telefonistce prywatny numer Teala i usłyszał sygnał połączenia. W tejże chwili od drzwi rozległ się głos Wilfreda

Garnimana.

— Ach! Już działasz, Templar?

Przeszedł przez pokój szybkim krokiem i wyrwał mu aparat. Na chwilę przycisnął słuchawkę do ucha, potem ją odwiesił i odstawił telefon na drugi koniec biurka.

— Coś dziś szczęście cię opuściło — zauważył poważnie.

— Ale przyznasz, że stale próbuję — odparł Święty radośnie.

Wilfred Garniman wyjął z ust papierosa. Przyglądał się Templarowi oczami bez wyrazu.

— Zaczynam sądzić, że przecenia się twoją dzielność. Przybyłeś tu w poszukiwaniu dokumentów lub pieniędzy, może tego i tego. Nic nie znalazłeś.

— Na razie.

— Odrobina pomysłu oszczędziłaby ci nieprzyjemnego doświadczenia i pozwoliłaby poznać dodatkowe przeznaczenie tego mebla.

Garniman wskazał na fotel. Przewrócił go, wyciągnął kilka gwoździków i usunął płótno osłaniające spód. Ukazały się ciemne, żelazne drzwiczki zabezpieczone trzema śrubami.

— Sam zrobiłem ten fotel — nieźle mi wyszedł — powiedział i porzucił temat, jakby go nigdy nie podejmował. — Poproszę cię teraz, byś dołączył do swej przyjaciółki. Mam cię zanieść, czy wolisz pójść o własnych siłach?

— Czy to daleko? — zapytał Święty ostrożnie.

— Zaledwie kilka jardów.

— Dziękuję, pójdę.

Garniman ukląkł i poluzował więzy na kostkach. Związał je na nowo, zostawiając pętlę długą na osiemnaście cali.

— Wstań.

Simon posłuchał. Garniman chwycił go za ramię i wyprowadził z pokoju. Przeszli przez sionkę i niskie drzwi pod schodami. Zeszli po wąskich, kamiennych stopniach. U ich stóp Garniman wyjął świecę z niszy na ścianie i poprowadził Świętego krótkim, wybrukowanym przejściem.

— A wiesz, Wilf — mruknął Simon — to już trzeci raz w ostatnim półroczu. Zawsze był gaz. Czy i tym razem tak będzie, a może zmienisz reguły?

— To nie będzie gaz — odparł Garniman obojętnie.

Był pozbawiony uczuć jak najedzone zwierzę. A Święty gawędził pogodnie.

— Niechętnie cię rozczaruję, jak powiedziała aktorka do biskupa — ale naprawdę nie mogę się teraz zobowiązywać. Musisz to zrozumieć, Wilfredzie. Mam jeszcze wiele do działania w tej książce i nie mogę wszystkiego zepsuć dając się usunąć w pierwszej części. Miej litość, mój drogi śmieciarzu!

Tamten wciąż nie odpowiadał. Święty westchnął. W sztuce przekomarzań Wilfred Garniman był zniechęcająco słabym partnerem. Z drugiej strony, w sztuce morderstw, był przypuszczalnie zniechęcająco skuteczny, ale Święty nie mógł się oprzeć uczuciu, że traktował śmierć bardzo ponuro.

Weszli do małej, niskiej piwnicy, w której Simon ponownie ujrzał Patrycję.

Miała otwarte oczy i spojrzała na niego twardo, z cieniem uśmiechu na ustach.

— Witaj, chłopcze.

— Witaj, miła.

To było wszystko. Simon rozejrzał się. Na środku podłogi zobaczył głęboki dół, a obok wielką stertę ziemi. W rogu leżał pękaty, biały worek i zgrabna, stożkowata przyzma piasku.

— Próbowaliśmy wykopać tu studnię, ale zrezygnowaliśmy. Dół ma zaledwie dziesięć stóp głębokości i nie został jeszcze zasypany. Zrobię to dzisiaj, — wyjaśnił Wilfred Garniman monotonnym, apatycznym głosem.

Chwycił dziewczynę i zaniósł ją do dziury w podłodze. Klęknąwszy na jedno kolano opuścił ją na długość rąk i rzucił... Wrócił do Świętego otrzepując spodnie.

— Pójdiesz sam? — zapytał.

Simon podszedł do skraju dołu i odwrócił się powoli. Przez chwilę patrzył w oczy Garnimana, pozbawione odrobiny współczucia. Również wzrok Świętego był zimny i spokojny jak morze polarne.

— Jesz za dużo, brzuchata ropucho — powiedział, a wtedy Garniman pchnął go brutalnie.

Nie śpiesząc się Wilfred zdjął marynarkę, odpiął od mankietów spinki i podwinął rękawy wyżej łokci. Otworzył worek cementu i wysypał jego zawartość do dziury, jaką zrobił w kupie piasku. Bez najmniejszej zmiany wyrazu twarzy, ciężkim, statecznym krokiem wyszedł z piwnicy zostawiając świecę na podłodze. Wrócił po trzech, czterech minutach, niosąc w obu rękach po wiadrze wody. Niewprawnie zalewał cement i mieszał wszystko łopata.

Minęło pół godziny, nim uzyskał konsystencję, która go zadowalała. Pod koniec roboty ociekał potem, a nieskalanie biały kołnierzyk i tors koszuli stały się brudnymi, zmiętymi szmatami. Nie przejmował się tym jednak. Nikt się nigdy nie dowiedział, o czym myślał podczas tej pracy, może nawet o niczym, bo jego twarz była pusta i pozbawiona wyrazu.

Musiały go boleć osłabłe mięśnie, ale nie robił przerw na odpoczynek. Podszedł z łopata na skraj dołu w podłodze. Świeca słabo się paliła, lecz w mroku widział niewyraźną białą plamę. Ponownie

zgarbiony zaczął zasypywać dół ziemią. Zajęło mu to mnóstwo czasu i dyszał chrapliwie na długo przedtem, nim wypełnił go do poziomu podłogi. Potem rzucił łopatę i zaczął udeptywać wszystko, aż ziemia stała się twarda. Następnie pokrył ją przygotowanym cementem, aż wreszcie podłoga uzyskała równą powierzchnię.

Nawet wtedy nie odpoczął — pracował jeszcze godzinę napełniając wiadra ziemią, wynosząc ją schodami do ogrodu i wysypując na rabatki.

Wilfred Garniman był niezwykle wytrzymały na zmęczenie i ból, ale wątpliwe, czy choćby przelotnie pomyślał o wiecznym znaczeniu swej pracy.

## ROZDZIAŁ X

Dla Teala, który znał w owych dniach zwyczaje Świętego niemal tak samo dobrze jak własne, fakt, że śniadanie i Simon Templar mają ze sobą wiele wspólnego między godziną jedenastą a pierwszą, był

niewzruszonym pewnikiem. Nic więc dziwnego, że wizyta, jaką złożył przy Upper Berkeley Mews 7 pewnego historycznego poranka, była dlań dużym szokiem. Gdy otwarto mu drzwi, przez kilka chwil stał jak przykuty do wycieraczki, wyglądał niczym astronom, który ujrzał Wielką Niedźwiedzicę fikającą koziółka. Potem, idąc za Świętym do salonu, miał niepewną minę, jakby w obawie, że czeka na niego wiadro z wodą ustawione nad drzwiami.

— Poczęstuj się gumą, stary — zachęcił go Święty gościnnie, a Teal stanął przy stole i spojrzał z niedowierzaniem.

— Co się stało? — zapytał podejrzliwie. Święty wyglądał na zaskoczonego.

— Dlaczego pytasz?

— Śpieszy ci się zegarek, czy jeszcze się nie położyłeś? Simon uśmiechnął się szeroko.

— Nic z tego. Wyjeżdżam i muszę z Pat zamówić bilety, załatwić międzynarodowe czeki bez pokrycia i tym podobne. — Skinął w stronę Patrycji Holm, palącej papierosa nad *Timesem* — Pat, czy

poznałaś już Clauda Eustace? Zrobił majątek na Consolidated Gas. Pan Teal, panna Holm. Panna Holm, pan Teal. Uważajcie się za rozwiedzionych.

Teal wziął paczkę gumy miętowej leżącą na środku stołu i odłożył niepewnie. Wyjął z kieszeni inną.

— Powiedziałaś, że wyjeżdżasz? — zapytał.

— Powiedziałem. Jestem wykończony, potrzebuję całkowitego wypoczynku. Wczoraj pracowałem kilka godzin, a w moim wieku...

— Dokąd jedziesz?

Święty wzruszył ramionami.

— Thomas Cook niewątpliwie coś znajdzie. Myślmy o jakiś miłych, ciepłych wyspach. Może Kanaryjskie, Baleary czy Małe...

— A co ze Skorpionem?

— Ach tak, Skorpion... Cóż, możesz go mieć dla siebie, Claud.

Simon zerknął na kominek, a detektyw poszedł w ślad za jego spojrzeniem. Świeży otwór w boazerii wskazywał, że sztylet niedawno wyjęto, również zniknęły przyszpilone nim papiery. Święty wyciągnął z kieszeni plik kwitów.

— Właśnie miałem wyjść i zapłacić podatek — powiedział z ożywieniem. — Czy Hanover Square będzie ci po drodze?

Teal przyjrzał się mu uważnie i należy podkreślić głębokie opanowanie detektywa, skoro nie drgnął mu ani jeden mięsień na twarzy.

— Tak, pójdę z tobą — pewnie będziesz chciał się napić — powiedział i spojrział na nadgarstek Świętego. Widok czerwonej pręgi odrobinę go poruszył.

— Czy zwichnałeś rękę próbując wysączyć ostatnie kropelki z beczułki? — zapytał.

Simon obciągnął rękaw.

— To oparzenia — powiedział.

— Skorpion?

— Patrycja.

Teal podniósł wzrok. Spojrzał na dziewczynę, która uśmiechnęła się do niego tak anielsko, że serce zadrżało w piersi detektywa. Przedtem zwykł się pocieszać myślą, że ten szczególny rodzaj słodczy ogranicza się tylko do jednej twarzy na całym świecie. Znów zwrócił wzrok na Świętego.

— Wojna domowa? — zapytał, a Simon spojrzał nań z bolesnym wyrzutem.

— Nie jesteście małżeństwem — powiedział.

Patrycja wrzuciła niedopałek do kominka i podeszła bliżej. Jedną rękę założyła za pasek prostego, tweedowego kostiumu, a drugą złożyła na ramieniu Simona Templara. Nie przestawała się przy tym uśmiechać anielsko do detektywa.

— Widzi pan, zostaliśmy pogrzebani żywcem — wyjaśniła.

— Na samym dnie — no, tego co jest w ziemi — dodał Święty.

— Simon nie miał z sobą noża, ale w porę przypomniał sobie o zapalniczce. Sam nie mógł po nią sięgnąć, więc ja musiałam to zrobić. I nawet nie pisałam — dowiedziałam się dopiero po wszystkim...

— Mniejsza z tym — powiedział Święty.

Wyjął z kieszeni małe zdjęcie i podał Tealowi.

— Z paszportu Skorpiona — powiedział. — Znalazłem w szufladzie jego biurka, nim złapał mnie na swoją sztuczkę — fotele w jego gabinecie są nagrodą za śledztwo, Claud. Gdy zaś przejdziesz do piwnicy, zobaczysz cementową posadzkę, która dopiero zaczęła się wiązać. Miałem się pod nią znaleźć

razem z Pat. Jeśli zechcesz tam kopać z nadzieją natrafienia na nas, w głębi znajdziesz moją najlepszą koszulę frakową. Musieliśmy ją zostawić. Nie wiem, czy kiedyś to zauważyłeś, ale mogę dać ci słowo,

że nawet niezbyt sztywny gors dźwięczy jak zbroja, gdy starasz się zdjąć go cicho.

Przez moment detektyw przyglądał mu się bacznie. Potem wyciągnął notes. Był to jeden z

najbardziej heroiczych, na swój sposób, czynów w jego życiu.

— Gdzie to jest? — zapytał.

— Mallaby Road 28, Arrer. Nazywa się Wilfred Garniman. Wracając do tej koszuli — gdybyś wyprał ją tam, gdzie oddajesz swoje, nim wychodzisz na obchód nocnych klubów, to może jeszcze się przydać. Mam też na górze parę starych butów, które mogą się ci spodobać...

Teal schował notes i ołówek.

— Nie chcę zbyt dużo pytać — powiedział — ale jeśli Garniman wie, że uciekliście...

Simon pokręcił głową.

— Wilfred nie wie. Wyszedł po wodę do rozcieńczenia cementu, a wtedy wymknęliśmy się. Potem widziałem go, jak wynosił nadmiar ziemi i wysypywał na grządki w ogrodzie. Gdy bawiłeś się na plaży, w różowych spodenkach, Teal, czy zauważyłeś, że zawsze wykopiesz więcej piasku, niż możesz

z powrotem wsypać do jamy? Wilfredowi zostało tyle, że był zadowolony.

Teal kiwnął głową.

— To wszystko, co chciałem — powiedział, a Święty uśmiechnął się.

— Może sprawimy ci prezent — podsunął grzecznie.

Pojechali na Hanover Square samochodem Świętego. Simon był w formie. Teal poznał to po sposobie, w jaki prowadził wóz. Inspektor wcale nie był z tego rad. Jeszcze mniej się ucieszył, gdy Święty nakłonił go, by mu towarzyszył do urzędu.

— Żądam ochrony policyjnej — powiedział. — Potrafię sobie radzić ze Skorpionami, ale jeśli chodzi o poborców podatkowych... Choć różnica nie jest wielka. Takie same listy z groźbami, takie samo bezlitosne ograbianie uczciwych, ciężko pracujących ludzi, takie same kaprawe oczka...

— Zgoda — powiedział Teal słabo.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w ślad za Patrycją — do urzędu. Święty stanął przed wysoką



barierką, wzniesioną dla ochrony urzędników przed dzikimi atakami ich ofiar i grzmiącym głosem żądał dopuszczenia go przed oblicze pana Delborna.

Wreszcie do barierki podszedł przestraszony, niski mężczyzna.

— Chce się pan zobaczyć z panem Delbornem?

— Chcę.

— Dobrze, proszę pana. Co pana sprowadza?

— Jestem włamywaczem — odpowiedział Święty niewinnie.

— Tak, proszę pana. W jakiej sprawie chce się pan zobaczyć z panem Delbornem?

— W sprawie zapłaty mego podatku. Będę rozmawiał wyłącznie z panem Delbornem i nikim innym, a jeśli nie zostaną wpuszczony natychmiast, to nie tylko nie zapłacę ani pensa, ale rozbiorą to straszne miejsce na kawałki i poutykam w różnych ściekach należących do gminy Londyn. Przy okazji,

czy zna pan głównego inspektora Teala? Pan Teal, pan Veal. Pan Veal...

— Zechce pan zająć miejsce?

— Oczywiście — powiedział Święty.

Był w połowie drogi do schodów, gdy złapał go Teal.

— Słuchaj, Templar — powiedział detektyw dysząc ciężko przez nos — możesz mieć sobie Skorpiona w kieszeni, ale jeśli jest to według ciebie śmieszne...

Simon odstawił krzesło, które niósł, i poskrobał się po głowie.

— Ja tylko wypełniałem prośbę — odparł żałośnie. — Wydawała mi się trochę dziwna, ale pomyślałem, że u komornika zajęcie oznacza zabranie.

W towarzystwie Teala i Patrycji wszedł aż na górę schodów, tam postawił krzesło, usiadł na nim i nie chciał się ruszyć.

— Wracam do domu — powiedziała wreszcie Patrycja.

— Przynieś trochę pomarańczy — odparł Święty. — I nie zapomnij o swej robótce. O której

otwierają bramę?

Sytuację uratował powrót znękanego urzędnika.

— Pan Delborn przyjmie pana.

Poprowadził ich przez biuro i otworzył kolejne drzwi.

— Pańska godność?

— Gandhi — odpowiedział Święty i wszedł do gabinetu.

Po raz pierwszy w życiu Simon Templar zamarł w rodzaju paraliżu wywołanego niebotycznym zdumieniem.

Była to chwila największego oszołomienia w jego życiu. Walki, morderstwa, nagłe śmierci wszelkich rodzajów i odmian, najbardziej niszczycielskie momenty największych kataklizmów wstrząsających ziemią, których był świadkiem, traciły blask wobec oślepiającego błysku tej sekundy. Święty stał całkowicie nieruchomo, jego twarz była pozbawiona najmniejszych śladów uczuć. Stracił całą swą łatwość mówienia, mógł jedynie patrzeć.

Za biurkiem siedział Wilfred Garniman.

Wilfred Garniman we własnej osobie, wyglądał dokładnie tak, jak podczas pierwszego wypadu

Świętego do Harrow — w czarnym ubraniu, czarnym krawacie, model urzędnika mającego pięćdziesiąt

dwa cale w pasie. Wilfred Garniman siedział z zastygłym wyrazem zdumienia na twarzy, równie zaskoczony co Święty, lecz jego oblicze płonęło mu rumieńcem, a grube wargi szarzały.

Potem Święty odzyskał głos.

— Och, to ty, Wilfredzie? — W śmiertelnej ciszy słowa padały bardzo miękko — Mówi do ciebie

Simon Templar, nie duch. Odmówiłem zostania duchem, choć mnie pochowano. Tak samo Patrycja

Holm. Jest w tej chwili za drzwiami, gdybyś chciał się z nią zobaczyć. Podobnie jak i główny inspektor

Teal — z twoim zdjęciem w kieszeni... Wiesz, jak mi ciężko, kochasiu? Obiecałem twą głowę

Tealowi, a powinienem cię zabić sam. Pogrzebałeś Pat żywcem czy próbowałeś... Jesteś też tą tłustą świnią, która wymuszała ode mnie zapłatę tych koślawych podatków. Nic dziwnego, że w wolnym czasie stawiałeś się Skorpionem. Nie muszę się zakładać, że zacząłeś w tym biurze, od rzeczy, które wydusiłeś z ludzi pod pozorem dochodzeń urzędowych... Przyszedłem tu, by dać ci tysiąc trzysta trzydzieści siedem funtów, dziewiętnaście i pół pensa z twoich pieniędzy, prosto z sejfu pod pewnym bardzo interesującym krzesłem, Wilfredzie...

Ujrzał zapowiedź gestu Garnimana i skoczył w bok. Kula zdarła mu skórę z jednego z dolnych żeber, choć poczuł to dopiero później. Znalazł się przy ciężkim biurku i chwycił je za brzeg. Przez niesamowitą chwilę patrzył z odległości dwóch jardów w oczy Wilfreda Garnimana, który właśnie wstawał z krzesła. Przesuwał pistolet, by strzelić po raz drugi, a huk pierwszego strzału wisiał jeszcze

w powietrzu. Z tyłu Simon usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi.

A potem — trudno powiedzieć, że przewrócił biurko. Coś tak słabego oznaczałoby wyrok śmierci wykonany jednocześnie na Patrycji Holm, Claudzie Eustace Tealu i nim samym — co najmniej. Święty

wiedział o tym.

Gdy jednak tamci wpadli do pokoju, ujrzeli, że Święty uniósł całe biurko w dwóch rękach pomimo niepewnego chwytu i cisnął nim mocno w ścianę, a Wilfred Garniman cofał się przed nim jak wielka wypasiona mucha przed kulą armatnią... I rzeczywiście, tak było...

Wieści o procesie w Old Bailey dotarły do Palmy jakieś sześć tygodni później, w postaci starej gazety, którą Patrycja Holm znalazła pewnego ranka.

Simon Templar nie był nimi wcale zainteresowany, ale zaciękała go bardzo fotografia u góry strony. Fotoreporter spisał się fatalnie; główny inspektor Teal, bohater sprawy, uchwycony niespodzianie podczas schodzenia na Newgate Street w chwili wsadzania do ust nowej gumy do żucia,

wyglądał groteskowo. Zupełnie jak wściekły dorsz z naroślą na języku.

Simon wydarł zdjęcie i nakleił je na wielkiej pocztówce. Poniżej napisał:

*Claud Eustace Teal, uradowany całkiem,*

*Kręci swym trzecim migdałkiem;*

*Bo każdy policjant za nieprzystwoite ocenia*

*Pokazywać swe migdałki bez odzienia.*

— Powinien to być promyk słońca w zakurzonej życiu Clauda — powiedział Święty podziwiając swe dzieło.

Może i miał rację, bo przez pomyłkę pocztówkę dostarczono zastępcy komisarza, znanemu z wyjątkowo złośliwego języka, który na pewno nie pozwolił zapomnieć o niej Tealowi przez wiele dni.

## **CZEŚĆ II**

### **DZIEŃ MILIONA FUNTÓW**

#### **ROZDZIAŁ I**

Krzyk zabrzmiał z dramatyczną wściekłością, ale szybko zamarł. Simon Templar zastanawiał się przez chwilę po otwarciu oczu, czy to nie był tylko sen.

W samochodzie panowały absolutne ciemności, a poprzez cienką warstwę szronu na szybach widział zaledwie mętne zarysy kilku drzew na bladym, płaskim tle nieba. Spojrzenie na podświetloną tarczę zegarka powiedziało mu, że jest za piętnaście piąta, spał tylko dwie godziny.

Odwiedziny u przyjaciół mieszkających na dalekich krańcach Kornwalii, jakieś trzynaście cali od przylądka Land's End, zakończyły się przed przeszło siedmioma godzinami. Święty poczuł się trochę znużony po trzech dniach spędzonych w towarzystwie dwóch młodych duszyczek, które dochodziły do

siebie po miodowym miesiącu, wyruszył więc nocą samochodem z powrotem do Londynu. Kilka mil za Basingstoke skręcił w boczną drogę, by wypalić papierosa, zjeść kanapkę i podrzemać. Papierosa i

kanapkę miał już za sobą, lecz drzemka miała potrwać do wpół do siódmej, kiedy niebo stanie się

jasne

i czyste. Nastawił się na tę godzinę i wiedział, że nawet o minutę nie spóźni się z otwarciem oczu. I nie spóźnił się, ale nie powinny się także otworzyć nawet o minutę wcześniej, chyba że... Święty siedział chwilę czy dwie bez ruchu, wyęzając słuch w oczekiwaniu najslabszego dźwięku, który mógłby dać mu jakąś wskazówkę i pamięć, by przywołać ostatnie chwile snu oraz głos, który go obudził. Potem, jednym szybkim, mocnym ruchem nacisnął klamkę drzwi i wysunął się na drogę. Wcześniej zrozumiał, że ten krzyk nie mógł być wytworem jego wyobraźni. Ostry wrzask przerażenia nadal tkwił mu między bębenkami a mózgiem; echo ohydneho, piskliwego szlochu ciągle zdawało się brzmieć w powietrzu. A stłumiony tupot biegnących nóg jedynie potwierdził to, co już wiedział.

Stał w cieniu samochodu czując w nozdrzach zimny, wilgotny zapach świtu i słysząc zbliżające się kroki. Dochodziły od strony głównej szosy, teraz, gdy znalazł się poza samochodem, dobiegły do jego uszu bardzo wyraźnie. W ciszy roztaczającej się wokół tak się wyróżniały, że niemal mógł widzieć biegnącego. Ta sama groza, która przenikała wrzask, wybijała teraz dziki rytm pędzących stóp to samo

przerażenie ściskające gardło, przełożone teraz na ruchy mięśni. Bo nie był to zwykły bieg. Te nogi kopały, potykały się, zataczały, waliły w szalonej, krępującej ruchy i wyrywającej serce ucieczce człowieka, który stracił rozum na widok wszystkich męczarni piekła...

Simon poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba. Za chwilę mógł już słyszeć pełne bólu dyszenie, ale pozostał na miejscu. Odsunął się lekko od samochodu i przycupnął na zakręcie, niecały jard od drogi, kryjąc się całkowicie w cieniu żywopłotu.

Najbardziej podstawowa dedukcja powiedziała mu, że nikt nie biegłby tak, gdyby po piętach nie deptałoby mu źródło grozy i że nikt tak nie krzyczałby, gdyby nie poczuł na ramieniu zaciskającej się dłoni nieodwołalnego losu. Dlatego Święty czekał.

Biegnący pojawił się na zakręcie drogi.

Simon rzucił na niego jedno spojrzenie — człowiek średniego wzrostu i tuszy, bez płaszcza, oglądał się nieustannie za siebie i wymachiwał pięściami. W pierwszym, bladym świetle dnia jego twarz wydała się szczupła i zapadła, z małą wąską bródką i wybałuszonymi oczami.

Był wykończony. Musiał być w tym stanie już dwieście jardów wcześniej, ale ostateczny kres dopadł go na zakręcie. Nogi go zawiodły i runął, jakby podcięty przez ukryty w poprzek drogi drut. W

ostatnim odruchu ściganego zwierzęcia odwrócił się i padł w małą ścieżkę. Tam pochwyciły go silne ramiona Świętego.

Uciekinier spojrział w twarz Simona. Jego wargi ułożyły się w jakieś słowo, ale z gardła wydobyło się jedynie dyszenie. Potem zamknął oczy i rozluźnił ciało, a Święty położył go uważnie na ziemi.

Następnie Templar wyprostował się i znowu ukrył w mroku. Niebo powoli przejaśniało się i zdawało

się jedynie podkreślać osłaniający go cień, wydobywając jednocześnie szczegóły drogi. Za chwilę

Simon usłyszał jak zbliża się drugi człowiek.

Jego kroki były tak ciche, że nie mógł usłyszeć ich wcześniej, teraz dobiegały z odległości zaledwie kilku jardów, lecz mimo to umknęłyby uwadze kogoś o słabszym słuchu. Ale Święty je rozpoznał — ktoś poruszał się pewnie i cicho jak duch. Drugi błysk niesamowitego zaskoczenia objął mu głowę i spłynął wzdłuż kręgosłupa jak kłujący strumyk lodowatej wody. Bo zbliżające się nogi były ludzkie, lecz bose...

Nadchodzący minął zakręt. Simon ujrzał go równie wyraźnie, jak pierwszego człowieka, a nawet bardziej.

Stał wielki i wyprostowany u wylotu ścieżki, wpatrując się w mrok. Słabe światło nieba padało na szeroką, czarną twarz o prymitywnych rysach i rzucało srebrzyste błyski na ogromne, hebanowe kształtach. Miał na sobie jedynie luźno zawiązaną opaskę na biodrach, a lśniące połacie straszliwej klatki piersiowej unosiły się w potężnym rytmie oddechu. Trzeci i ostatni wstrząs zrozumienia ścisnął

imadłem głowę Świętego, gdy ujrzał najgorsze — dziką determinację wspaniałego zwierzęcia, gdy wyczuł pierwotną, okrutną żądzę błyszczącą w oczach i rozchylającą grube wargi. Niemal czuł chorobliwy zapach gnijącej dżungli, zatruwający czyste, chłodne powietrze angielskiego świtu, napływający w ciepłych, odurzających falach od ścigającej bestii przemierzającej kontynenty i stulecia bosymi nogami.

Podczas gdy Simon przyglądał mu się z fascynacją, Murzyn ujrzał postać leżącą na środku ścieżki i podszedł ze zwierzęcym warczeniem bulgoczącym w gardle.

Wtedy to Święty, z wysiłkiem zarówno ciała, jak i umysłu wyrwał z myśli stalowe szpony hipnotycznego czaru, który go sparaliżował i również się poruszył.

— Dzień dobry — powiedział grzecznie, ale były to ostatnie uprzejmie słowa, jakie padły tego dnia z jego ust. Nikt, kto kiedykolwiek znał Simona, nie żywił wątpliwości co do jego męstwa. Nikt też, kto

widział go w walce, nie podważał słuszności tej opinii. Zdarzały się jednak chwile, kiedy Święty wiedział, że droga chwały wiedzie jedynie do grobu. Może dzięki temu łatwiej będzie zrozumieć dlaczego, po tym jedynym ustępstwie wobec wymogów etykiety, spuścił z tonu i zaniedbał konwenansów.

Żaden jednak podręcznik dobrego wychowania, choć zawierają one interesujące i pomocne wskazówki w kwestii adresowania listów do archidiakona, umieszczania Wielkiego Lamy na właściwym miejscu przy stole w stosunku do Wielkiego Księcia Hercegowiny i redagowania zaproszeń

na otwarcie bazarów na rzecz Domu dla Pomocników Wulkanizatorów Pęcherzy Rybnych, nic nie wspomina o takiej sytuacji, w jakiej znalazł się Święty. Uznał przeto, że formy grzecznościowe pozostawiają mu wolne ręce. Murzyn, zastygły w pozycji, w jakiej zaskoczył go uprzejmy głos Świętego, wpatrywał się w ciemności. Z nich to, jak kula armatnia, wyleciał Simon. Wynurzył się w szalonym skoku, z taką gwałtownością, jakby nagle zmaterializował się w czwartym wymiarze.

Murzyn nie miał czasu na zrobienie najmniejszego ruchu. Ofiarę zaskoczył nagły impet. Impet ten wyszedł od palców lewej stopy Świętego, objął lewą łydkę, wspiał się na udo, aż wreszcie uzyskał swą końcową moc od potężnych mięśni bioder. Potem, w wyniku skrętu ciała, spłynął nowym kanałem; przeszedł napiętymi ścięgnami prawej nogi, nabierając w każdym calu drogi nowych sił i wytrysnął z czubka buta całą niszczycielską energią dziesięciu ton pędzącej wody ściśnionej do najwęższej końcówki węża ogrodowego. I w chwili, kiedy czubek prawego buta Simona skupił w sobie całą miażdżącą szybkość i masę, wylądował dokładnie w środku geometrycznym brzucha Murzyna.

Gdyby uderzenie trafiło na piłkę footballową, strzępy rozdartej skóry spadłyby pewnie gdzieś na północ od gmachu Towarzystwa Ubezpieczeniowego w Aberdeen. Lądując zaś na brzuchu człowieka, choćby nawet olbrzyma, wywołało równie niszczycielski skutek, choć odrobinę mniej spektakularny. Simon usłyszał soczyste *tup!* swego buta i zobaczył, że uderzony cofnął się o trzy stopy, jakby trafił go taran. Dychawiczne *fiuu* gwałtownie opróżnianych płuc zlało się z innymi efektami dźwiękowymi i skończyło stłumionym chrząknięciem. A potem Murzyn rozpląszczył się na drodze jak posąg z masła, który spadł na nadmiernie rozgrzany piec...

Simon otworzył szybko samochód, podniósł brodatego mężczyznę z ziemi, wrzucił go na siedzenie i zatrzasnął drzwiczki.

Pięć sekund później siedział za kierownicą zapuszczając zimny silnik.

Dotknął startera i w snopie światła ujrzał Murzyna dźwigającego się na ręce i kolana. Wcisnął pedał i samochód skoczył błyskawicznie naprzód. Zahaczając błotnikiem o długą trawę na poboczu, po chwili znalazł się na szerokiej szosie. Dziesięć jardów dalej, w pełnym świetle reflektorów zobaczył policjanta w mundurze, który zeskoczył z roweru i wybiegł na środek drogi z rozpostartymi rękoma. Simona niemal zatkało. Natychmiast zrozumiał, że krzyk który go obudził, musiał być słyszany z daleka. Zachowanie policjanta wskazywało na coś więcej niż ciekawość, której Święty w tym



momencie był zdecydowany unikać.

Zwolnił, a konstabl skwapliwie podskoczył do samochodu. Wówczas Święty zwiększył obroty silnika, puścił sprzęgło z hukiem i popędził rycząc przez świt, a daremne krzyki policjanta pozostały w tyle.

## ROZDZIAŁ II

Było już zupełnie jasno, gdy skręcił w Upper Berkeley Mews i stanął przed swoimi drzwiami.

Otworzyły się, nim zdążył zgasić silnik.

— Cześć, chłopcze! — powiedziała Patrycja. — Spodziewałam się ciebie za godzinę.

— Ja też — odparł Święty.

Pocałował ją lekko w usta i stanął w czapce zsuniętej zawadiacko na tył głowy i skórzanym płaszczu zwisającym mu z szerokich, potężnych ramion. Ściągał rękawiczki obdarzając ją jednym ze swych tajemniczych uśmiechów.

— Coś ci przywiozłem — powiedział.

Otworzył tylne drzwiczki, a dziewczyna zajrzała z ciekawością do samochodu. Pasażer leżał nadal nieprzytomny, jak bezwładna mumia w kocu podróżnym, którym owinał go Święty. Jego blada twarz zwrócona była do góry.

— Ale kto to jest?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odpowiedział Święty. — Dla wygody ochrzciłem go jako Beppo. Na jego koszuli jest metka z Mediolanu, i nawet sam Sherlock Holmes nie wydedukowałby więcej. Jeszcze nie jest na tyle przytomny, by przekazać jakiegokolwiek informacje.

Patrycja Holm spojrzała na Simona i dostrzegła wojowniczy błysk w oku, cień „świętości” w kąciку uśmiechniętych ust. Przechyliła piękną główkę.

— Znów wpadłeś w tarapaty?

— Było to dość jednostronne spotkanie — powiedział Święty skromnie. — Bambo nie miał szans

— nie mogłem na to pozwolić. Ale przestrzegałem wszystkich zasad boksu. Nie było uderzeń poniżej pasa, ani nie zawiązanych rękawic.

— O kim teraz mówisz?

— Znów nie mam żadnych danych. I ponownie, dla wygody, nazwę go Jego Szczęśliwością Negro Spiritual\*. Teraz posłuchaj.

Simon chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie.

— Gdzieś między Basingstoke i Wintney — zaczął — miała miejsce wesoła zabawa, która bardzo nas interesuje. Przybyłem na nią zupełnie przypadkowo, po raz pierwszy w życiu, ale nie mam czasu ci

teraz o tym opowiadać. Rzecz w tym, czy gliniarz, który przybył dwie minuty za późno, zapisał mój numer. Z Beppo na tylnym siedzeniu nie mogłem się zatrzymać, by z nim pogadać i na pewno doszedł do błędnych wniosków. Zresztą słusznie, choć było niezupełnie tak, jak sądzi. Najwyżej dwadzieścia jardów dalej jest budka telefoniczna i jeśli Negro Spiritual nie udusił go wcześniej, to przed godziną przekazał mój numer do Londynu. Teal zacznie iść świeżym tropem, gdy tylko wyrwą go z łóżka.

Teraz wystarczy, że wiesz jedno: właśnie przybyłem i się kąpię. Przekaż te dobre wiadomości każdemu, kto zadzwoni i każdemu, kto zawoła. Wywieś też ręcznik w oknie, gdy ktoś się zjawi.

\* Negro Spiritual — pieśni religijne Murzynów amerykańskich (przyp. tłum.)

— Ale dokąd idziesz?

— Do „Berkeley” — umieścić tam pacjenta. Wpadłem tylko po to, by dać ci wskazówki. — Simon Templar wyciągnął papierosa i pstryknął zapalniczką. — Zaraz wracam — powiedział i skoczył za kierownicę.

Kilka chwil później jego samochód stanął na ulicy Berkeley, a Święty wszedł obrotowymi drzwiami do hotelu.

— Mój przyjaciel miał wypadek samochodowy — rzucił sennemu recepcjoniście. — Chcę teraz dla niego pokój, a o jedenastej lekarza. Może pan posłać kilku ludzi, by go przenieśli? Samochód stoi

przed drzwiami.

— Sto czterdzieści osiem — powiedział urzędnik bez zmrużenia oczu.

Simon zobaczył, jak wnoszono na górę jego nieprzytomnego pasażera, wcisnął półkoronówki w dłonie tragarzy i zamknął za nimi drzwi.

Potem wyjął z kieszeni cienkie, niklowane pudełko, zabrane ze skrytki w samochodzie. Odłamał szyjkę małej, szklanej ampułki i wciągnął bezbarwną zawartość do strzykawki. Jego podopieczny spał

nadal w skrajnym wyczerpaniu, a Simon nie wiedział, kiedy się obudzi. Chcąc mieć pewność, że nie nastąpi to szybko, wbił igłę w bezwładne ramię i wcisnął tłoczek aż do końca. Potem zamknął za sobą

drzwi na klucz i zszedł szybko schodami.

Na dole zatrzymał go recepcjonista.

— Przepraszam pana, pod jakim nazwiskiem mam go zapisać?

— Teal — odparł Święty, obdarzony dziwnym poczuciem humoru. — C.E. Teal. Podpisze się później.

— Tak, proszę pana.... Czy pan Teal nie ma bagaży?

— Żadnego. — Nowy dziesięciofuntowy banknot spłynął na biurko. — To zaliczka — powiedział

Święty. — Niech pan dopilnuje, by lekarz czekał tu na mnie o jedenastej, bo inaczej zerwę dach z tego

hotelu i ukoronuję nim pana.

Przekrzywił czapkę na bakier i wrócił do samochodu. Skręcając ponownie w Upper Berkeley Mews, zorientował się, że za pierwszym razem ledwo zdążył wrócić. Nie zdziwiło go to jednak, bo obliczył swoje szansę niemal co do sekundy. Ostrzegawczy biały ręcznik wisiał w oknie na piętrze, natychmiast

go zauważył i zaraz mocno skręcił kierownicę ustawiając samochód na podjeździe. Błyskawicznie wyskoczył ze środka, otworzył drzwi garażu, a za chwilę czy dwie samochód wpęzł tam tyłem przy

wyłączonej stacyjce.

Nie informując o tym nikogo, Święty, który stał się ostatnio właścicielem jednej strony Upper Berkeley Mews, dokonywał właśnie pewnych ciekawych przeróbek swej posiadłości, o jakich nie miała pojęcia rada hrabstwa Londyn i których nie uzgadniał z dzielnicowym zarządem budowlanym. Jego wielkiemu dziełu było jeszcze daleko do końca, ale już mógł się nim w pewnej mierze posłużyć. Simon wszedł po drabinie do pustego pokoju na piętrze. W rogu widniała nierówna dziura w murze. Przeszedł nią do drugiego, podobnego pokoju, również mającego otwór w ścianie. Następnie szybko minął numery 1, 3 i 5, aż wreszcie zanurkował w ostatnią dziurę. Odsunął zasłonę i znalazł się na terenie posesji numer 7, a dokładnie we własnej łazience.

Zdjął już krawat i rozpiął koszulę, a reszty ubrania pozbył się w drodze do wanny. Była pełna wody, nalanej uprzednio przez Patrycję.

— Pomyślała o wszystkim! — westchnął Święty w szerokim uśmiechu pełnego zadowolenia.

Wślizgnął się do wanny jak wydra, zanurzył z głową i niemal w tej samej sekundzie wyskoczył z potężnym pluskiem, wyciągając jednocześnie korek. Szybko owinął się ogromnym, włochatym, niebieskim płaszczem kąpielowym, chwycił ręcznik... Wbił stopy w parę kompletnie zdartych mokasynów zszedł, człapiąc po schodach, nucił przy tym jak człowiek, który nie ma na sumieniu ani jednego, dziecinnego grzeszku.

Tak wszedł do salonu.

— Przykro mi, stary, że musiałeś czekać — mruknął.

Główny inspektor Claud Eustace Teal wstał z fotela i przyjrzał mu się badawczo.

— Dzień dobry — powiedział.

— Bardzo piękny, prawda? — Święty zgodził się z nim chętnie.

Patrycja siedziała na drugim krześle i paliła papierosa. Według przepisów dobrego wychowania powinna była zabawiać gościa ożywioną rozmową, ale Święty, wyczulony na nastroje, po wejściu do

pokoju zauważył jedynie pełną napięcia ciszę. Nie zaniepokoiła go. Uniósł srebrną pokrywkę znad talerza z jajkami na boczku i powąchał potrawę z zadowoleniem — Nie masz nic przeciwko temu, że będę jadł, Claud? — mruknął.

Detektyw zawahał się. Gdyby nie przybył tu służbowo, radowałby się widokiem spokojnego, domowego życia. Nie był z natury pobudliwy, ale przesłuchania Świętego nigdy nie przebiegały tak, jak planował.

— Gdzie byłeś ubiegłej nocy? — wybuchnął.

— W Kornwalii — odpowiedział Święty. — Czarujące tereny Pełno tam przestrzeni. Znasz je?

— O której wyjechałeś?

— Punkt o dziewiątej pięćdziesiąt dwa.

— Czy ktoś to widział?

— Wszyscy, którzy zostali na nogach, widzieli mój odjazd — powiedział Święty ostrożnie. —

Część ludności męskiej padła trochę wcześniej, a inni byli wciąż przytomni, choć już mieli zamglony wzrok. Nie licząc siedmiu, których powaliła przed kilku dniami epidemia odry.

— A gdzie byłeś rano, między czwartą pięćdziesiąt a czwartą pięćdziesiąt pięć?

— W drodze.

— Może w pobliżu Wintney?

— Mniej więcej.

— Zauważyłeś tam coś szczególnego?

Simon zmarszczył brwi.

— Pamiętam wszystko dokładnie. Była godzina przed świtem. Śpiąca ziemia, ciągle opanowana przez czar nocy, leżała cicho pod blednącym niebem. Nad pełną spokoju sceną wszystko zamarło nasłuchując szmerów poranka. Cały świat czekał pełen nadziei jak dziewczyna kroków swego kochanka, czy kiełbasek na śniadanie...

Ruch, którym Teal ścisnął zębami trzonowymi kawałek gumy do żucia, miał w sobie dziwną krwiożerczość.

— Posłuchaj — warknął. — Dziś rano pomiędzy czwartą pięćdziesiąt, a czwartą pięćdziesiąt pięć, w pobliżu Wintney, oficer policji zatrzymywał hirondeła z twoimi numerami rejestracyjnymi, a ten uciekł!

Święty skinął głową.

— Tak, to byłem ja — powiedział niewinnie. — Śpieszyłem się. Czy zostanę za to pozwany?

— Nie tylko. Tuż przed twoim przejazdem, konstabl słyszał krzyk.

Simon kiwnął powtórnie.

— Tak, też go słyszałem. Sowy czasem brzmią upiornie. Miałem go podtrzymać na duchu?

— To nie była sowa.

— Tak? Też tam byłeś?

— Konstabl zameldował mi telefonicznie.

— I wykorzystałeś to. — Święty otworzył usta, wsadził do nich w odpowiednich proporcjach jajka, boczek i posmarowaną masłem grzanekę, a następnie wstał. — Teraz ty mnie posłuchaj, Claud Eustace.

— Puknął detektywa palcem w brzuch. — Czy masz nakaz rewizji, żeby nachodzić mnie i przesłuchiwać o tak nieludzkiej porze, czy o jakiegokolwiek innej?

— To należy do moich obowiązków.

— To należy do tylnej części świni cioci ogrodnika. Pomińmy to na chwilę. Czy nawet w twojej wypaczonej wyobraźni jest choć jedno przestępstwo, które mógłbyś mi zarzucić? Nie ma. Wiemy jednak, jak działa twój tak zwany mózg. Jakiemuś wiejskiemu gliniarzowi wydawało się, że ktoś rano krzyczał w Hampshire, a ponieważ akurat przejeżdżałem przez to hrabstwo, uznałeś, że muszę mieć z tym coś wspólnego. Gdyby ktoś ci powiedział, że w automacie w Blackpool znaleziono guzik zamiast szylinga, od razu sprawdziłbyś, czy byłem w promieniu stu mil od niego w ciągu sześciu miesięcy

przed tą zbrodnią. W Bostonie wyciągnięto z morza topielca, a ponieważ doszła cię plotka, że byłem w

Biarritz, po tej samej stronie oceanu, dwa lata wcześniej...

— Nigdy...

— Zawsze. A teraz znów coś ci nagadano. Nie masz nakazu rewizji, ale to ci wybaczymy. Czy chcesz pójść na górę, przeszukać szaty i sprawdzić, czy mam na ubraniu ślady krwi? Proszę bardzo.

Czy chcesz wpaść do garażu, zajrzeć do samochodu i zobaczyć, czy na tylnym siedzeniu nie ma zwłok? Wolna droga. Czuj się całkowicie jak u siebie w domu. Ale licz się z jednym. — Dyktatorski palec ponownie wbił się we wklęsłość w kamizelce detektywa. — Szukaj sobie — masz moje zezwolenie, ale jeśli nie znajdziesz niczego podejrzanego, pożałujesz, że twój ojciec nie zmarł jako kawaler, co mogło się zdarzyć, o ile wiem. Zaczynasz mnie nudzić, Claud i powiem ci, jak to się skończy. Zrobię ci takie piekło, że wyskoczysz pod niebo w wielkim balonie, a lądowanie nie będzie miękkie, bo rozplaszczysz się tak mocno, że krótkowidz nie zauważy, śladu po tobie. Chwyliłeś?

Teala zatkanęło. Jego anielska cera lekko poróżowiała i wiercił nogą jak uczeń przyłapany na wagarach. Trzeba mu jednak przyznać, że były to jedyne oznaki dziecinnego zachowania, których nie był w stanie opanować. Patrzył twardo w tańczące, kpiące, wyzywające, niebieskie oczy Świętego, który stał przed nim pewny siebie, nieskazitelny i dobroduszny nawet w śmiesznym płaszczu kąpielowym.

Główny inspektor Claud Eustace Teal kiwnął w końcu głową.

— Oczywiście — powiedział — jeśli tak stawiasz sprawę, nie mam nic do dodania.

— Nie masz — potwierdził Święty krótko. — A gdyby było coś, powiedziałbym ci.

Podniósł melonik detektywa, wytarł go ręcznikiem i wręczył Tealowi.

Ten go odebrał, obejrzał i westchnął. Wtedy Święty wziął go za ramię i poprowadził grzecznie, choć stanowczo do drzwi.

### **ROZDZIAŁ III**

— Jeśli to nie wytrąci Clauda Eustace z równowagi — zauważył Święty wracając z zapalem do śniadania — to przyjdzie chyba czekać na trzęsienie ziemi.

Patrycja zapaliła następnego papierosa.

— Dopóki nie przeszarżujesz — powiedziała. — *Qui s'excuse, s'accuse...*

— *I honi soit qui mai y pense* — rzucił Święty z wdziękiem. — Nie, najśłodsza — ten wybuch dojrzał od dawna. Ostatnio stanowczo zbyt często widywaliśmy Clauda Eustace i czuję, że sezon polowań na inspektorów dopiero się zaczyna.

— A co było z tym Beppo?

Simon zajął się drugim jajkiem.

— A tak! Beppo...

Powiedział jej, co widział i warto odnotować, że mu uwierzyła. Recital, wraz z niezbędnymi komentarzami i ozdóbkami, ciągnął się przez grzanekę z marmoladą. Wreszcie Patrycja wiedziała tyle co i on, czyli niewiele.

— Ale niedługo będziemy wiedzieć znacznie więcej — powiedział. Wypalił kilka papierosów, przejrzał nagłówki gazet i poszedł na górę. Kilka minut z wielką energią machał ciężkimi maczugami, potem się ogolił i zanurzył po raz drugi i na dłużej w wannie pełnej piany i vox humana. Był gotów wywiercić dziury w trzech różnych bokserach wagi ciężkiej. Nie miał żadnego pod ręką, przeto wybrał nowe ubranie, odział się leniwie i gdy zszedł ponownie do salonu wyglądał jak skondensowany promień słońca.

— Koktajl u Brutona za piętnaście pierwsza — mruknął i wyszedł. Wtedy, a była dokładnie 10.44, jeśli ktoś się pyta, liczba ludności Upper Berkeley Mews wzrosła o jedną, podejrzliwą osobę. Świętego

to nie zdziwiło. Spotykał się już wcześniej z czymś takim. Stanowiło to jeden z nieuniknionych skutków złośliwej detektywozy, która okresowo opanowywała ciężką postać głównego inspektora



Teala, a po porannej krótkiej, lecz wyczerpującej wymianie uprzejmości Simon Templar byłby bardzo

rozczarowany, gdyby nie dostrzegł żadnych symptomów nawrotu choroby.

Simon nie okazał wzburzenia. Uchylił grzecznie kapelusza przed tajniakiem, nie doczekał się odpowiedzi i ruszył spokojnie dalej. Szedł leniwie na zachód, uliczkami Mayfair, aż na jednej z najmniejszych złapał taksówkę i odjechał machając przez okno chusteczką do wściekłego tajniaka, który stojąc na krawężniku, gorączkowo wypatrywał innej taksówki, by kontynuować tropienie.

Bezskutecznie.

Na rogu Dover Street i Piccadilly Simon zapłacił taksówkarzowi i ruszył do „Berkeley”. Brakowało jeszcze kilku minut do jedenastej, ale recepcjonista, poganiany być może zdecydowaną postawą Świętego, sprowadził już lekarza. Simon poprowadził go do pokoju pacjenta i doznał wstrząsu, gdy pomógł mu zdjąć koszulę. Kilka chwil patrzył w milczeniu, a potem lekarz, który też się przyglądał, obrócił ku niemu swą trochę pobladłą twarz.

— Podobno pański przyjaciel miał wypadek — powiedział tępo, a Święty przytaknął.

— Zdarzyło mu się coś bardzo nieprzyjemnego. Może pan go zbadać?

Zapalił papierosa i podszedł do okna. Stał tam przypatrując się ruchowi na Berkeley Street, aż doktor podszedł do niego.

— Wygląda na to, że pański przyjaciel dostał zastrzyk skopolaminy i morfiny — słyszał pan chyba o częściowej narkozie. Rany widział pan sam — nie znalazłem innych.

Święty kiwnął głową.

— Sam dałem mu ten zastrzyk. Powinien się niedługo obudzić. Dostał mniej niż jedną setną grama skopolaminy. Chce go pan zabrać do kliniki?

— Nie uważam tego za konieczne, chyba że on tak zechce, panie...

— Travers.

— Panie Travers. Powinien oczywiście mieć fachową opiekę.

— Załatwię to.

Lekarz skinął głową. Potem zdjął *pince-nez* i spojrzał Świętemu prosto w oczy.

— Czy wie pan, jak jego przyjaciel doznał tych obrażeń? — zapytał.

— Domyślam się. — Święty strącił z papierosa krótki cylinder popiołu. — Wygląda na to, że bito go kańczugiem z niewyprawionej skóry, a także przypalano rozżarzonym żelazem.

Doktor złożył palce wskazujące.

— Musi pan przyznać, panie Travers, że są to dość niezwykle okoliczności.

— Może to pan pomnożyć dwukrotnie, a i tak nikt nie zarzuci panu przesady — zgodził się z przekonaniem Święty. — Ale jeśli wzburza to pana zawodowe sumienie, mogę jedynie stwierdzić, że wiem tyle co i pan. Opowieść o wypadku miała jedynie zaspokoić ptaszki z dołu. Tak naprawdę nad ranem znalazłem naszego przyjaciela leżącego przy drodze i zdecydowałem się nim zająć.

Niewątpliwie tajemnica w końcu się wyjaśni.

— Oczywiście, zawiadomił pan policję.

— Już rozmawiałem z pewnym detektywem, na pewno zrobi wszystko, co będzie mógł — stwierdził Święty zgodnie z prawdą. Otworzył drzwi i stanowczo poprowadził lekarza korytarzem.

Zechce pan później odwiedzić pacjenta?

— Nie sędzę, by było to konieczne, panie Travers. Wieczorem należy mu zmienić opatrunki — wystarczy do tego pielęgniarka. Przyjdę jutro rano.

— Dziękuję panu bardzo. Spodziewam się pana o tej samej porze. Do widzenia.

Simon serdecznie potrząsnął ręką lekarza, poprowadził go zwawo do drzwi windy i patrzył, jak zjeżdża w dół. Potem wrócił do pokoju, napełnił szklanekę wodą i usiadł na krześle obok łóżka. Pacjent

spął spokojnie i Simon, spojrzawszy na zegarek, przygotował się na czekanie, aż lekarstwo przestanie

działać.

Gdy kwadrans później kończył papierosa, pacjent poruszył się i jęknął. Jego wąska dłoń powędrowała do nagiego gardła, a głowa opadła na bok i zamrużyła powiekami. Gdy Simon pochylił się nad nim, spomiędzy osłabłych warg doszedł ochryply szept.

— *Acqua...*

— Jasne, bracie — Simon podtrzymał głowę nieznajomego i przyłożył mu szklankę do ust.

— *Mille grazie.*

— *Prego.*

Nieznajomy opadł znowu, potem otworzył oczy i spojrzał na Świętego.

Przez dłuższą chwilę w oczach tych nie sposób było dojrzeć najmniejszej iskierki zrozumienia, wpatrywały się w przestrzeń tępo i pusto jak u niewidomego. Potem, powoli, rozszerzyły się w okrągłe

stawy wielkiego przerażenia i Włoch skurczył się z cichym krzykiem uwięzłym w gardle. Simon chwycił jego dłoń i uśmiechnął się.

— *Non tema. Sono un amico.*

Dopiero po jakimś czasie zdołał trochę uspokoić leżącego, w końcu jednak pozyskał jego zaufanie i Włoch opadł w milczeniu na poduszki.

Simon ściągnął brwi i wyciągnął papierośnicę.

Wtedy nieznajomy odezwał się ponownie, nadal cicho, ale już innym głosem.

— *Quanti ne abbiamo quest'oggi?*

— *Eil due ottobre.*

Nastąpiła przerwa.

— *Vuolfavorire di dirmi il suo nome?*

— Templar — Simon Templar.

Kolejna pauza, a potem Włoch zwrócił głowę i znów spojrzał na Świętego. Odezwał się niemal doskonałą angielszczyzną.

— Słyszałem o panu. Nazywają pana...

— Rozmaicie. Ale to było dawno temu.

— Jak mnie pan znalazł?

— Cóż — to raczej pan znalazł mnie. Włoch przesunął dłonią po oczach.

— Przypominam sobie. Biegłem. Upadłem. Ktoś mnie złapał... — Nagle chwycił Świętego za nadgarstek. — Czy widział go pan — *jego*?

— Pańskiego szanownego przyjaciela? — mruknął Simon lekko. — No jasne. On też mnie zobaczył, ale za późno. Tak, spotkaliśmy się.

Uchwyt drżących palców powoli osłabł i nieznajomy leżał spokojnie, oddychając urywanie przez nos.

— *Voglia scusarmi* — powiedział w końcu. — *Mi vergogno*.

— *Non ne val la pena*.

— Jakbym obudził się z koszmarnego snu. Nawet teraz... — Włoch spojrział na bandażę otulającą całą górną część jego ciała i zaczął drżeć. — Pan mnie opatrzył? — zapytał.

— Nie, lekarz.

Leżący rozejrzał się po pokoju.

— A to?

— To hotel „Berkeley” w Londynie.

Włoch kiwnął głową. Zakrztusił się, a Simon ponownie napełnił szklankę i dał mu. Znow zapadło milczenie, tym razem tak długie, że Święty pomyślał, iż jego pacjent zasnął. Wstawał, gdy Włoch poruszył się i złapał go za rękę.

— Chwilę. — Padające słowa były spokojne i trzeźwe. — Muszę z panem pomówić.

— Jasne. — Święty uśmiechnął się do niego. — Ale czy musi to być teraz? Może lepiej odpocznie pan trochę, czy coś zje...

Włoch pokręcił głową.

— Potem. Może pan usiąść?

I Simon Templar usiadł. Słuchał, niemal bez ruchu, a duża wskazówka jego zegarka pokonała całą tarczę. Słuchał w wielkim skupieniu, podczas gdy krótkie, precyzyjne zdania opowieści Włocha układały się w kształt, jakiego nie mógłby sobie nigdy wyobrazić. Gdy powoli schodził po schodach, było już po pierwszej, a jedna z najbardziej potwornych zbrodni w historii wirowała mu w głowie niby rotor prądnicy.

Pochłonięty rozmyślaniami nad tym, co usłyszał, szedł Berkeley Street niby lunatyk. Tak się zapamiętał, że wpadł i niemal powalił mężczyznę idącego w stronę Piccadilly. Odstąpił na krok mrużąc przeprosiny, z roztargnieniem zauważył kątem oka błyszczący, purpurowy garnitur, cytrynowe rękawiczki, laskę ze złotymi okuciami, lawendową koszulę, krawat w groszki i... Wzrok Świętego tylko przez chwilę spoczął na twarzy mężczyzny. Potem minęli się bez znaku rozpoznania, bez drgnienia powiek. Ale Święty poznał...

Poznał tę dziką, wyniosłą twarz, niby maskę z czarnego marmuru, bo do tego poranka nigdy w życiu nie widział podobnego oblicza. Wiedział też na pewno, że te oczy rozpoznały go w tej samej chwili —

i tak samo nie zdradziły się z tym. Święty poszedł dalej na Berkeley Square, gdzie wstąpił do klubu „Bruton”. Czuł, choć się nie oglądał, że czarne oczy śledzą go i wiedzą, gdzie wszedł.

## ROZDZIAŁ IV

Mimo wszystko Święty przywitał Patrycję uśmiechem równie wesołym i beztróskim jak zawsze.

— Potrzebowałbym — powiedział zanurzając się w fotelu — trzech dużych, podwójnych „Martini” w wielkiej szklance. To dla wygładzenia żołądka. Potem będę w stanie zająć się pragnieniem, które ugaszą dopiero dwa galony gorzkiego piwa.

— Dostaniesz jedno „Martini”, a potem zjemy obiad — odparła Patrycja i Święty westchnął.

— Nie masz serca — rzekł ze skargą. Patrycja odłożyła gazetę pod stolik.

— Co nowego, chłopcze?

— U Beppa?... Cała kupa spraw. Wystarczy, że powiem ci dla przykładu jedno: Beppo to ni mniej, ni więcej tylko ksiązę Fortezza, obecny prezes Banku Włoskiego.

— Kto?

— Obecny prezes Banku Włoskiego, a to nie wszystko. Na początek powiem ci, Pat, że toczy się niezła gra i, na Boga, możemy nigdy nie trafić na lepszą! — Simon podpisał z zawijaszem rachunek na tacy kelnera i rozsiadł się znowu, zajmując się marzycielsko „Martini”. — Pamiętasz może, że ostatnio

w gazetach podano, iż Bank Włoski przygotowuje wydanie nowych, oryginalnych banknotów?

— Coś rzuciło mi się w oczy.

— Mnie też. Zamówienie złożono u Crosby Dormana, jednej z naszych największych firm poligraficznych, która drukuje pieniądze i znaczki pocztowe dla kilku dziwnych państw. Beppo załatwiał kontrakt. Najpierw dostarczył płyty i zamówienie, a przed tygodniem przybył ponownie, by odebrać blaszane skrzynki pełne kolorowych papierków wartych trzy miliony funtów.

— A dalej?

— Powiem ci, co było dalej. Zamówiono dodatkową forszę, wartą milion funtów i złożono ją w oddzielnym pudle. Zamówienie przysłano na urzędowym formularzu, z podpisem Beppa w południowo-wschodnim narożniku. Tymczasem Beppo się rozchorował. Pierwsza paka waluty odpływa bez niego, złotym galeonem, otoczona z wszystkich stron przez żołnierzy, agentów tajnych służb i detektywów, wszystkich uzbrojonych po zęby i wyżej. Kolejny liścik przeprasza za nieobecność

Beppa i poleca eskortie dopilnować wszystkiego, a trzeci tłumaczy identycznie całą sprawę Bankowi.

Patrycja wyprostowała się.

— A skrzynka jest pusta?

— Skrzynka jest zapakowana po brzegi, sztywna od laku pieczęci i zawiera wszystko zgodnie z fakturą.

— Ale...

— Oczywiście, jest ale. Ta skrzynka miała dotrzeć na miejsce. Przygotowywana jest nowa dostawa. Zawartość tamtej jest na rynku dopiero od trzech dni. I już zarzucono wędkę po wielką zdobycz, którą ma być druga skrzynka, zawierająca około miliona banknotów stulirowych, łatwych do wymiany na funty. A cały Bank Włoski, wszyscy bez wyjątku kasjerzy, urzędnicy, portierzy, cała czujna armia żołnierzy, agentów tajnych służb i detektywów, uzbrojonych po zęby i wyżej, jest równie nieświadoma

istnienia tego miliona co nienarodzona córeczka łaziebnej Kalifa.

Dziewczyna spojrzała nań ze zdumieniem

— Chcesz powiedzieć, że Beppo stał za tym wszystkim?

— Czyż to nie oczywiste? — Simon Templar zwrócił się ku niej z uniesioną podejrzliwie jedną brwią. — Gdybyś mogła go widzieć... Nie stał. Oddali go w ręce Negro Spiritual, a ta wielka świnia

bawiła się z nim tak długo, aż podpisał. Gdybym ci powiedział, co mu zrobili, nie byłoby ci tak spieszno do obiadu. — Wargi Świętego na chwilę zacisnęły się mocno. — Został posiekany, a gdy go

zobaczysz, zrozumiesz dlaczego. Ta banda odniosła się bardzo przyjacielsko do Beppa!

Patrycja siedziała w zamyśleniu, a Święty opróżniał szklanę.

— Co to za banda? — Wreszcie zapytała. Simon przesunął papierosa w kącik ust.

— Cóż, można ją określić jako mieszaną. — odparł. — Ale największy dziób ma tam ptaszek nazwiskiem Kuzela, którego jeszcze nie spotkaliśmy, lecz którego zamierzam wkrótce poznać.

— A te pieniądze?

— Zostaną dziś przekazane ludziom Kuzeli. — Święty zerknął na zegarek. — Są teraz

przekazywane. A w ciągu dwudziestu czterech godzin w paczkach polecą do jego agentów w Paryżu,

Berlinie, Wiedniu i Madrycie. Przez tydzień będą wracać do niego tymi samymi kanałami — tym razem w postaci plików prawdziwych franków, marek, pesetów, podczas gdy milion całkowicie autentycznych banknotów stulirowych o nieznanach numerach dotrze do Banku Włoskiego, który zacznie myśleć, że świat wali mu się na głowę... Rozumiesz mnie, Pat?

Przejrzyste niebieskie oczy spojrzały z tak dobrze jej znanym kpiarskim, zuchwałym błyskiem i następne pytanie zadała niemal mechanicznie.

— Zajmiesz się tym?

— Tak, staruszek. I bez żadnych pytań. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, bo przy najmniejszym przecieku wybuchłaby panika na giełdzie. Każdy z tego dodatkowego miliona banknotów musi być zabrany i przekazany pod czułą opiekę Beppa, a człowiek, który tego dokona, zabierze się zaraz do obiadu.

Posiłek przeszedł bez dalszych zwierzeń, bo Święty tak wolał... Nie wspomniał też nawet słowem o swym ostatnim spotkaniu z Negro Spirituals. Po obiedzie, kiedy Patrycja zamówiła kawę, burzliwe dzieje tego dnia wzbogaciły się o następne wydarzenie, uznane przez Simona za całkowicie osobiste. Poszedł do telefonu, by postawić skromne dziesięć funtów na pewnego konia, i właśnie wracał, gdy zatrzymał go portier.

— Przepraszam pana bardzo, ale czy przyszedł pan tutaj z „Berkeley”?

Święty przystawił prawą nogę do lewej i o milimetr obniżył brwi.

— Tak — byłem tam rano.

— Kolorowy dżentelmen przyniósł to dla pana. Powiedział, że upuścił pan je przy wychodzeniu z hotelu, ale stracił pana w tłumie podczas podnoszenia zguby. Gdy jednak przechodził Lansdowne Passage, ujrzał pana przypadkowo w jednym z okien i przyniósł to tutaj. Z opisu, jaki podałem, wywnioskowałem, że musi chodzić o pana.

— Och, na pewno.



Święty, który nigdy w życiu nie posiadał cytrynowych rękawiczek, chwycił je żywo i wsadził do kieszeni.

— Co za zbieg okoliczności — zagadnął portier. — Akurat tędy przechodził i akurat spojrział w okno, gdy pan w nim stał.

— Bardzo dziwne — zgodził się Święty z powagą, zwracając sobie uwagę, by wystrzegać się na przyszłość wszelkich okien. Odwróciwszy się nagle ruszył szybko do ustronnego zakątka.

Rozwinął rękawiczki w umywalce, zaglądnął do nich ostrożnie przy pomocy pióra i automatycznego ołówka.

Nie miał najmniejszego pojęcia, jaka potworność z Afryki Wschodniej może się czaić w tych żółtawych paskudztwach, ale na pewno trochę się zdziwił, gdy zobaczył, co wypadło z pierwszej rękawiczki. Było to po prostu cienkie drewnienko, pomalowane z obu stron i pokryte czymś ciemnym. Chwilę czy dwie patrzył na to bez wyrazu. Potem podniósł odłamek dwiema zapałkami i umieścił ostrożnie w papierośnicy. Następnie zwrócił uwagę na drugą rękawiczkę i wyciągnął z niej złożony kawałek papieru. Przeczytał wiadomość:

*Jeśli przybędzie pan dziś o północy do Hampstead, Vandermeer Avenue 85, dojdziemy zapewne do rozwiązania zadowalającego obie strony. W przeciwnym wypadku konsekwencje pańskiej interwencji*

*mogą się, niestety, okazać godne pożałowania.*

K.

Simon Templar trzymał wiadomość w wyciągniętej ręce, pod światło i obserwował zezując.

— Tak wieloryby składają jaja — powiedział w końcu, gdy już znalazł ton dostatecznie wyprany z emocji.

Potem roześmiał się i wrócił do Patrycji.

— Jak wszystko dobrze pójdzie, dostaniesz nowy kapelusz — powiedział, a dziewczyna przyjęła te słowa z uśmiechem.

— A co będzie wcześniej? — zapytała.

— Pojedziemy na małą wycieczkę — odparł Święty.

Wyszli razem z klubu i wsiedli do taksówki, którą ktoś właśnie zwolnił.

— Hotel „Piccadilly” — powiedział Święty. Usiadł i zapalił papierosa.

— Zgubiłem ludzi Teala metodą pierwszą — wyjaśnił. — Teraz zademonstruję ci metodę drugą.

Jeśli będziesz studiować pod moim kierunkiem, przestaniesz się przejmować wszelkimi cieniami, jakie

mogą się za tobą wlec. Teraz nie warto tracić na to energii — zerknął przez tylne okienko — choć może i nie. Mądry człowiek jest jednak zawsze podejrzliwy.

Po kilku minutach znaleźli się w Piccadilly przed wejściem do hotelu i Święty otworzył drzwiczki.

Trzymał już w dłoni należność z napiwkiem, wręczył ją kierowcy i ruszył za Patricią — bez widocznego pośpiechu, lecz szybko. W szybie drzwi ujrzał następną taksówkę, zatrzymującą się przy krawężniku.

— Tędy.

Przeprowadził dziewczynę holem, skręcił w wąskie przejście i po kilku schodkach wyszedł drugimi drzwiami na Regent Street. Przerwa w ruchu pozwoliła im dostać się do szeregu taksówek po drugiej stronie.

— Hotel „Berkeley”.

Zapadł się w siedzeniu i uśmiechnął do Patrycji.

— Metoda druga nie poskutkuje wobec doświadczonego tajniaka, który wie, że ty wiesz o śledzeniu

— mruknął. — W innych wypadkach to chleb z masłem. — Wziął jej torebkę, wyciągnął lusterko i przy jego pomocy przyjrzał się mijanemu chodnikowi. — Teraz tak nie jest — rzucił ze skargą.

— To dlaczego jedziemy do „Berkeley”?

— Bo jesteś pielęgniarką, która zajmie się Beppo. Jest w pokoju 148, a 149 zarezerwowałem dla ciebie. Pamiętaj, zameldowałem go pod nazwiskiem Teal, C.E. Teal. Później zapakuję i przyniosę ci

torbę, ale gdy znajdziesz się w „Berkeley”, będziesz musiała tam zostać do wieczora. Doktor nazywa się Branson, a ja Travers i jeśli będzie próbował wejść ktoś inny, zastrzel go przez drzwi i zadzwoń po

obsługę, by wyniosła ciało.

— A co ty będziesz robił?

— Jestem dumnym posiadaczem nitki Ariadny i będę bardzo zajęty wiązaniem supełka na jej końcu.

Mam też ambicję humorysty, a to oznacza, że muszę wpaść do pewnego sklepu i kupić mechaniczną zabawkę, która odtwarza salwy śmiechu. Jeśli nie zapomniałem dawnych czasów, to bardzo mi się przyda... jesteśmy na miejscu.

Taksówka stanęła u celu i wysiedli. Patrycja zawahała się u wejścia.

— Kiedy wrócisz? — zapytała.

— Wpadnę na kolację koło ósmej — odparł Święty. — Tymczasem możesz zawrzeć znajomość z Beppo. To naprawdę dobry człowiek. Postępuj z nim grzecznie, a będzie jadł ci z ręki. Gdy odzyska siły, może ci nawet zaśpiewa, zapytam o to jutro doktora... Na razie, miluchna!

I Święty zniknął. Zrobił to wszystko, co zapowiadał. Poszedł do sklepu na Regent Street, kupił zabawkę i wrócił z nią na Upper Berkeley Mews. Jakiś czas zajęło mu wprowadzenie zmian w sposobie funkcjonowania mechanizmu, dostarczając przy tym sporo uciechy. Święty nie miał najmniejszych wątpliwości, że przed świtem będzie wiele zabawy. Wypadek z cytrynowymi rękawiczkami był tego wyraźną zapowiedzią. Wskazywał na pewną staranność ze strony przeciwników, a takie rzeczy zawsze sprawiały Świętemu wielką przyjemność.

— Jeśli nie poskutkuje jedna rękawiczka, można zawsze liczyć na drugą — powiedział na głos, wkładając spinki w mankiety śnieżnobiałej koszuli. — Szkoda też byłoby ich rozczarować.

Ten ostatni pomysł rozwinął dla Patrycji Holm, gdy dołączył do niej w „Berkeley”, ponownie gubiąc urzędowego obserwatora metodą trzecią. Nim wyszedł, powiedział jej niemal wszystko.

— O północy spełnią się wszystkie marzenia niegodziwców — powiedział Simon. — Wyobraź

sobie tę scenę. Będzie to pora duchów. Zapowiedź mrocznych czynów osnuje gwiazdy zasłoną. Ze szczytów Hampstead stoczy się żałosna postać, niczego nie podejrzewającej ofiary, z wybałuszonymi bladymi oczyma, otwartą buzią i zielonym mchem za uszami; będzie nią chłopczyk...

## ROZDZIAŁ V

Niektórzy ludzie lubią kłopoty, inni zdecydowanie wolą je omijać. A jeszcze inni lubią marzyć o rzeczach, które robiliby, gdyby się tylko mniej bali — ale ci nas nie interesują. Simon Templar należał

do kategorii A, wysoki i zgrabny, a jego nazwisko mówi samo za siebie.

Na wszystkim, co dodaje życiu smaku, wisi cena i przygoda nie jest wyjątkiem od tej zasady. To nieprzyjemne, ale nieuniknione. Gdyby nie konkurencja, wszystko byłoby w porządku. Gdyby mieć pewność, że się jest najsilniejszym człowiekiem świata, o najszybszym refleksie, najsprytniejszym, najbardziej spostrzegawczym, czujnym, a na dodatek ma się jedną, jedyną śmiertelnościaną broń w całym

wszechświecie, wszystko byłoby łatwe. Wystarczyłoby wyjść z domu i zmiażdżyć każdą przeszkodę na

swej drodze.

W praktyce jednak bywa inaczej. Gdy staramy się dać psu lekarstwo, możemy spotkać się z gwałtowną reakcją, nie zapowiadaną przez weterynarza. A potem, gdy ruszą się spusty pistoletów i zaczną latać kawałki futra, można dojść do nagłego, mrozącego serce wniosku, że kilka poruszających

się z dużą szybkością uncji ołowiu może nam zrobić taką samą krzywdę, jak każdemu człowiekowi.

Ten podstawowy fakt Święty przemyślał starannie przez kilka dni po doprowadzeniu się do mistrzowskiej formy. A skutek, jaki wywarło to przemyślenie na dziewiczym spokoju jego umysłu był tak bliski zeru absolutnemu, że prawie niezauważalny.

W teorii... W teorii pozwalał oczywiście pukać artylerii i latać sierści, nie dopuszczając ani jednemu włoskowi ze swej gładkiej, ciemnej czupryny odstąpić od doskonałości fryzury. Dlatego

został Świętym. Można jednak doskonale doceniać i przyjmować do wiadomości nieprzyjemne skutki pędzącego ołowiu, przybierając jednocześnie dobroduszną, filozoficzną postawę wobec tej wiedzy, a na dodatek nie śpieszyć się, by zademonstrować to praktycznie na własnej skórze. Święty czynił tak i poprzez skrupulatną ostrożność można było mówić o nim w czasie teraźniejszym znacznie dłużej, niż mógłby przewidzieć najbardziej optymistyczny agent ubezpieczeniowy.

Wszystko to niewiele wspólnego miało z Vandermeer Avenue 85 w Hampstead.

Święty szedł ulicą z rękoma głęboko tkwiącymi w kieszeniach odprasowanych na kant spodni, z zawieszoną na lewym przegubie rączką laseczki. Na głowie miał przekrzywiony na prawe oko czarny kapelusz z szerokim rondem, który sam stanowił naruszenie spokoju publicznego. Z ust Simona płynęła cicha piosenka, niesłyszalna już dwa jardy dalej. Gdy tak szedł, jego leniwe oczy zauważały każdy interesujący szczegół scenerii.

*Aspidistro, kwiecie lichy,*

*Czyż nie są śmieszni*

*Ci wszyscy botanicy*

*Twierdząc, żeś z godziny lilii?*

W jednym z okien dojrzał niemal niedostrzegalne poruszenie odsuwanych zasłon i wiedział, że jego przybycie już zauważono.

— To miłe — pomyślał Święty — być tak oczekiwanym. — I poszedł dalej.

*Na jej parapecie*

*Kwitną bratki pięknie*

*Aspidistro, maty kwiecie,*

*Czy to nie twe marzenie?*

Zauważył przy ulicy uchyloną, niską bramkę z żelaza. Otworzył ją nogą i wszedł na ścieżkę. Obok drzwi był przycisk dzwonka umieszczony w błyszczącej tablicy z brązu.

Palce Świętego powędrowały ku niej... i zaraz cofnęły. Staął, a po uważniejszym przyjrzeniu się filigranowym wzorom rozjaśnił twarz uśmiechem.

Potem przesunął się w bok, zasłonił tablicę kapeluszem i nacisnął dzwonek skuwką laski. Usłyszał cichy syk i obejrzał wnętrze kapelusza w świetle lampy ulicznej. Poplamiona drzazga tkwiła w białej podszewce. Święty uśmiechnął się jeszcze bardziej anielsko i sięgnął do kieszeni marynarki po pincetę.

Wtedy otworzyły się drzwi. Stojąc w głębokim cieniu patrzył, jak pasmo żółtego światła wędruje po werandzie i krótkiej ścieżce prowadzącej do furtki. Pojawiła się w niej sylwetka człowieka i stała nieruchomo za progiem. Potem ukazał się on wyraźnie. Był wielki, barczysty, krótko ostrzyżony, miał pięści jak bochny. Rozglądał się w prawo i w lewo, jego kanciasta twarz zmarszczyła się z wysiłku dojrzenia czegokolwiek w ciemnościach. Biała koszula Świętego zwróciła jego uwagę, przesunął językiem po wargach i odezwał się głosem automatu.

— Wchodzisz pan?

— Za tobą, bracie — powiedział Święty.

Wszedł w krąg światła, ujął boksera za łokieć i sprytnie go odwrócił. Weszli do domu w kolejności wybranej przez Świętego, który zatrzasnął za sobą drzwi kopnięciem.

W drugim końcu sieni nie było karabinu maszynowego, czego się właściwie spodziewał.

— Ma pan pietra? — zakpił bokser, gdy Simon go puścił.

Ten się uśmiechnął.

— Nigdy, odkąd zacząłem jeść miętówki — mruknął. — Dokąd teraz?

Bokser spojrzał na niego z ukosa i zadarł głowę.

— Na górę.

— Ach tak?

Simon wsunął papierosa do ust i spojrzał na schody. Sprawdził wzrokiem wszystkie stopnie i poręcze.

— Ponownie za tobą — wycedził. — Tak dla pewności.

Bokser poprowadził, a Simon szedł za nim w pewnej odległości. Dotarli na piętro, gdzie drugi pięściarz, troszkę niższy od pierwszego, lecz jeszcze bardziej krępy, sterczał obok otwartych drzwi z wygasłym cygarem w ustach. Zrobił gest szczęką i cygarem.

— Tutaj.

— Dzięki — odparł Święty.

Zatrzymał się chwilę w progu i obejrzał pokój, ostentacyjnie trzymając jedną rękę w kieszeni płaszcza.

Przed sobą, na środku grubego, brązowego dywanu, ujrzał szerokie biurko. Pasowało do prostych regałów na książki pod gołymi ścianami i długich, surowych, aksamitnych kotar zasłaniających okna, a

nawet do kwadratowej solidności sejfu w kącie. Za biurkiem siedział człowiek, który zaprosił Świętego. Wychylał się do przodu w dębowym krześle z prostym oparciem.

Simon podszedł bliżej, a dwaj bokserzy zamknęli drzwi i stanęli po ich obu stronach.

— Dobry wieczór, Kuzela — powiedział Święty.

— Dobry wieczór, panie Templar. — Człowiek zza biurka wskazał białą dłonią krzesło. — Proszę siadać.

Simon spojrzał na nie. Potem odwrócił się i chwycił jednego z bokserów za poły płaszcza. Posadził go na krzesło, zmusił do kilku ruchów na boki oraz w górę i w dół, wreszcie poderwał.

— Tylko dla zdobycia pełnej pewności — powiedział Święty słodko. Uśmiechnął się szeroko do purpurowego ze złości pięściarza, sprawdził mu bicepsy i poklepał go z uznaniem po ramieniu. — Będiesz wielkim człowiekiem, gdy dorośniesz, Cuthbercie — rzucił uprzejmie.

Potem przesunął krzesło o jard i sam usiadł.

— Na pewno wybaczy mi pan te formalności — zaczął towarzysko. — Ostatnio muszę bardzo uważać. Zdarzają mi się dziwne rzeczy. Nie dalej jak wczoraj, wielka, kropkowana

przeciwprostokątna

przybrała zły kierunek...

— Już zauważyłem, że ma pan dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy — powiedział Kuzela łagodnie.

Zacisnął wypielęgnowane dłonie na suszce i przyjrzał się Świętemu ciekawie. Simon odwzajemnił mu spojrzenie.

Zobaczył dobrze zbudowanego, barczystego mężczyznę w średnim wieku. Wysokie, mocno zarysowane czoło dotykało do ustępujących mu, przystrzyżonych, szpakowatych włosów. Kwadratowe

szczęki i lekko orli nos pasowałyby do portretu każdego przedsiębiorcy, któremu się powodzi.

Zdradzały go jedynie oczy: bladoniebieskie, głęboko osadzone, kocie, bezlitosne. Święty zajrzał w te oczy z uśmiechem.

— Wygrał pan tę wymianę — powiedział, a tamten lekko zmarszczył brwi.

— Czy mógłby pan wytłumaczyć?

— Jestem przystojny — powiedział Święty lekko i poprawił krawat.

Kuzela rozsiadł się.

— Oczywiście, słyszałem o panu, ale chyba po raz pierwszy mamy przyjemność spotkać się ze sobą.

— Na pewno po raz pierwszy ma pan przyjemność spotkać się ze mną — odparł Święty ostrożnie.

— Wynikło to za pańską sprawą. Postanowił pan przeszkodzić moim interesom.

Simon pokręcił głową ze współczuciem.

— To bardzo denerwujące, prawda? — mruknął. — A jak dotąd zawodzą wszelkie pańskie wysiłki usunięcia tej przeszkody. Przeżyłem nawet rękawiczki, które wywołałyby ból głowy u nosorożca. To musi być Przeznaczenie.

Kuzela znów pochylił się do przodu.



— Jest pan przedsiębiorczy — powiedział spokojnie. — Niezwykle przedsiębiorczy. Mało kto z żyjących pokonał Ngano, nawet w sposób wybrany przez pana. Już sam fakt, że zdołał pan wejść do tego domu, świadczy o pańskiej przeczności albo szczęściu.

— Przeczności — powiedział Święty skromnie.

— Przesunął pan krzesło, nim pan usiadł, czym także okazał znaczny spryt. Gdyby siedział pan tam, gdzie chciałem, mógłbym drobnym ruchem stopy posłać kulę w środek pańskiego czoła.

— Tak podejrzewałem.

— Od chwili przybycia, kilka razy wkładał pan ręce do kieszeni. Jak przypuszczam, jest pan uzbrojony?

Simon Templar obejrzał paznokcie obu dłoni.

— Gdybym urodził się wczoraj — zauważył łagodnie — dowiedziałby się pan wszystkiego w ciągu dwóch minut.

— Człowiek o pana reputacji nie powiadomiłby policji.

— Ale zatroszczyłby się gruntownie o siebie. — Święty spojrzał twardo w oczy Kuzela. — Możemy rozmawiać lub walczyć, co pan chce, Kuzela. No jak?

— Jest pan przygotowany na ugodę?

— W pewnych granicach.

Kuzela zabębnił palcami.

— Na jakich warunkach?

— Może to być — sto tysięcy funtów.

Kuzela wzruszył ramionami.

— Jeśli wróci tu pan za tydzień...

— To chętnie się z panem napiję — powiedział Święty sarkastycznie.

— Przypuśćmy — stwierdził Kuzela — że dam panu czek, który będzie pan mógł zrealizować jutro

rano...

— Albo też — odparł Święty spokojnie — dostanę czek, za który w drodze powrotnej będę mógł kupić tykwy.

Kuzela spojrział na niego z pewnym podziwem.

— Pogłoski o panu nie są przesadzone — powiedział. — Sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu, by otrzymać tę sumę w — hmm — obcej walucie?

— Ani trochę — odparł Święty spokojnie.

Kuzela wstał i wyjął kluczyk z kieszonki kamizelki. A Święty, który przez chwilę wpatrywał się w delikatny malowany abażur lampy umieszczonej z boku biurka, stanowiącej jedyne źródło stłumionego

światła, odwrócił się nagle.

Wiedział, że musi tu być jakaś zasadzka, a ktoś w typie Kuzeli, kto przysłał te rękawiczki i skonstruował bardzo pomysłowy przycisk dzwonka przy drzwiach frontowych, będzie trudny do pokonania. Nie miał pojęcia, jaki będzie jego ostateczny chwyt, nie zamierzał też czekać, by się o tym,

przekonać. Osiągnął po swojemu tyle, ile chciał.

— Chcę zobaczyć ten klucz! — krzyknął, rozważywszy wszystko.

Kuzela odwrócił się ze zdziwieniem.

— Naprawdę, panie Templar?

— Chcę go zobaczyć — powtórzył Święty żywo.

Sięgnął przez biurko i wyjął kluczyk z dłoni Kuzeli. Przez chwilę patrzył nań, a gdy ponownie uniósł wzrok, w błękitnie oczu tańczył mu psotny błysk.

— Przepraszam, ale muszę już iść — powiedział i jednym zamachem ręki strącił lampę z biurka, pograżając pokój w atramentowym mroku.

## ROZDZIAŁ VI

Poniższe zdanie nie jest oryginalne ani opatentowane, może być używane publicznie bez żadnych zezwoleń, czy opłat. Stanowi jednak doskonały sposób określenia tej szczególnej sytuacji.

Wraz ze zniknięciem źródła światła, zapadł mrok, który zalał pokój niczym ciemne wody Hadesu. Przez chwilę zdawał się paraliżować nie tylko działanie wzroku, ale i wszystkich innych zmysłów. Wśród czterech ścian zapadła głucha, dźwięcząca w uszach cisza. Święty zaczął przesuwając się bezszelestnie na czubkach palców...

Znał dokładnie kierunek i dążył do celu z precyzją polującego kota. Słyszał wokół powstrzymywane oddechy i ślizganie się po dywanie stawianych ostrożnie stóp. Potem dobiegł go z tyłu szum gwałtownego ruchu, ciężkie uderzenie, przekleństwo, odgłosy walki, upadku i ostry krzyk zaskoczenia i bólu...

Przyjął to z łagodnym uśmiechem.

— Mam go — rozległ się w ciemnościach triumfalny głos. — Bili, zapal światło.

Na tle odgłosów szarpaniny rozbrzmiało ostre skwierczenie zapalnika. Trzymał ją sam Kuzela, a w jej świetle obaj bokserzy patrzyli na siebie, mierząc się z furią i nienawiścią od stóp do głów. Nim zapalnik zgasła, przywódca bandy znalazł właściwy wyraz dla swych poglądów.

— Ty gnijący hemofilityku — powiedział głosem dosłownie drżącym z przejęcia.

— A kuku — rzucił Święty, a zamykając drzwi usłyszał efekty gwałtownie rozdzielających się splątanych ciał.

Kula wbiła się w ścianę dwa cale na wschód od jego szyi, gdy rzucał się na zachód. Następne drzwi stały zapraszająco otworem, wpadł w nie, gdy rozwierały się poprzednie, zatrzasnął za sobą i przekręcił klucz.

Kilkoma krokami przemierzył pokój i otworzył okno. Jak węgorz wyslizgnął się na parapet, zahaczył palcami o jego krawędź i zawisł na wyciągniętych rękach. O stopę poniżej poziomu wzroku

dojrzał wąski, kamienny występ biegnący wzdłuż budynku. Przeniósł się nań i szybko przesunął do najbliższego narożnika. Gdy go okrążył, zerknął w dół, na ulicę, leżącą dwadzieścia stóp niżej i zobaczył zatrzymujący się przy krawężniku samochód.

Nad głową miał inne okno. Wyciągnął rękę, chwycił się parapetu i jednym akrobatycznym ruchem ciała umieścił na nim łokcie. Stąd mógł sięgnąć górnej krawędzi niższej części okna... Po chwili stał już na parapecie ostrożnie otwierając lufcik. Do jego uszu dobiegły stłumione głosy.

— Gdzie u diabła się podział?

— Myślisz, że wyskoczył?

— Wyskoczył, ty tępaku?

Święty opuścił się cicho jak kot na dywan za zasłonami okna. Znowu znalazł się w pokoju, w którym był niedawno. Przez wąską szparę w kotarach widział Kuzelę wymieniającego w świetle zapałki pękniętą żarówkę. Jego białe, zręczne ręce nie drżały ani trochę, twarz miał pozbawioną wyrazu. Pracował, z całkowitym spokojem cierpliwego dżentelmena w średnim wieku, którego nic nie

może wytrącić z równowagi, sprawdził wyłącznik i... Gdy światło ponownie zalało pokój, uniósł wzrok do wypukłego lustra na przeciwległej ścianie i niewyraźnie dostrzegł stojącą za nim postać.

W następnej chwili Święty chwycił go za szyję. Stalowymi palcami zdusił mu tchawicę i wgniótł z powrotem do płuc krzyk, który miał się właśnie rozleć. Kuzela walczył szaleńczo, ale pomimo nieprzeciętnej siły, w tym bezlitosnym uchwycie był bezradny niczym dziecko. Kciuki Simona Templara niemal pieszczotliwie trafiły do celu i mocno ścisnęły tętnicę szyjną, w porównaniu z tym zwykle duszenie jest jak szermierka na floretty wobec walki na szable...

Po kilku sekundach było po wszystkim. Kuzela leżał bezwładnie rozciągnięty na biurku, a Simon Templar wkładał klucz do zamku sejfów. Bolce cofnęły się gładko, a ciężkie drzwi otworzyły. Święty przysiadł na piętach i zajrzał do sejfów.

Przed nim stało pięć małych, skórzanych aktówek. To było wspaniałe, świetne, pięć razy lepsze, niż

ważył się marzyć. Był święcie przekonany, że sto milionów lirów znajduje się gdzieś w Londynie, Kuzela nie marnowałaby czasu na przewożenie swego łupu do wiejskiego domu, w którym przetrzymywano księcia Fortezza. Ale to, że nieprzygotowany blef doprowadzi go prosto i bezbłędnie do kryjówki wszystkich pieniążków, było niemal zbyt piękne, by okazać się prawdziwe. Przez kilka bezcennych sekund Święty patrzył na ten widok, świadom swego nieprzemijającego, absurdałnego szczęścia, które czerpał pełnymi garściami...

Potem szybko wyciągnął walizeczki na podłogę. Nawet nie próbował ich otwierać. Wiedział... Błyskawicznie ustawił je na dywanie. Podniósł swą laseczkę i właśnie ustawiał kapelusz pod najbardziej odpowiednim kątem, gdy wrócili obaj ścigający go ludzie. Miał już jednak w wolnej ręce figlarny, mały pistolet i tamci zauważyli go w porę.

— Powstrzymajcie swój entuzjazm, chłopcy — powiedział Święty. — Wybierzemy się na wycieczkę. Chwytajcie bagaż i wychodzimy.

Jedną z walizeczek niósł w lewej ręce, a w prawej broń, którą dyrygował niczym orkiestrą. Pod tym łagodnym nadzorem obaj bokserzy wypełniali rozkazy. Niesamowite zmiany wypadków w ciągu ostatnich kilku minut okazały się trochę zbyt szybkie jak na ich zdolność pojmwania. Obie twarze miały jednakowy, pusty wyraz całkowitego zdumienia, trochę przypominały miny przedwcześnie dojrzałych gwiazdeczek, sfotografowanych tuż po podpisaniu pierwszego kontraktu na film dźwiękowy. Nawet ich organy głosowe straciły chwilowo zdolność protestu. Wzięli po dwie aktówki i pozwolili wyprowadzić się z pokoju w tym samym, krowim posłuszeństwie.

W sieni Simon zatrzymał na chwilę zmęczone towarzystwo.

— Nim wyjdziemy stąd — powiedział — chcę wyjaśnić dokładnie jedną rzecz. Niesione przez was walizki, o czym wiecie, albo nie, zawierają równowartość dwustu tysięcy funtów w każdej. Chciałbym,

byście wiedzieli, że macie być przygotowani do pilnowania tej forsy, bo jeśli coś się z nią stanie, zwrócicie mi wszystko co do grosza. Namyślcie się więc dobrze, nim uczynicie coś pochopnego. Jestem najlepszym strzelcem na świecie — dodał Święty przekonywująco, ale nieszczerze — i ostrzegam was tu i teraz, że na pierwszy znak niewłaściwej inicjatywy zastrzelę każdego z was przez środek jedenastego kręgu, licząc od dołu. Ruszajcie, dzieci.

Pochód ruszył dalej. Zeszli schodkami werandy i wyszli przez żelazną furtkę na ulicę. Święty kroczył z tyłu z prawą ręką w kieszeni. Komedia była odgrywana bez świadków, gdyż Vandermeer Avenue, cicha nawet w środku dnia, o tej porze była całkowicie pusta. Na całej jej długości widać było

jedynie cztery oświetlone okna i to zbyt daleko, by wróżyły najmniejszy kłopot.

Hampstead było ciche tej nocy...

Samochód, zauważony przez Simona w czasie marszu na rękach dookoła budynku, stał tuż przed furtką, tam, gdzie miał być. Gdy obaj pięściarze stanęli za bramą, oczekując dalszych poleceń, otworzyły się drzwiczki samochodu i wysiadła z niego zgrabna, szczupła postać. Patrycja... Podeszła długim krokiem, kołysząc przy tym biodrami.

— O.K., Simonie?

— O.K., miluchna.

— Cześć chłopcze, miło cię widzieć.

— Ciebie też. Wszystkie te przedstawienia rodem z Dzikiego Zachodu to tylko ospały królik, możesz mi wierzyć. — Święty dotknął jej ręki. — Wracaj za kierownicę, Pat, włącz silnik i bądź gotowa do odjazdu, gdy tylko ładunek znajdzie się na pokładzie. Nie co dzień wieziemy przez Londyn cały okrągły milionik i nie widzę powodów, byś nie miała uczestniczyć w tym zaszczycie jako pilot.

— Dobra...

Dziewczyna zniknęła, a Simon otworzył drugie drzwiczki. Patrzył jak walizeczki są wkładane kolejno do tyłu samochodu, a palec wskazujący jego prawej dłoni zaciskał się kurczowo na spuście

pistoletu. Nie żartował grożąc obu tragarzom, musieli o tym wiedzieć, bo spełniali jego rozkazy z godną pochwałą skwapliwością.

Mimo to Simon poczuł leciutką falę niepokoju przebiegającą przez plecy i wyczuwalną u nasady włosów jak ukłucie tysięcy igiełek. Nie potrafił opisać tego w żaden inny sposób, zresztą to porównanie było bliskie prawdy. To dziwny instynkt, siódmy zmysł zrodzony dzięki setkom wstrząsających przygód, przesłał mu jeden sygnał ostrzegawczy i zamilkł. Po raz pierwszy w życiu zlekceważył to ostrzeżenie.

Słyszał zgrzyt rozrusznika, a po chwili niskie, potężne dudnienie ośmiu doskonale wyregulowanych cylindrów. Zobaczył, jak zamykają się drzwiczki za ostatnią walizką i uśmiechnął się do dwóch bokserów.

— Jeśli ruszycie tą drogą — powiedział — dotrzecie gdzieś w okolicy Birmingham, jeśli dojdziecie tak daleko. Będziecie mogli się tam zatrzymać.

Jeden z nich zbliżył się o krok.

— Posłuchaj chwilę...

— Czego? — spytał Święty grzecznie,

— Mówię ci...

— Złe przyzwyczajenie — powiedział Święty karcąco. — Musisz spróbować się go pozbyć. A teraz wybaczenie, nie mam czasu. Mam nadzieję, że będziecie myli szyje, składali skarpetki, mówili paciorki

i przy pierwszej sposobności poprawicie wygląd... Teraz w tył zwrot, aniołki, i zacznijcie przebierać

nogami.

Poruszył znacząco ręką w kieszeni i na chwilę zapadła złowróźbna cisza. Potem bokser, który się odezwał, zerknął na drugiego.

— Idziemy — powiedział.

Obaj odwrócili się i ruszyli powoli przed siebie, oglądając się przez ramię.

Święty umieścił jedną nogę w samochodzie.

I gdzieś, w oddali, usłyszał uderzenie we własną głowę. Było to jedno z najbardziej niezwykłych wrażeń w jego życiu. Patrycja wpatrywała się w drogę przestawiając lekko dźwignię zmiany biegów, a

Święty nie usłyszał niczego, co mogłoby zwrócić jego uwagę. Ostrzegawcze napięcie nerwów sprzed kilku sekund spełniło swój obowiązek i zniknęło... Uznałby to wszystko za niesłychanie żywą halucynację, gdyby nie szarpnięcie nagłego bólu, który zalał mu mózg niby płynny metal i sparaliżował

każdą komórkę ciała.

Przed jego oczami rozrosło się i wybuchło wielkie, białe światło, a po nim zalała go fala wirującej czerni, nakrapianej strzelającymi racami oszalamiających, jaskrawych barw. Mrok wypełniał go razem

z cienkim, wysokim dźwiękiem wwiercającym się w uszy. Kolana ugięły się pod nim...

A potem, gdzieś spoza ogromnej, mrocznej zatoki, w której tonął, dobiegł go ostry krzyk Patrycji.

— Simon!

Słowo to zdawało się wbijać w jego otępiały mózg dźwięk po dźwięku, głoska po głosce, jakby odczytywano je z powoli rozwijanego rulonu. Gdy jednak dotarło do świadomości, sprawiło, że na maleńki ułamek sekundy spróbował tytanicznym wysiłkiem pokonać opanowujące go, drażące zapomnienie.

Wiedział, że ma oczy otwarte, ale widział jedynie zamazaną plamę jej twarzy, jakby patrzył na jej zdjęcie ze źle nastawionego, krzywo stojącego rzutnika. Z tego skrawka obrazu na tle wszechobecnej ciemności zaczerpnął tyle siły, by wychrypieć jedno słowo:

— Jedź!

Potem zalała go druga fala mroku i zapadł w nieskończoną, czarną otchłań.

**ROZDZIAŁ VII**



— A więc, nawet twoje przygotowania mogą się nie udać, Templarze, gdy zawiedzie cię wspólnik — zauważył Kuzela jedwabistym głosem. — Mój przedsiębiorczy przyjacielu, gdy będziesz starszy, wtedy zrozumiesz, że poleganie na kobiecie to zawsze błąd. Z tego powodu sam nigdy nie zatrudniam kobiet.

— To na pewno je załamię — powiedział Święty.

Ponownie siedział w gabinecie Kuzeli, w głowie nadal szumiało mu boleśnie od otrzymanego uderzenia, czuł też, że na czaszce wyrósł mu guz wielkości gęsiego jaja. Włosy miał trochę rozczochrane, a pasy na przegubach rąk nie pozwalały na poprawienie fryzury. Mimo, to uśmiech Simona nie stracił ani na jotę swego wziętego uroku.

— Należy jednak zdecydować, czy pozwolimy ci wyciągnąć wnioski z tej nauczki, czy będziesz żył na tyle długo. Może jeszcze do ciebie nie dotarło, że kto wie, czy nie dochodzisz do końca swej obiecującej kariery — mówił beznamiętnie człowiek z drugiej strony biurka, a Święty westchnął.

— Co, znowu? — poskarżył się wyraźnie, a Kuzela skrzywił się.

— Nie rozumiem

— Nie dalej, niż kilka miesięcy temu słyszałem to samo — wyjaśnił Święty. — Od biednego Wilfreda. A teraz ty. „Wilf, stary gronostaju”, powiedziałem, „czyż nie rozumiesz, że nie można mnie zabić przed stroną trzysta dwudziestą?” Nie uwierzył mi. I umarł. Założyli mu pętlę na szyję i wpuścili

w dziurę w podłodze, co miało zadziwiający wpływ na jego figurę. W karku nie był zbyt szczupły, ale

odtąd... To było bardzo smutne.

Simon Templar rozejrzał się po zgromadzonych, Kuzeli, dwóch bokserach objających się po pokoju i po Murzynie stojącym za krzesłem. Wskazał na tego ostatniego.

— To twój ulubiony zwierzączek? — zapytał, a wargi Kuzeli rozchyliły się w nieznacznym uśmiechu.

— Na szczęście Ngano coś usłyszał — powiedział — i zdążył wyjść z domu.

— By walnąć mnie w głowę od tyłu? — wycedził Święty dobrotliwie. — Na pewno, staruszk. Ale oprócz tego...

— Twoja współpracowniczka uciekła z moją własnością. To prawda. Ale, mój drogi Templarze, czyż musi to być tragedią? Mamy przecież twą bezcenną osobę, a na pewno wiesz nie tylko, dokąd pojechała, ale i gdzie ukryłeś dżentelmena, którego bardzo chciałbym odzyskać.

Simon ociężale uniósł brwi.

— Gdy byłem włoskim wicekonsulem w Pfaffenhausen — powiedział mile — nasza dyplomacja kierowała się obrafeowym wierszykiem pomorskim, zaczynającym się od słów:

*Der Steiss des Elephanten*

*Ist nicht, ist nicht so klein.*

Gdybyś miał pojęcie...

Kuzela przytaknął bez wrogości. Jego niespieszne, bezwzględne, białe dłonie skubały koniuszek cygara.

— Nie myśl, proszę, że nie jestem przyzwyczajony do takich uwag, Templarze — powiedział gładko. — Pamiętam bardzo podobne słowa wypowiedane przez naszego przyjaciela, księcia Fortezza.

A jednak — przerwał, by zdmuchnąć kilka drobnutkich okruchów tytoniu z błyszczącego blatu biurka,

a potem jego blade, łaskawe oczy spoczęły znów na twarzy Świętego — książe Fortezza zmienił ton.

Simon mrugnął na niego.

— Czy wiesz — powiedział entuzjastycznie — że może to być jedna z największych pieśni stulecia!

Czuję to, Coś w tym rodzaju:

*Książe Fortezza*

*Czasami miewał*

*Impuls by pójść poszaleć do rana*

*Lecz Księżna zaczynała mruczeć*

*I burczeć i furczeć*

*I grozić że stłucze księżęce kolana;*

*A Jej Wysokość grozi*

*Tak ogniście, że on zipie ledwo gdy ją całuje*

*Choć wśród łez żałuje*

*Księżę Fortezza, kochana,*

*Że zdanie zmienił swe.*

Możemy wyszlifować ten pomysł, jeśli znajdziemy chwilkę czasu, ale musisz przyznać, że jak na improwizację...

— Nie doceniasz mojego poczucia humoru, Templarze. — Kuzela beznamiętnie, równiutko podпалиł cygaro i machał powoli zapałką aż zgasła. — Czy jednak wiesz, jaką jeszcze pomyłkę popełniłeś?

— Gubię się w domysłach — powiedział Święty radośnie.

— Nie doceniasz mego wyczucia proporcji.

Święty uśmiechnął się.

— Pod wieloma względami — mruknął — przypominasz mi świętej pamięci Garnimana. Ciekawe, jak byście razem pracowali.

Kuzela nagle wyprostował się w fotelu. Na chwilę opadła z niego maska życzliwości i opanowania.

— Z ciekawością wysłucham kiedyś twych żarcików, o ile przeżyjesz, przyjacielu. — Nie podnosił głosu, ale w oczach zapłonęły mu dwa czerwone ogniki, a blask żrącego jak kwas okrucieństwa przebił

się poprzez niezmiennie jednostajny ton. — Teraz nie mamy czasu, a tyś zużył go więcej, niż należy.

Rozumiemy się chyba. — Znowu przelotnie warstwa miodu zalała jego zjadliwe słowa. — Mój

młody

przyjacielu, szkoda, że się sprzeczamy. Skrzyżowaliśmy miecze i przegrałeś. Zawrzyjmy rozejm.

Wystarczy, że podasz mi pewną informację, a wówczas, gdy tylko ją sprawdzę, doprowadzę moją pracę do końca. Ty zaś, po tygodniu przebywania tu, jako honorowy gość, staniesz się wolny jak ptak.

Uściśniemy sobie dłonie i rozejdziemy się. — Kuzela uśmiechnął się i wziął ołówek. — Po pierwsze,

dokąd pojechała twoja współpracowniczka?

— Oczywiście, prosto do Buckingham Pałace — odparł Święty.

Kuzela nie przestał się uśmiechać.

— Ale jesteś podejrzliwy. Myślisz może, że stanie się jej jakaś krzywda i może odrzucasz moje zapewnienia, że będzie równie bezpieczna, jak ty. Cóż, podejrzliwość jest cechą ludzką i mogę ją zrozumieć. Zadam ci jeszcze jedno pytanie... Gdzie jest książę Fortezza? — Kuzela przysunął do siebie mały kalendarz i uniósł wyczekująco ołówek. — No, dalej! Nietrudno odpowiedzieć na to pytanie, prawda? Jest dla ciebie nikim — kilka godzin temu spotkałeś go po raz pierwszy w życiu. Gdybyś go nigdy nie poznał i przeczytał w gazecie, że przytrafił mu się śmiertelny wypadek, nie poruszyłoby cię to ani trochę. A mając do wyboru chwilowy niepokój sumienia albo własne, obiecujące, młode życie... — Kuzela wzruszył ramionami. — Wolałbym nie grozić. Przy swym doświadczeniu i wyobraźni musisz przecież wiedzieć, że śmierć nie zawsze jest lekka. A niedawno zrobiłeś coś, co śmiertelnie uraziło nieocenionego Ngano. Nie chciałbym oddawać cię w jego ręce... No, dalej, decyduj się szybko. Co zrobiłeś z księciem? Simon opuścił brodę i spojrzał spod brwi. — Nic, czego musiałbym się wstydzić przed matką — powiedział zdecydowanie, a jego rozmówca powoli zmrużył oczy.

— Mam więc przyjąć, że odmawiasz odpowiedzi?

Święty położył lewą kostkę na prawym kolanie.

— Wiesz co, kochanieńki — rzucił — powinieneś grać w filmach, naprawdę. Jako silny, milczący

człowiek byłbyś wspaniały, gdybyś tylko był odrobinę silniejszy i nie gadał tyle.

Przez chwilę Kuzela patrzył na niego uważnie. Potem odrzucił ołówek i odsunął notes.

— No i bardzo dobrze — powiedział.

Nie odwracając głowy pstryknął palcami i jeden z bokserów podszedł bliżej. Kuzela odezwał się nie patrząc na niego.

— Yelver, przyprowadź samochód, będziemy go niedługo potrzebować.

Bokser skinął i wyszedł, a Kuzela znów zacisnął dłonie na biurku.

— A ty, Templarze, powiesz nam, dokąd pojedziemy — stwierdził i Święty uniósł głowę.

Wpatrywał się z mocą w twarz Kuzeli, oczy rozjaśnił mu blask niepokromionego kpiarstwa, a kąciki ust wykrzywił sardoniczny uśmiech.

— Pojedziesz do piekła, staruszk — powiedział zimno, a w chwilę później Murzyn zwlókł go z krzesła.

Simon zszedł potulnie po schodach, trzymany za ramię przez Ngano, a z tyłu podążał drugi bokser.

Święty rozważał wszystkie okoliczności błyskawicznie i dokładnie.

Patrycja uciekła, to najważniejsze. Chwała Bogu, że natchnął ją trzeźwym rozsądkiem i jasnością umysłu, tak że nie próbowała żadnych daremnych, bohaterskich czynów. Niczego nie dokonałaby i na szczęście miała tyle rozumu, by to przewidzieć... Ale jaki będzie jej następny krok?

— Przypuszczalnie Claud Eustace — pomyślał Święty i skrzywił lekko usta, bo zawsze był największym, niepoprawnym optymistą na świecie.

Tak doszli do sieni, a stamtąd na tyły domu. W drodze zdołał zerknąć na zegarek... Patrycja musiała odjechać niecałą godzinę temu, a to wystarczy, by Teal zaczął działać. Jeszcze mniej czasu wymagał telefon do Teala z najbliższej budki i otoczenie domu przez siły wystarczające do pokonania brygady, gdyby coś takiego miało miejsce. A nie było najmniejszego śladu takiej akcji i zmiany biegu wydarzeń...

Z kuchni prowadziły schody do piwnicy i schodząc nimi, Święty poczuł żywo podobieństwo między tą przygodą, a końcowym epizodem historii Garnimana. Podziemne perspektywy były w obu wypadkach zdecydowanie nieprzyjemne. Święty zaczął się zastanawiać, z jakim zagrożeniem spotka się za chwilę.

Żująca gumę eskorta zatrzymała się u stóp schodów, a Święty wszedł sam do małego, pustego pomieszczenia. Murzyn zaprowadził go do odległego kąta, a sam zamknął drzwi. Wsadził klucz do kieszeni, zdjął marynarkę i podwinął rękawy. Jego oczy cały czas spoczywały na Świętym. A potem podniósł z podłogi wielki skórzany bat i odchylił grube wargi w upiornym grymasie.

— Nic nie powiesz? — zapytał.

Machnął ręką, a długi bicz przeciął ze świstem powietrze i owinał się wokół ramion Świętego niby mocno naprężona cuma okrętowa.

## **ROZDZIAŁ VIII**

Simon zatoczył się od bolesnego ciosu. Poczuł, jakby w plecy wstrzyknięto mu cienką strugą wrzącego kwasu.

Wtedy oszalał. Inaczej nigdy nie udałoby mu się tego dokonać. W jednej, oślepiającej chwili, która wryła się w mózg Świętego z taką wyrazistością, jakby trwała wiecznie, zobaczył każdy szczegół tego

pomieszczenia. Ujrzał poplamione, szare ściany, sufit i zakurzoną podłogę, ujrzał zamknięte drzwi; zwalistą postać gigantycznego, zionącego nienawiścią Murzyna, jego potężne mięśnie nabrzmiewające

i falujące pod cienkim jedwabiem lawendowej koszuli, ujrzał też siebie. Zobaczył każdy szczegół wyraźnie, jak nigdy dotąd. Wszystkie inne myśli zniknęły z jego umysłu, jakby wymazane gąbką z gładkiej tablicy...

Potem oczy zasłoniła mu czerwona mgła, a cisza zdawała się zapaść do środka jak pękająca, wielka lampa próżniowa.

Ból ustąpił nagle. W tej białej gorączce, szalonej wściekłości Simon stracił po prostu czucie. Rzucił się instynktownie po pokoju, kuląc się i odskakując mechanicznie przed ciosami. Nie czuł wcale nadgarstków. Klamry rzemienia były poza zasięgiem, jego zębów, ale skręcał i wyginał dłonie, naprężając paski z całej siły. Widział, jak rzemienie wpijają mu się w skórę, a wokół nich bieleje ciało.

Ten ból powinien był go powstrzymać, ale tak się nie stało. Jeszcze raz stanął nieruchomo i szarpnął z

taką mocą, że skupiona energia opanowała jego ciało niby wulkan przed wybuchem, a rzemienie pękły

na jego oczach, jakby więzy zrobiono z papieru...

I Święty się roześmiał. Bicz zaśpiewał znowu, a on złapał go przed sobą i przytrzymał. Stało się to,

na co instynktownie czekał. Murzyn szarpnął dziko, lecz Simon nie puszczał. Opierał się mocno, aż

pozwoił całej groźnej sile tego szarpnięcia zlać się z własną. Nagle wystrzelił jak kamień

wypuszczony z procy. Prawą pięścią uderzył prosto w gardło Murzyna z impetem, który zwichnął mu ramię i Święty poczuł, że bat zwisa mu luźno z dłoni.

Cofnął się trochę i patrzył, jak z wykrzywionej, czarnej twarzy spływa uśmiech. Pierś Ngano

wzniosła się, by pomieścić wielki, bolesny wdech, lecz gruchocząca, bawola siła dławiącego,

wzmocnionego ciosu w przełyk oszołomiła go i sparaliżowała. Usta Murzyna poruszały się dziko, ale

wydobywał się z nich jedynie niedosłyszalny szept. Święty roześmiał się ponownie, ujmując bicz.

— Chłopcy czekają na muzykę — powiedział bardzo łagodnie. Dostarczysz jej.

Ten jeden cios, który odwrócił całą sytuację, posłałby każdego Europejczyka w trwające godziny

omdlenie pełne męki i bezradności, lecz w tym wypadku Święty nie liczył na nic takiego. Dokonał tyle,

ile mógł się spodziewać, pozbawił Murzyna głosu i zdobył przewagę w postaci bata. Mimo czerwonej

mgiełki piekielnej wściekłości nadal zaciemniającej mu wzrok, Simon Templar przystąpił ponuro do walki o życie.

Wtedy Ngano skoczył nań jak tygrys. Święty zrobił unik przed pierwszym maniackim atakiem równie gładko i łatwo jak doświadczony piechur unikający zderzenia z dwukonną furą, a jednocześnie

machnął biczem. Uderzenie, rozerwało jedwab lawendowej koszuli, jakby przejechał po niej brzytwą.

Murzyn uderzył o przeciwną ścianę ze zwierzęcym krzykiem, odwrócił i rzucił się ponownie. A Święty ponownie odskoczył lekko w bok strzeliwszy biczem z hukiem karabinu i posłał go z jadowitym liźnięciem do celu...

Wiedział, że jedyną jego szansą jest miotanie się przeciwnika na oślep w furii i szaleństwie wywołanych bólem i wściekłością, tak, aby zapomniał o wszelkich zasadach walki. Murzyn miał sześć

stóp i osiem cali wzrostu, składał się z trzystu funtów bezlitosnej, szarpiącej, krwiożerczej i prymitywnej furii zamkniętej wraz z Simonem Templarem w pokoiku, niczym w klatce. Simon wiedział z zimną pewnością, że gdy tylko te sześć stóp, osiem cali i trzysta funtów kości i mięśni przekształci się w tyleż samo logicznej, doświadczonej, walczącej precyzji, wówczas nikt na świecie nie wytrwa jako przeciwnik dłużej niż dwie minuty. Święty spokojnie i nieubłaganie skupiał całą swą

siłę, szybkość i umiejętności walki w to, co obiecywało mu szansę wygranej.

Był to pojedynek pomiędzy brutalną siłą i zwierzęcą wściekłością a zwinną szybkością i refleksem najzręczniejszego człowieka na świecie. Pojedynek bez sekundantów, którzy zapobiegliby ciosom poniżej pasa. Święty niestrudzenie krążył po piwnicy, uchylał się lekko od ciosów, uciekał przed potężnymi ramionami, które usiłowały go chwycić. Uciekał, padał, skręcał giętko jak tancerz. Był nieuchwytny jak kropla rtęci na talerzu, a skórzany, żądłący bicz wił się niby wściekła żmija w jego ręku, kąsając, cofając się i znów kąsając z nieomylną celnością. Raz Murzyn złapał bat, lecz Święty kopnął go w łokieć z siłą, która rozwarła palce prawie zrywając ścięgna. Raz Simon się poślizgnął, ale

umknął z pułapki obrzucając przeciwnika rozpaczliwą lawiną łamiących żebra ciosów, pod którymi



Murzyn się zachwiał. Walka trwała nadal.

Trwała tak, aż półnaga pierś Ngano załśniła od piany z potu i krwi, a osłabłe nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nagle do Simona dotarła świadomość, że walkę wygrał.

Po raz pierwszy Święty stanął nieruchomo, oparty plecami o ścianę, trzymając Murzyna na dystans, jedynie kłującym uderzeniem bicia.

Potem Simon ruszył do przodu, a Murzyn się cofnął...

Święty zapędził go do przeciwnego kąta i powalił uderzeniem pod kolana. Gdy Murzyn upadł na ziemię, Simon skoczył na niego i złapał za kostkę.

— Połóż ręce na plecach — rzucił ostro — bo wyłamię ci nogę! Założył mu szybko dźwignię, a tamten posłuchał z jękiem. Simon zablokował kostki Murzyna kolanami i przytłoczył sobą. Szybkimi, zręcznymi palcami zaplótł jeden koniec bicia na przegubach Ngano, a drugi owinał wokół jego szyi mocnym węzłem. Powietrze bulgotało głośno w naprężonych płucach Murzyna, a Simon szarpnął za pętlę.

— Piśnij choć słówko, a będziesz się paść na pastwiskach niebieskich — stwierdził jadowicie i usłyszał jedynie syczący wydech. — Wiedz też — powiedział Święty równie mało serdecznie — że jeśli ruszysz się o pół cala w tych pętach, zadławisz sam siebie. To wszystko.

Wyciągnął klucz z kieszeni Murzyna i wstał dysząc ciężko. Wyglądał, jakby wziął ciepły prysznic w ubraniu, rzedniała też znieczulająca czerwona mgiełka i duża część jego pleców zaczęła się przekształcać w takiż obszar jego męki. Nie nadszedł jednak czas, by usiąść i roztkliwiać się nad podobnymi przykrościami. Wsuwając klucz do zamka odgarnął włosy z czoła i otworzył drzwi. Żujący

cygaro bokser u stóp schodów wyprostował się jak w zwolnionym filmie, jego szczeka drżała nerwowo, oczy wylaziły z orbit, gapił się na Świętego jakby zobaczył ducha...

Simon podszedł do niego z uśmiechem, bez pośpiechu. A tamten nadal stał zagapiony, patrząc z mrozącym krew, zabobonnym przerażeniem. Dopiero, gdy Święty znalazł się dwa jardy od niego,

wydobył z gardła cichy lament i sięgnął drżącą ręką do kieszeni.

Nie bardzo wiedział, co się stało później. Poczuł, że dłoń, która zaciskała się na jego przegubie jest absolutnie materialna. Jednocześnie drugi stalowy uchwyt zacisnął się wokół jego kolana, tak, że stracił

grunt pod nogami, a potem wydało mu się, że płynie lekko w powietrzu. Pod koniec tego lotu jego czaszka zetknęła się z zadziwiająco twardym betonem, ale nie uznał tego za ważny wypadek. Opuściła

go dusza, wybierając się do krainy błogich snów...

A Święty wszedł po schodach. Był w połowie drogi, gdy nad jego głową rozległ się dzwonek i Simon skulił się bezwiednie. Potem mały uśmieszek zatańczył na jego wargach.

— Do diabła, to Claud Eustace — mruknął i ruszył cichutko dalej.

Stanął znowu tuż przy drzwiach u szczytu schodów i zaczął nasłuchiwać. Dobiegły go powolne, ostrożne kroki przemierzające sień, potem skrzypnięcie klamki i zgrzyt zawiasów. A potem usłyszał coś najbardziej zaskakującego, czyli ni mniej ni więcej tylko wszechobejmującą ciszę.

Święty uniósł jedną rękę i przystawił do ucha, a między jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Przygotowany był niemal na wszystko, oprócz tego. A niczego innego nie było. Cisza trwała jakiś czas, a potem frontowe drzwi zamknęły się ponownie i kroki rozpoczęły swą drogę powrotną.

Wówczas z przeciwnego kierunku dobiegło skrzypienie otwieranego okna. Ktoś wchodził przez nie ukradkiem. Simon z uchem przytkniętym do drzwi mógł sobie wyobrazić każdy ruch równie wyraźnie, jakby go widział. Słyszał, że ktoś lekko zeskoczył na podłogę, a potem po kociemu stąpa po linoleum.

Połączył to w umyśle z krokami człowieka, który podszedł do drzwi. Potem drugie kroki umilkły, ciszę

wypełniały jedynie odgłosy wracającego przez sień. Otwarły się inne drzwi... A następnie ktoś wydał

dobitne polecenie.

— Nie ruszaj się!

Simon o mało nie spadł ze schodów. Z trudem odzyskał równowagę i wziął się w garść.

— Och, Pat! — szepnął. — Czyż nie powinienem był się tego spodziewać? Nacisnęłaś dzwonek, by przyciągnąć ogień, obiegałaś dom dookoła i weszłaś od tyłu... Och, mój mały skarbie!

Szeroko uśmiechnięty słuchał rozmowy.

— Rączki do góry... Świetnie... A teraz, gdzie jest Kuzela?

Milczenie.

— Gdzie jest Kuzela?

Szuranie nóg i niechętna odpowiedź.

— Na górze.

— Prowadź, złotko.

Odgłos opornych ruchów...

Całe wnętrze Simona Templara wiło się w ekstazie czystej, poetycznej radości. Nawet za tysiąc milionów funtów nie wtrąciłby się teraz, nim Kuzela nie doceni dojrzałego piękna sytuacji. Ponownie usłyszał kroki, minęły jego drzwi i skierowały się do sieni, a Święty wspiał się na palce w kilku ruchach zaimprovizowanej taranteli. Odczekał chwilę, otworzył drzwi i wyszedł. Dał tamtym czas na

dotarcie na piętro, a potem spiesznie wszedł na górę. Zerknąwszy za filar zdążył akurat dojrzeć Patrycję znikającą w gabinecie Kuzeli. Gdy drzwi zatrzasnęły się za nią, Święty podbiegł i stanął za nimi.

Choć po poprzednim dzwonku niewątpliwie zapadła cisza, to w porównaniu z milczeniem, które teraz panowało wydawało się kanonadą dział. Na tle wstrząsającej ciszy szum odległej ciężarówki był

jak trzęsienie ziemi, a jej klakson brzmiał niby trąby Sądu Ostatecznego.

A potem Patrycja odezwała się ponownie, bardzo spokojnie, ale z wyraźną groźbą, która

zapowiadała wszelkie możliwe rodzaje śmierci.

— Gdzie jest Święty? — zapytała.

Słowa te Simon Templar uznał za sygnał dla siebie.

Bezszelestnie przekręcił klamkę i szeroko otworzył drzwi.

Patrycja stała do niego plecami. Trochę dalej tkwił drugi bokser z uniesionymi wysoko rękami. A za biurkiem siedział Kuzela, z twarzą zastygłą z tępym wyrazem niedowierzania i zaskoczenia... Gdy drzwi się zamknęły, a Święty wkroczył z wdziękiem na scenę, oczy obu mężczyzn zwróciły się w jego

kierunku i zaczęły rozszerzać się. Przypominały skamieniałe, gapiące się kule, bliskie paniki.

— Dzień dobry — powiedział Święty.

Patrycja odwróciła się do połowy. Pozwoliła sobie na tę nieostrożność, gdyż miny obu mężczyzn były tak wyraziście szczere, że odrzuciła przypuszczenie, iż ich celem jest podstępne odwrócenie jej uwagi.

Lecz wynik tego był niefortunny, bo gdy tylko spuściła wzrok z najmniej znaczącego uczestnika przedstawienia, ten miał swój wielki moment. Otrząsnął się z drętwoty, dojrzał okazję i chwycił się jej obiema rękami. Wyrwał przemocą pistolet z dłoni dziewczyny. Patrycja wpadła w ramiona Świętego.

Jego uśmiech nie zmienił się ani trochę. Simon przesunął Patrycję na bok i spojrzał pogardliwie na wymierzoną w siebie broń. Nie poświęcając jej więcej uwagi, podszedł do biurka.

— Miło cię widzieć znowu — powiedział.

## **ROZDZIAŁ IX**

Kuzela wstał niezdarnie. Minęła dłuższa chwila, nim odzyskał zdolność mowy. Dwa wypływające z głębi jego duszy jęta zachwiałyby równowagę każdego normalnego człowieka. Każdego, z wyjątkiem Świętego... Ten jakby niczego nie zauważył. Czekał w kurtuazyjnym milczeniu, aż Kuzela pozbył się wyrazu zdumienia z twarzy i rozciągnął usta w uśmiechu.

— Mój drogi przyjacielu!

Jego głos był równie wykwintny jak poprzednio i Simon skłonił głowę w drwiącym uznaniu dla jego opanowania.

— Mój drogi kamracie! — mruknął z otwartymi ramionami.

— Oszczędziłeś nam trudu przynoszenia cię tutaj, Templarze — powiedział Kuzela obojętnie. —

Ale gdzie jest Ngano?

— Negro Spiritual? — Święty uniósł kpiąco brwi. — Obawiam się, że miał, hmm, mały wypadek.

— Aha!

— No niezupełnie. Chyba jeszcze żyje, choć mógł się już udusić. Nie bawił się jednak najlepiej.

Gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, opowiedziałby ci dokładnie — stwierdził Święty z lodowatą surowością i spokojem.

Kuzela wysunął podbródek.

— Wielka szkoda — powiedział. Uśmiechnął się ponownie.

— Ale nic straconego, mój przyjacielu — zamruczał. — Pani już rozwiązała jeden z naszych problemów. A skoro tu jest, to jak sądzę, zrobisz wszystko, byle nie narażać jej na najmniejsze niebezpieczeństwo. Wracajmy od razu do naszej wcześniejszej rozmowy. Może pani powie nam, dokąd pojechała po oddaleniu się stąd?

Simon wsadził ręce do kieszeni.

— Czemu nie — powiedział dobrodusznie. — Chyba to uczyni.

Dziewczyna spojrzała na niego, jakby nie wierząc własnym uszom.

Simon odpowiedział na jej zaskoczone spojrzenie tak niewinnym wzrokiem niebieskich oczu, że nawet ona nie dostrzegła w nich zachęty do kłamstwa.

— Naprawdę tak myślisz?

— Oczywiście — odparł Święty. — Sam chętnie dowiedziałbym się o paru sprawach.

Patrycja uniosła dłoń do góry.

— Skoro chcesz wiedzieć — pojechałam stąd prosto do...

— Pałacu Buckingham — wycedził Święty. — A potem.

— Kazałam zanieść walizy do pokoju Beppa i sama się z nim zobaczyłam. Był już całkowicie przytomny. Powiedziałam mu, że wracam po ciebie, a on, że jeśli nie wrócę do czwartej, albo jeśli któreś z nas nie zadzwoni do niego, wówczas zawiadomi Teala. Dałam mu prywatny numer inspektora.

Próbował mnie powstrzymać, ale uparłam się. To wszystko. Wracając tu, złapałam gumę, co zatrzymało mnie trochę.

— Kogo to obchodzi? — zapytał Święty. Odwrócił się do biurka.

Bokser z pistoletem stał o niecały jard z prawej strony, ale Święty, ignorując go całkowicie, pochylił się trochę i spojrzał również z odległości jarda w twarz Kuzeli. Swobodna pozycja jego ciała przyciągała uwagę i odsuwała podejrzenia. Kpina znikła z jego oczu.

— Słyszałeś? — zapytał.

Kuzela kiwnął głową. Uniósł kącik ust.

— Nie widzę jednak powodów do alarmu, mój przyjacielu — odparł powoli z nieznaczną wrogością. — Mamy jeszcze sporo czasu. Zanim przybędzie twój przyjaciel, pan Teal...

— Nim mój przyjaciel, główny inspektor Teal, przybędzie tu ze szwadronem policjantów w więźniarce, ja znajdę się daleko stąd — powiedział Święty.

Kuzela spojrzał ze zdumieniem.

— A więc wezwałeś policję? — warknął i znów się odprężył. — To twoja sprawa. Nim tu przybędą,

będziesz daleko, jak sam powiedziałeś. Ale dokąd to się wybierasz?

— Do domu, Jamesie — odparł Święty.

Wyjął rękę z kieszeni, by poprawić płaszcz i uśmiechnął się bez wesołości.

— Na szczęście nasze spory dziś się zakończą — powiedział — co oszczędzi mi konieczności inscenizacji sceny zbiorowej. Twój czarny kat został załatwiony. Zaaplikowałem mu jego własną kurację, po której trafi chyba na kilka tygodni do szpitala. Pozostajesz jeszcze ty sam. Ngano wypełniał przecież twe rozkazy. Widziałem, co zrobiłeś księciu Fortezzo, wiem też, co chciałeś zrobić mnie... mam nadzieję, że dołączysz do Wilfreda.

— A jakie masz wobec mnie zamiary? — zapytał Kuzela gardłowo, a Simon spojrzał na niego stanowczo.

— Mam zamiar cię zabić — powiedział prosto.

— Ach tak! A jak to uczynisz?

Palce Simona zanurzyły się w kieszeni. Wyjęły z niego pudełko zapalek i położyły na stole.

— Oto odpowiedź na wszystkie pytania — powiedział.

Kuzela przyglądał się pudełku. Leżało na środku czystego, białego notatnika, było żółte i kanciaste, całkowicie zwyczajne. Jego tajemnica wyraźnie go przyciągała. Podniósł je i potrząsnął, było lekkie i

wykluczył możliwość, że zawiera jakąś bombę. Święty pokazał je bez najmniejszej oznaki podniecenia, dalej tak się zachowywał, patrząc badawczo na Kuzelę.

— Czemu nie otwierasz? — zapytał.

Kuzela spojrzał na niego pustymi oczyma, a potem, w nagłym odruchu niecierpliwości, pchnął kciukiem szufladkę... W martwym milczeniu pudełko wyleciało i spadło wpół otwarte na biurko.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Kuzela niemal szeptem.

— To, że pozostało ci pięć minut życia — odparł Święty.

Kuzela podniósł dłoń i przyjrzał się jej. Na środku poduszczeni prawego kciuka pokazała się rosnąca na tle białoróżowego ciała kropelka krwi. Patrzył oszołomiony na nią i na pudełko zapalek. Jeszcze raz poczuł w wyobraźni ukłucie, przypominające ukąszeni żmii w chwili dotknięcia szufladki i

zrozumiał. — Odpowiedź na wszystkie pytania...

Stał niezdolny do ruchu jak w koszmarnym śnie i obserwował nieskończenie powolne rozszerzanie się maleńkiej, szkarłatnej plamki. Twarz mu zszarzała, gdy pojął nieuchronność wyroku. Kropelka krwi hipnotyzowała go, puchła w oczach, widział lśniące mikroskopijne błyski światła, aż urosły magicznie w skrzący się, czerwony pęcherz niezwyklej wielkości. Przytłaczał go, zagrażał całemu wszechświatu swym miażdżącym, szkarłatnym ogromem. W uszach grzmiały mu potężne wodospady...

Obecni patrzyli, jak ledwo powstrzymywał się od upadku, stał całkowicie nieruchomo, oczy zachodziły mu mgłą. Potem przesunął się w bok, zachwiał i osunął na podłogę wijąc konwulsyjnie i ciężko oddychając...

Święty spokojnie, od niechcienia wyciągnął rękę i zacisnął ją na przegubie stojącego obok boksera.

Tamten właśnie otrząsał się ze snu, gdy zapadł w inny rodzaj transu, wywołanego przez niespodziewane lądowanie mocarnego sierpowego na jego brodzie. Święty włożył w ten cios każdy erg

swjej wagi i szybkości, starał się też wyprowadzić go pod najbardziej zabójczym kątem. Bokser runął i

legł nieruchomo, dołączając do swego kompana, a Święty podniósł pistolet.

— Po wszystkim — powiedział i zobaczył, że Patrycja wpatruje się w Kuzelę.

— Co mu się stało? — zapytała odrobinę niepewnie.

— Mniej więcej to, co miało stać się ze mną. Czy dałaś się kiedyś nabrać na pudełko zapalek wbijające szpilkę, gdy próbuje się je otworzyć? Kupiłem je wczoraj i zamiast szpilki umieściłem to, co

przysłano mi razem z wiadomością. Nie wiem, czy zechcemy to kiedyś powtórzyć.

Zaniósł pudełko pełne śmierci do kominka, wrzucił na ruszt i zasypał rozżarzonymi polanami.

Potem wziął kapelusz i laskę, leżące na jednym z krzeseł i rozejrzał się po raz ostatni. Kuzela poruszał



już tylko palcami, z ust wypływała mu piana i ściekała po policzku... Simon objął dziewczynę.

— Możemy już iść — powiedział i wyprowadził z pokoju. W sieni zerknął na tarczę zegara i stanął nagle.

— O której Beppo miał się skontaktować z Tealem? — zapytał.

— O czwartej. — Patrycja spojrzała na zegar, a potem na nadgarstek. — Ten zegar musi się śpieszyć.

— Albo twój stanął — stwierdził Święty krótko. Odsunął rękaw i zerknął na tarczę. — Stanął, staruszek. Teraz jest czwarta trzydzieści trzy, a serce mi się kraje na samą myśl, że Claud Eustace mógłby uznać, iż wybawił mnie z kłopotu. Pomijając inne powody, dla których nie może nas tu zastać.

Gdzie zostawiłaś samochód?

— Kilka przecznic dalej.

— Teraz charty wydadzą się przy nas żółwiami — powiedział Święty i otworzył drzwi frontowe.

Byli przy furtce, gdy Simon dostrzegł zbliżające się światła hamującego samochodu. Tuż przed nimi stał wóz Kuzeli. Święty pojął od razu, że to ich jedyna szansa.

Chwycił Patrycję za ramię i postawił kołnierz jej płaszcza.

— Do środka — rzucił.

Pomknął na miejsce kierowcy, a dziewczyna wślizgnęła się na siedzenie, gdy tylko ją puścił. Minął samochód policyjny z pochyloną głową i zgarbionymi ramionami. Dobięgl go urywany krzyk, po chwili skręcił na dwóch kołach w boczną uliczkę. Samochód policyjny pojechał za daleko, musiał się cofać i Simon wiedział, że uzyskał dużą przewagę. Pędził gorączkowo na południowy wschód, póki nie nabrał pewności, że wszelką pogoń zostawił daleko za sobą.

Gdzieś na północ od Tottenham Court Road zatrzymał samochód i przeglądając się w lusterku szybko poprawił fryzurę. Na tyle dobrze wyglądał, że zostawili tam samochód i szli śmiało, póki nie

złapali taksówki, którą wrócili na Berkeley Square.

— Noc się jeszcze nie skończyła — powiedział Święty, gdy po zniknięciu taksówki 2 oczu ruszyli Upper Berkeley Mews.

Była to jedna z proroczych przepowiedni, które zawsze radowały jego zamiłowanie do porządku, bo się natychmiast spełniła. Ledwo zamknął drzwi, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Podszedł do niego zadowolony.

— Hallo?... Przy telefonie... Kto?... Teal?... Niech mnie, Claud Eustace, jak na ciebie to bardzo późno! Czy babcia pozwoliła ci? Co?... Co robiłem wieczorem? Piłem piwo z Beppo... Nie, nie ze świekrą, z BEPPO. B jak brwisty, E jak edredon, P jak psychologia, P jak płuc zapalenie, O jak zaduma

nad ogniem, który wzbija się do najwyższych niebios... Słucham?... Ktoś zadzwonił do ciebie i zawiadomił, że mam kłopoty?... Ktoś cię nabrał, Claud. Żyję w pokoju z całym światem... Co takiego?... No pewnie. Właśnie się kładłem, ale mogę chyba jeszcze trochę poczekać. Przyniesiesz swoją gumę?... Jasne...

Słuchał jeszcze chwilę, potem odwiesił słuchawkę i zwrócił się do Pat.

— Claud zaraz tu przyjdzie — powiedział przeciągając słowa, z narastającym w nich śmiechem. —

Mamy nie uciekać, bo w dziesięć minut po tym, jak tu przybędzie i stwierdzi, że daliśmy nogę

uzbrojone straże w każdym porcie morskim i lotniczym Wysp Brytyjskich. Z czego byłaby wielka zabawa dla wszystkich zainteresowanych... A teraz zadzwoń jak najszybciej do Beppa, a ja skoczę

na górę i zmienię koszulę. Zapowiada się wielki dzień!

## **ROZDZIAŁ X**

Główny inspektor Claud Eustace Teal wetknął pękate palce za pasek płaszcza i spojrzał niechętnie na wspaniałego, eleganckiego młodzieńca opartego o stół.

— A więc dostarczono mi mylną wiadomość? — warknął.

— Tak z tego wynika, Claud.

Teal kiwnął lekko głową.

— Może i tak — powiedział. — Wybrałem się jednak pod podany adres i jak sądzisz, co tam znalazłem?

— Szacha Persji grającego w warcaby — zgadł inteligentnie Simon Templar, a detektyw spurpurowiał.

— W piwnicy znalazłem Murzyna związanego biczem, który zdarł mu z pleców połowę skóry.

Obok białego człowieka z rozbitą czaszką. Obaj pojechali do szpitala. W pokoju na piętrze leżał trzeci

osobnik, tym razem ze złamaną szczęką, czwarty zaś — to trup.

Święty uniósł brwi.

— Ależ mój stary jesiotrze! — zaprotestował — za kogo u licha mnie masz? Za chodzące trzęsienie ziemi?

— Murzyn i człowiek ze złamaną szczęką — Teal mówił dalej z mocą — podali mi rysopis sprawcy, który pasuje do ciebie jak rękawiczka do ręki. Ten od szczęki dodał również opis kobiety niesłychanie podobnej do panny Holm.

— Mamy więc sobowtórów, Claud.

— Słyszał też jak kobieta spytała: „Gdzie jest Święty?”

Simon zmarszczył brwi.

— To rzeczywiście dziwne — przyznał. — Gdzie to było?

— Wiesz doskonale gdzie! Powiem ci coś jeszcze. Gdy dojeżdżałem tam radiowozem, mężczyzna i kobieta wypadli z domu i uciekli. A jak sądzisz, do kogo byli podobni?

— To na pewno te same sobowtóry — stwierdził błyskotliwie Święty.

— A tylko kilka domów dalej znalazłem błękitnego hironдела, którym odjechałaby ta dwójka, gdyby tylko zdążyła. Ma numer ZX 1257. Czy to nie jest numer twojego samochodu?

Święty poruszył się lekko.

— Claud, jesteś cudowny! To na pewno mój samochód — a już myślałem, że go nie odzyskam!

Skradziono go z Mayfair wczoraj po południu, w biały dzień. Zamierzałem wcześniej zadzwonić na Vine Street, lecz miałem tyle na głowie...

Teal wciągnął głęboko powietrze i wybuchnął.

— Chcesz wiedzieć, co myślę o twoich wykrętach? — gotowało się w nim ze sprawiedliwego gniewu. Nie czekając na zachętę powiedział — Nie słyszałem w życiu kłamstwa, o krótszych nóżkach.

Jest takie bzdurne, że jeśli jakaś ława przysięgłych posłucha tego dłużej niż dziesięć minut, to pójdę sam do sądu i złożę zeznania. Mam dwóch ludzi, którzy przysięgną na wszystko, że to byłeś ty, i trzeciego, który robi to samo, gdy tylko wyzdrowieje. Wiem też, co sam widziałem i towarzyszący mi

ludzie, a to, co mi tu wygadujesz, jest takie rzewne, że zabiorę cię do Scotland Yardu i spiszę wszystko, nim trafisz za kratki. Panie Święty, chyba wreszcie cię mamy, a po tym, co mi powiedziałaś

rano, jestem z tego bardzo rad.

Święty wyjął papierośnicę i przeniósł się ze stołu na fotel, przekładając długą nogę przez poręcz.

— Bardzo jasno przedstawiłeś swój punkt widzenia — przyznał zapalając papierosa. — Claud, na stare lata robisz się niemal wylewny. Musisz jednak zrozumieć, że nie powinieneś się zdradzić z tą nagle zdobytą wiedzą.

— Nie powinienem? — Przełknął to gładko i zacisnął zęby. — Świetnie. Skoro więc wszystkie te wyczyny były dziełem twego sobowtóra, podczas gdy widziało cię i słyszało, otrzymało od ciebie ciosy

i wiadomości kilku trzeźwych ludzi, to może łaskawie mi powiesz, co w tym czasie robiłeś i kto może

to potwierdzić?

Simon zaciągnął się błogo i uśmiechnął.

— Czemu nie. Jak ci powiedziałem przez telefon, piłem piwo z Beppo.

— A kto to taki?

— Księżę Fortezza.

— Ach tak? — rzucił Teal sarkastycznie. — A gdzie był król Hiszpanii i premier Jugosławii?

— Nie mam pojęcia — odparł Święty szczerze — były tam jednak inne osobistości. Hrabia Monatalano, księżę Marco d'Ombria i ambasador Włoch.

— Kto Włoch?

— Ambasador. No wiesz, facet w cylindrze i surducie.

— A gdzie to było?

— W ambasadzie włoskiej. Było to małe, prywatne przyjęcie, ale trochę się przeciągnęło.

Zaczęliśmy koło północy, a skończyliśmy po wpół do piątej — wróciłem do domu tuż przed twoim telefonem.

Teala niemal zatkało.

— Na co chcesz mnie teraz nabrać? — zapytał stanowczo. — Liczysz na to, że zwariowałem?

Myślisz, że przełknę tę bajeczkę, a z nią wszystko, co mi naopowiadałeś, że po prostu wrócę do domu?

Chyba straciłeś rozum! — wybuchnął.

Święty powoli wstał z fotela i stanął przed detektywem na rozstawionych nogach, z lewą ręką opartą na biodrze. Był rozluźniony, uśmiechnięty i groźny, a długi, dyktatorski palec, który Teal znienawidził poprzednio, wskazywał prosto i apodyktycznie w trzeci guzik kamizelki detektywa.

— Teraz ty mnie posłuchaj, Claud — powiedział Święty jadownicie. — Czy wiesz, na co się narażasz?

— Czy wiem, na co...

— Czy wiesz na co się narażasz? Wdzierasz się do mojego domu i rzucasz głupie oskarżenia.

Krzyczysz na mnie, terroryzujesz, twierdzisz, że jestem kłamcą lub wariatem, grozisz mi aresztem.

Jestem bardzo wrażliwy, Claud, a ty mnie obrażasz. Obrażasz tak bardzo, że nie mam najmniejszego zamiaru pozwalać ci po mnie skakać, a skoro sam wkładasz głowę w stryczek i zaciskasz go z całej siły, rozpętam takie piekło wokół twych oślich uszu, że nie będziesz marzył o niczym innym, jak tylko o wręczeniu rezygnacji i ucieczce do jakiegoś zabitego dechami kąta, gdzie nigdy nie widzieli gazety! To jest tak nieuchronne, że pewnie cię nie minie. Tylko dzięki memu dobremu, niepamiętliwemu charakterowi — stwierdził Święty słodko — daję ci jeszcze raz szansę ocalenia skóry. Możesz sprawdzić moje alibi nim mnie aresztujesz, choć powinienem pozwolić, by wydobyto je z ciebie poprzez płukanie żołądka. A potem przeprosisz mnie i pójdziesz do domu.

Wziął książkę telefoniczną, znalazł właściwą stronę i rzucił tom przed nerwowo mrugające oczy Teala.

— Tu masz numer — powiedział. — Mayfair trzy dwa trzy zero. Sprawdź sam, bo jeszcze powiesz, że dzwonię do współnika.

Zostawił detektywa pochylonego nad książką i podszedł do telefonu. Teal przeczytał numer, odłożył książkę i pociągnął kołnierz. Po raz kolejny sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Patrzył na Świętego cały purpurowy, a worki pod oczyma wypełniało mu przygnębienie i znużenie. Zaczęło mu świtać z nedorzeczną pewnością, że to coś więcej niż blef. Chciało mu się płakać. To było nieuczciwe

i brutalne. Obrażało każdy kanon logiki i sprawiedliwości. Wiedział, że miał rację, że nie ma

żadnego wykrętu wobec dowodów, które może przedstawić przed sądem. Nie wyparłby się ich na torturach, nawet w obliczu śmierci. Ale wiedział też, że nic z tego nie będzie.

Poprzez mgłę beznadziejnej bezsilności usłyszał głos Świętego.

— Och, to pan, Signor Ravelli?... Mówi Simon Templar. Proszę posłuchać: coś dziwnego wykuło się w mózgach Scotland Yardu. W nocy popełniono gdzieś zbrodnię, czy inne przestępstwo i z jakichś

niepojętych powodów wydaje im się, że byłem w to zamieszany. Przepraszam, że zatrzymałem pana

w

drodze do łóżka, ale rozpycha się tu pewien gruby policjant...

— Daj mi telefon! — warknął Teal.

Wyrwał aparat i przytknął słuchawkę do ucha.

— Halo! — rzucił. — Mówi główny inspektor Teal z Wydziału Śledczego. Mam wszelkie

podstawy, by sądzić, że Templar jest zamieszany w morderstwo, jakie popełniono w Hampstead tuż po

czwartej rano. Próbował mi opowiedzieć jakąś niedorzeczną bajeczkę o...

Słucham?... Ależ u licha... Przepraszam pana, ale wiem na pewno... Od dwunastej do wpół do piątej?... Ale... Ale... Przecież, do diabła... Nie, proszę pana, powiedziałem... Ale on... Kto?...

W słuchawce coś zaszczebotało i zaklaskało, a okrągła, czerwona twarz Teala chorobliwie się zapadła. — W porządku, proszę pana. Dziękuję panu bardzo — powiedział zdławionym głosem i odłożył słuchawkę na widełki.

Święty przygładził włosy.

— Możemy teraz pojechać do Beppa — zaproponował z nadzieją w głosie. — Zatrzymał się w „Berkeley”. Potem zostaje ci rozmowa z księciem d’Ombria.

— Zostaje? — Głos Teala stał się gruby i gorzki, jakby zjadł piołun. — Nie mam czasu. Wiem, kiedy jestem pokonany. Wiem, co się stanie, gdy pół tuzina książąt i ambasadorów podejdzie do miejsca dla świadków i przysięgnie, że bawiłeś się z nimi w berka na równiku w tej chwili, gdy rozmawiałeś ze mną. Nie pytam nawet, jak to załatwiłeś. Może zadzwoniłeś do prezydenta Stanów Zjednoczonych i zrobił to za ciebie. Dopadnę cię jednak innym razem — bez obaw.

Owinął się płaszczem i wziął kapelusz.

— Pa pa — zaśpiewał Święty.

— Zapamiętaj sobie — wyrzucił z siebie Teal. — Jeszcze z tobą nie skończyłem. Nie spoczniesz na laurach. Nie możesz. I to będzie twój koniec. Szybko wmieszasz się w coś innego, a wtedy może nie

będziesz miał za sobą całą służbę dyplomatycznej Włoch, gotowej do kłamstwa. Od tej chwili, nawet

nie kichniesz bez mojej wiedzy. Będziesz bardziej pilnowany niż klejnoty koronne, a pierwsza twoja pomyłka będzie zarazem ostatnią.

— Cześć, serdeńko — powiedział Święty i po usłyszeniu głośnego trzaśnięcia drzwi frontowych zapadł się w fotelu w ataku niepowstrzymanego śmiechu.

Epilog tej historii nastąpił dopiero kilka tygodni później, kiedy to na Upper Berkeley Mews 7 przybyła paczka polecona z włoskimi znaczkami. Simon otworzył ją po śniadaniu. Najpierw wypadła koperta zawierająca czek Banku Włoch na taką sumę, że nawet Simon Templar gwizdnął. Potem wyciągnął małe pudełko z zielonej skórki i obejrzał je ciekawie z wszystkich stron. Paznokciem kciuka

pstryknął w miniaturowe zapięcie, a gdy wieczko, odskoczyło patrzył ze zdumieniem do środka.

Patrycja położyła mu dłoń na ramieniu.

— Co to jest? — zapytała, a Święty spojrzał na nią.

— To oznaka Zakonu Annunziata — myślę, że oboje musimy kupić do niej nowe kapelusze — powiedział.

## **CZEŚĆ III**

### **MELANCHOLIJNA PODRÓŻ TEALA**

#### **ROZDZIAŁ I**

Tego dnia Święty oszalał. Można, oczywiście, stwierdzić z pewnym przekonaniem, że zawsze był szalony, tak, iż wspomniana w pierwszym zdaniu metamorfoza umknęłaby zwykłemu obserwatorowi.

Tak właśnie ujęła to Patrycja Holm, na co Simon tylko się uśmiechnął.

— Mimo wszystko jestem przeświadczony — powiedział — że nadszedł czas, by Isadore przyczynił się do poprawy stanu naszego budżetu.

— Chyba zbzikowałeś — stwierdziła po raz drugi, a Święty kiwnął obojętnie głową.



— Zbikowałem. Od tego wiecznie trwającego stanu zaczniemy dzisiejsze filozofowanie i medytacje. Jeśli pamiętasz...

Patrycja spojrzała na ścienny kalendarz, układając słodkie usta w tak dobrze mu znany uparty grymas.

— Dokładnie sześć miesięcy temu — powiedziała — Teal zagrał tutaj tak dobrze rolę najboleśniej dotkniętego człowieka na świecie, że nikt nie wziąłby tego za udawanie. Od tej chwili dwaj jego najlepsi ludzie tkwią na zewnątrz dwadzieścia cztery godziny na dobę. Są tam i teraz. Jeśli myślisz, że wystarczy sześć miesięcy, by zapomniał...

— Wcale tak nie myślę.

— A jak?

Święty zapalił drugiego papierosa i wypuścił w stronę sufitu strużkę dymu. W jego niebieskich oczach igrał śmiech.

— Myślę — odpowiedział z powagą — że Claud Eustace właśnie dojrzewa do powrotu. Myślę, że skończył pielęgnować pchłę, którą ostatnio delikatnie wrzuciłem mu do ucha. Musi być już tak wielka i spragniona krwi, że jej głód zaspokoi co najmniej słoń, a może i on nie wystarczy. Jestem też przekonany, że jeśli będziemy się dalej byczyć, Claud Eustace zacznie roić sobie coś, co nie wyjdzie mu na zdrowie.

— Ale...

— Żadnych ale — powiedział Święty. — Jest jak mówię. Zerknąłem wczoraj na wyciąg z konta bankowego i jednym z niezmiennych praw niepewnego życia okazało się to, że mogę dziś wypisać czek na dziewięćdziesiąt sześć tysięcy dwieście czterdzieści siedem funtów jednaście szylingów i cztery pence i będzie miał pokrycie. To ładna sumka, ale mogłaby być ładniejsza. Zaczynając tę zabawę obiecałem sobie, że się nie wycofam, póki choć pensa zabraknie mi do stu tysięcy. Nie

twierdząc, że spasuję, gdy będę miał więcej, ale sądzę, że wówczas mógłbym chwilę odpocząć i rozważyć, jak zacząć się cieszyć powszechnym szacunkiem. A czuję, że dojrzewam do takich rozważań.

Rozmowa ta miała miejsce po śniadaniu. Owe pogwarki pośniadaniowe w apartamencie przy Upper Berkeley Mews dostarczyłyby tematów do kilku książek. Wypełniały prawie całe popołudnia wolnych

dni, bo Święty miał własne zdanie na temat właściwych godzin posiłków. Wtedy to właśnie układał plany dziewięćdziesięciu procent swych wyczynów. Przed północą wstawał wypoczęty, nakładał fular

we wściekle wzory i wychodził bardzo skupiony, by przerwać swój post. Po dokonaniu tego w odpowiednio uroczystym milczeniu, Simon Templar zapalał papierosa, marszczył brwi, nastawiał uszu

i metaforycznie podwijał rękawy. A gdy wstawał nowy dzień jak świat czekający na podbój, Święty podnosił żagle, by wpłynąć weń z niepohamowaną mocą lekkomyślnej zuchwałości. Nigdy też nie brakowało mu sił i zapału, by roztrzasać najdrobniejsze szczegóły z takim ożywieniem i wylewnością,

jakby rozważał najważniejszy problem Układu Słonecznego.

W tych chwilach niepoprawnej brawury uśmiechał się niewinnie (jak święty) na widok upartej minki dziewczyny, rzucał jej wyzwanie, drażnił, prowokował, rozśmieszał, wprawiał w zakłopotowanie, całował tak, iż rozchmurzyłby się marmurowy posąg. Wreszcie pokonywał ją niezmiennie i w rezultacie przekonywał do swego kolejnego szaleństwa. Tak się stało i tym razem...

— Będą z tego pieniądze i kłopoty — powiedział Święty, gdy było już po wszystkim, — a czegoż chcesz więcej, staruszko?... Może tylko większych kłopotów. Dowiedziałem się wczoraj wieczorem, że Claud Eustace także interesuje się Isadore'm, choć nie mam pojęcia, co o nim wie. No powiedz, kochana Pat, czy to dla nas nie sygnał?

Patrycja tylko westchnęła.

Łądując w Southampton, Frankie Horner sądził, że jego przybycie pozostanie tajemnicą dla wszystkich. Nawet inspektor Peters, który czekał na niego od lat, nic o tym nie wiedział, choć był wtedy w porcie. Frankie przeszedł obok niego, ukryty bezpiecznie za brodą, która urosła do znacznych rozmiarów, odkąd po raz ostatni był w Anglii, i okazał paszport na nazwisko zupełnie nieznanego jego dziadkom i babkom. Miał trochę kłopotów z wysokim brunetem, który wpadł na jego trop w Johannesburgu i śledził do Durbanu — skrycie, ale nie dość skrycie. Frankie poradził sobie z tym problemem w noc przed wypłynięciem. Nosił dwa pistolety i wiedział, jak ich używać. Po załatwieniu tej sprawy jedynym człowiekiem, który cokolwiek wiedział był Elberman. Ten genialny człowieczek sfinansował wyprawę z oszałamiającą stopą zysku i osobiście sporządził wspomniany paszport, nie do odróżnienia od oryginalnego dokumentu, choć w przeciwieństwie do niego nigdy nawet nie widział Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Frankie odbywał taką podróż nie po raz pierwszy. Zdobył zatem znaczną wiedzę na temat możliwych pułapek. Tym razem był czysty i niczym nie ryzykował. Człowiek z Johannesburga zmartwił go trochę, ale zapomniał już o tym w czasie długiej podróży do Anglii. W pociągu wiozącym

go na dworzec Waterloo, Frankie cieszył się z góry na miłą, spokojną przyszłość, być może z domkiem

w Szwajcarii, willą na Riwierze i wiecznym zabezpieczeniem się przed niepokojami — nieodłączną częścią tego, czego nigdy nie nauczył się nazywać „łatwymi pieniędzmi”.

Może dlatego jego czujność osłabła odrobinę podczas ostatniego etapu podróży, czego można żałować, bo pomimo swych grzechów był sympatycznym człowiekiem. Perrigo dopadł go gdzieś pomiędzy Southampton a Waterloo, Perrigo o wielkich, twardych łapach, które trzymając nóż nabierały siły i zręczności. W ten sposób Frankie Horner pojawił się i zniknął z tej historii, a dwa morderstwa na pierwszych czterech stronach to niezły początek.

Simon Templar nie jeszcze o tym nie wiedział. Głębokie zainteresowanie panem Perrigo, a zwłaszcza jego spodniami, rozwinęło się w nim troszkę później. Wiedział jednak sporo o innych sprawach, blisko się wiążących z przedstawionymi wyżej *dramatis personae*, bo orientacja we wszystkim, co działo się w pewnych kręgach, leżała w jego interesie. Dlatego też, poszukując dalszych informacji, przyglądał się uważnie Isadore Elbermanowi.

Prace budowlane prowadzone po południowej stronie Upper Berkeley Mews, dzięki którym Święty miał dostateczną porcję ćwiczeń fizycznych, dobiegły już końca. W wyniku drobnej zmiany pierwotnego planu mógł wchodzić i wychodzić z domu nie przyciągając uwagi stałej warty dwójki tajniaków warujących dniem i nocą, przed drzwiami frontowymi, w tak różnych przebraniach, że za każdym razem rozśmieszali go do łez.

Tego dnia poszedł o dziewiątej do sypialni, odsunął wysokie tremo zdobiące jedną ze ścian i po wślizgnięciu się do wąskiego, ledwo oświetlonego korytarzyka opuścił taflę na miejsce. Krocząc bezszelestnie po grubym, filcowym chodniku przeszedł na tył budynku do fałszywego muru, który wznosił własnoręcznie poprzez numery 5 i 3. Wynajmujący te domy wielce szanowany, nieposzlakowani lokatorzy nie dowiedzieli się nigdy, że ich gospodarz ma tutaj tajne przejście. Święty

wydostał się korytarzem (poprzez odsuwaną tylną ścianę szafy) do sypialni domu numer 1, zajmowanego przez szofera pana Joshua Ponda, właściciela kamienicy przy Berkeley Square 104. Pan

Pond nie był tak znany policji jak Simon Templar, lecz naprawiliby to przeoczenie, gdyby tylko byli sprytniejsi. Następnie Święty kolejną szafą opuścił Upper Berkeley Mews 1 i pojawił się jako wolny człowiek w jednej z łazienek domu przy Berkeley Square 104, tak, że szpicle głównego inspektora Teala patrolowali Upper Berkeley Mews całkowicie niepotrzebnie. Na szczęście nie mieli pojęcia o daremności swych wysiłków.

Był to jeden z faktów nieznanych Perrigo, a następnym było to, że Święty może mieć tego wieczoru

jakiś interes do Isadore Elbermana.

Perrigo dostał to, czego chciał. Poszło mu łatwiej, niż się spodziewał, bo Frankie Horner popełnił błąd i zajmował samotnie zarezerwowany przedział w pociągu. Perrigo zaskoczył go wchodząc tam ze

złotym galonem przymocowanym do płaszcza i w czapce strażnika. W kłopoty wpadł dopiero na dworcu Waterloo, skąd rozpoznany przez detektywa ledwo zdołał uciec.

Do domu Elbermana obok Regent's Park dotarł okrężną drogą i w gorączkowym pośpiechu zadzwonił do drzwi w umówiony sposób. Wejście do budynku prowadziło z leżącego w tyle małego placzyku, przy którym stały cztery inne domy, sąsiadujące z parkiem. Czekaając na otwarcie, zawsze czujny Perrigo, obserwował cienie. Nie dostrzegł jednak Świętego, ponieważ ten właśnie wkradał się

przez okno na parterze, od strony parku.

Elberman sam otworzył drzwi i rozpoznał swego gościa.

— Spóźniłeś się — powiedział.

Jego blada, ptasia twarz skryta za grubymi okularami wyrażała równie niewiele emocji co i głos.

Niski, żwawy, niewzruszony człowieczek stwierdził po prostu fakt.

— Musiałem uciekać z Waterloo — odparł Perrigo.

Wszedł do środka i zdjął płaszcz, a w tym czasie Elberman zamykał drzwi. Uwolniony z obszernej garderoby Perrigo wyglądał jeszcze bardziej krzepko. Miał kwadratowe, wojownicze szczęki i nos złamany dawno temu.

Elberman przyjrzał mu się uważnie.

— Śledzili cię?

— Zgubiłem ich po drodze.

— Poza tym wszystko w porządku?

Perrigo potwierdził to krótkim chrząknięciem. Powiesił płaszcz na wieszaku i wysunął szczękę do

przodu.

— Dla ciebie tak — powiedział. — Ze mną nie jest tak klawo. Gdy Henderson usłyszy o Frankiem, przypomni sobie o mojej ucieczce, a już zarobiłem nakaz aresztowania za robotę w Hammersmith.

— Zabiłeś Frankiego?

Wszystkie pytania Elbermana zadawane były tak samo, niby czyste stwierdzenia, bez najmniejszego śladu intonacji, oznaczanej znakiem zapytania.

— Musiałem — stwierdził krótko Perrigo. — Chodźmy, chcę się napić.

Był równie wyprany z uczuć jak Elberman, ale z innych powodów. U niego wynikało to z gruboskórności. Swą burzliwą karierę zaczął jako jeden z największych rewolwerowców Chicago.

Wpadł tam w tarapaty i musiał uciekać przez granicę kanadyjską, a następnie usunąć się z kontynentu amerykańskiego. Na jego pistolecie było czternaście karbów — choć nie miał skłonności do przesady.

Elberman ruszył na piętro, a Perrigo szedł obok niego.

— Masz ten bilet?

— Tak, załatwiłem ci koję na *Berengarii*. Wypływa jutro wieczorem. Tak ci spieszno do wyjazdu?

— Można tak powiedzieć. Uważam, że lepiej będzie, jak wyruszę teraz. Znam w Detroit pewnego handlarza, który nieźle zapłaci za mój towar. To wystarczy, by wystartować z hukiem, a potem już sobie poradzę. Nie ma pieniędzy w tym zatraconym kraju.

Elberman wzruszył ramionami i otworzył drzwi. Zrobił dwa kroki, Perrigo jeden. Potem obaj stanęli nagle jak dwie kukiełki, gdy lalkarz usłyszy sygnał wzywający na obiad. Szczęki opadły w ogromnym, niewiarygodnym zdumieniu.

## ROZDZIAŁ II

— Wejdźcie, chłopcy — zachęcił Święty serdecznie.

Rozpierał się z wdziękiem w uświęconym fotelu samego Isadore'a Elbermana. Między palcami

jednej dłoni tkwił mu świeżo zapalony papieros, palce drugiej obejmowały kolbę pompy ołowiu kalibru 6,5, która wyglądała na zdolną wypełniać w nadmiarze wszystkie zadania postawione jej przez

producentów. Perrigo nie widział jeszcze broni o równie nieprzyjacielskim wyglądzie, a znał się na tym. Świadomość niebezpieczeństwa trzymała jego ręce wzdłuż boków z pięściami tak niewinnymi, jakby należały do figury woskowej.

Jeśli brakuje jeszcze malowniczych opisów, można wspomnieć, że Święty miał na sobie jasnoszary garnitur i jedwabną koszulę, wszystko nowe, bez najmniejszych śladów noszenia. Gdyby jakiś nieroztropny anioł zerknął na jego twarz promieniującą niewinnością, miałby pełne prawo odwrócić się i odejść zawstydzony własnymi grzeszkami.

Większość jednak, tych interesujących aspektów sytuacji, nie docierała do jednostronnych umysłów obu stojących przy drzwiach mężczyzn. Ich źrenice zarejestrowały, oczywiście, z fotograficzną dokładnością cały obraz, lecz uwaga zatrzymała się tylko na chwilę na ogólnych zarysach sceny, by skupić się na uderzającym szczególe — mocnym kształcie kawałka oksydowanej stali wymierzonym bez wahania w środek dzielącej obu, sześciocalowej przestrzeni. Był on w sposób aż nadto oczywisty

gotów zająć się nimi serdecznie, gdyby tylko któryś zgłosił jakieś pretensje.

— Czujcie się jak u siebie w domu — mruknął Święty. — Perrigo, możesz zamknąć drzwi, a przy okazji, co u Frankiego?

Trzymający posłusznie jedną rękę na klamce Perrigo wzdrygnął się jak porażony prądem. Lekko rzucone pytanie trafiło z niesamowitą celnością w samo sedno rzeczy tak, że gapił się w Świętego oniemiały.

— Co wiesz o Frankiem? — zapytał wreszcie skrzypiącym głosem.

— To i owo — odparł Święty nonszalancko. — Zamknij wreszcie te drzwi, bracie, a wtedy pogadamy. — Poczekał na trzaśnięcie zamka, a potem strząsnął popiół na bezcenny dywan

Elbermana.

— To morderstwo waszego kumpla w Durbanie było paskudne — gawędził dalej, jakby jego jedynym

celem było uspokojenie ofiar. — Jak też według mnie, niepotrzebne. Wiem, że Frankie bywał skryty, ale sprytny facet dowiedziałby się, którym statkiem przyplynie bez wysyłania kogoś na przespiegi do Afryki Południowej... Wejdźcie, chłopcy, wejdźcie. Siadajcie. Napijcie się. Chcę, byście się dobrze czuli.

— Kim jesteś? — warknął Perrigo.

Simon przeniósł kpiący wzrok na Elbermana.

— Może wiesz, Isadore? — zapytał.

Elberman pokręcił głową, machinalnie zwilżając wargi. Simon wstał z uśmiechem.

— Siadajcie — powiedział.

Umieścił ich własnoręcznie na krzesłach, uwalniając przy tym Perrigo od strzelającego żelastwa.

Potem oparł się plecami o kominek, kręcąc pistoletem wokół palca trzymanego w osłonie spustu.

— Mógłbym was oszukać — powiedział z rozbrajającą szczerością — ale tego nie zrobię. Jestem

Święty. — Zauważył nerwowe drżenie rąk siedzących i uśmiechnął się ponownie. — Tak, to o

spotkaniu ze mną marzyliście od tylu lat. Jestem człowiekiem bardzo figlarnym. Jestem — ciągnął

Simon, który miał skłonności do gadatliwości i okrągłych zdań — Świętą Grozą i pozostaje wam

jedynie udawać, żeście z tego radzi. Mam zamiar wybrać się na dłuższe wakacje, a mojemu kontu

bankowemu brakuje tylko paru funtów do sumki, którą wybrałem na swą emeryturę. Może jeszcze o

tym nie wiecie, ale złożycie datek na ten fundusz.

Obaj mężczyźni przetrawiali tę mowę w milczeniu. Zajęło to trochę czasu, którego Święty im nie

żałował. Zawsze bawiły go takie sytuacje. Pozwolił, by istota pomysłu zapadła głęboko w ich umysły.

Upływ sekund zaznaczał regularnym obracaniem pistoletu. Zrobił to sześciokrotnie.



— Czego chcesz? — warknął Perrigo.

— Diamentów — powiedział Święty krótko.

— Jakich diamentów?

Głos Perrigo załamał się w trakcie pytania. Wrzenie wojowniczej wrogości wylało się poprzez cienką powłokę zdumienia, którym usiłował przysłonić swe słowa i rozdarło na strzępy niezdarny blef.

Oczy Świętego zaiskrzyły się.

— Nielegalnych diamentów — powiedział, które Frankie Horner przywiózł na zamówienie Isadore'a. Diamentów, dla których Isadore wykiwał Frankiego i wszedł w znowę z tobą, koteczku. Paczkę, którą dostarczyłeś osobiście, miły Perrigo!

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Nie? Może Isadore ci wytłumaczy.

Kpiąca uwaga Świętego znów przeniosła się na gospodarza, lecz Elberman nic nie powiedział. Simon pokręcił ze smutkiem głową.

— Może i jesteś cwany konspiratorem, Isadore — zauważył — ale wydajesz mi się dziwnym milczkiem. Przepraszam, że się zabawię w Dziki Zachód.

Odpiął płaszcz i wyjął linkę z wewnętrznej kieszeni. Na jej końcu miał już przygotowaną pętlę, podszedł z nią do krzesła Elbermana i zarzucił mu przez głowę na brzuch. Kilkoma szybkimi skrętami przytwierdził mu ręce do boków i przytroczył całość do krzesła, kończąc wszystko parą przeciwślizgowych węzłów. Całą operację wykonał lewą ręką, a pistolet w prawej ani na chwilę nie przestał sprawować kontroli nad sytuacją.

Potem zwrócił się do Perrigo.

— Gdzie są, rybeńko? — zapytał lakonicznie, a tamten zacisnął złośliwie wargi.

— Tam, gdzie ich nigdy nie znajdziesz — powiedział.

Simon wzruszył ramionami.

— Nie ma takiego miejsca — powiedział.

Leniwie zmierzył Perrigo wzrokiem, z północy na południe, ze wschodu na zachód. Gdzieś na tym obszarze znajdowały się skryształizowane węgle, które nie zajmują wiele miejsca, lecz są warte sto tysięcy funtów. Przeszukanie kieszeni trwałoby kilka sekund, ale Święty wolał zachować się sprytnie. Miewał czasami przebłyski niezrównanej bystrości.

— Twoje spodnie nie pasują do płaszcza — stwierdził nagle.

Iluminacja rosła w nim z przyśpieszeniem godnym zwycięzcy wyścigów na torze Daytona Beach, a ruch, który zrobił Perrigo, dał mu impuls do natychmiastowego wyciągnięcia dalszych wniosków.

— Założę się też, że podobnie było u Frankie Hormera — powiedział Święty.

Słowa te padły szybko. Potem wybuchnął śmiechem. Nie mógł go powstrzymać. Jego strzał trafił w środek tarczy z nieomylną dokładnością, co wyraz twarzy Perrigo potwierdził tak wyraźnie, jakby zapaliły się barwne reflektory, a organy parowe wybuchnęły marszem triumfalnym dla uczczenia tego sukcesu dedukcji.

— Co w tym śmiesznego? — zapytał Perrigo ochryple, a Simon jakoś się opanował.

— Pozwól mi wytłumaczyć. Diamenty są cenne — zwłaszcza wtedy, gdy ich posiadanie jest sprzeczne z prawem. Mając przy sobie taki towar, staramy się jak najmniej ryzykować. Trzymamy go jak najbliżej siebie, nie kładąc jednak do kieszeni, które mogą okazać się niepewne. Zaszycamy je w ubranie. Frankie tak zrobił. Poczekaj chwilkę! — Święty poruszał się jak błyskawica. Chwytał następną nitkę, pociągnął ją i trafił.

— Dlaczego nie wyprułeś diamentów z ubrania Frankiego, skoro miałeś czas na zamianę ubrań, to miałbyś i na to. A więc musiało to być niebezpieczne. Dlaczego? Bo Frankie nie żył! Bo nie chciałeś zostawiać wskazówki, co do swego motywu. Zabiłeś Frankiego i... Powoli, Perrigo! — gangster wstawał z krzesła, lecz pistolet Simona zatrzymał go w pół drogi. — Zabiłeś Frankiego — powiedział

Święty — i przebrałeś się w jego płaszczy.

Perrigo odprężył się powoli.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedział.

— Wiesz. Spóźniłeś się o trzy minuty ze swoim blefem. Pociąg odjeżdżał zostawiając cię w szatni dla panów. Gdzie nie miałeś prawa przebywać. Zdejmuj płaszcz!

Perrigo ociągał się chwilę, a potem posłuchał ponuro. Rzucił odzież pod stopy Świętego, a ten przykląkł na kolano i zaczął ją klepać płasko rozłożoną dłonią. Sprawdzał tak każdy cal płaszcza, poszukując twardej wypukłości, która zdradziłaby miejsce wartego pół miliona dolarów towaru Frankie

Hormera.

Takie żniwa niezmiennie dostarczały Świętemu wielkiej radości, jak rolnikowi, który sprawdza kłosa, ścina źdźbła i układa je w stodole. Czuł się wówczas zharmonizowany ze światem... Byстрыmi palcami przeciągnął po rękawach i klapach... Przeszukał dół płaszcza i przeszedł na jego plecy.

Wywrócił kieszenie i sprawdził znaleziony w jednej z nich portfel.

A potem odwrócił płaszcz ponownie i zaczął szukanie od początku. Nie mógł się pomylić. Był całkowicie pewny wyników swej dedukcji. Dowodów na ich trafność było wiele. Chwile olśnienia nigdy w życiu go dotąd nie zawiodły. Przywykł polegać na wnioskach, jakie z nich wyciągał i uważać

je za równie nieuchronne i niezawodne, co prawa przyrody, według których woda spływa w dół, a góry

sterczą w górę. A teraz, mając pod palcami bezpośrednie zaprzeczenie swej intuicji i logiki czuł się tak,

jakby zobaczył wodospad Niagara tryskający w górę do jeziora Ontario, czy górę Pico de Teide na Teneryfie robiącą koziołka przez szczyt i sterczącą ku chmurom swymi korzeniami. Jego pierwsze poszukiwania zakończyły się niczym. Również drugie, nie przyniosły lepszego rezultatu.

— A więc to tak! — wycedził Święty.

Popatrzył nieprzychylnie na Perrigo i dojrzał w jego oczach szyderstwo. Dotknęło ono do żywego

najbardziej osobiste próżność Świętego — ale nie zdradził się niczym.

— Pomyślisz raz jeszcze? — zakpił Perrigo.

— O tak — odparł Święty łagodnie. — Często to robię.

Wstał beztrosko, wyłuskał z kieszeni papierośnicę i zapalił następnego papierosa, ciągle nie zdejmując z muszki swych towarzyszy. Z wysiłkiem szukał błędu w swym rozumowaniu. Od

Elbermana nie dowie się niczego, siedział spokojnie, zupełnie nieporuszony całym zamieszaniem.

Niewątpliwie pozostawiał wszelkie nadzieje w rękach Perrigo. Ponadto nie wiedział chyba więcej niż

Święty. Nie, tajemnica kryła się za zmrużonymi, błyszczącymi oczyma Perrigo. Gdzieś w umyśle tego twardego dziecka tkwiła wiedza o losie największej nielegalnej dostawy diamentów, jaka trafiła kiedykolwiek do Anglii i Simon Templar zamierzał wydobyć tę informację, choćby miał ją wydrzeć dynamitem i świdrami do skał.

### **ROZDZIAŁ III**

— Podobno jesteś sprytny — odezwał się Perrigo ponownie, wypełniając ciszę chrapliwym głosem złośliwego triumfu. — Skąd ta opinia? Musisz jeszcze na nią zasłużyć.

— No jasne — zgodził się Święty, wbijając w niego ognisty wzrok.

A potem gromem przetoczyło się przez dom pukanie do drzwi frontowych. Cała trójka natychmiast zastygła w bezruchu. Było ono, choć Święty nie wiedział tego wówczas, zapowiedzią przeistoczenia zwykłej przygody w najbardziej szalone wydarzenia, jakie wasz kronikarz miał dotąd okazję zapisywać. Stanowiło sygnał startera do najbliższego ze zwariowanych przedsięwzięć. Było, krótko mówiąc, początkiem Melancholijnej Podróży inspektora Teala. Gdyby Święty o tym wiedział, zapisałby kredą na ścianie aktualny czas i obwiał go aureolą. Ale nie wiedział.

Zesztywniał jak pies myśliwski, z głową zwróconą w bok i z dwiema pionowymi zmarszczkami, wyrytymi między brwiami. Głośna natarczywość pukania zwiastowała niezapowiedzianego gościa. Nie

było w tym dobijaniu się nic ukradkowego, czy sympatycznego. Nic, co można by łączyć z ewentualnym klientem, czy odbiorcą skradzionego towaru. Wypełniało wnętrze nastrojem gęstniejącej

determinacji. Potem umilkło i ponuro oczekiwało odpowiedzi. Simon spoglądał na Elbermana i Perrigo. Zauważył spojrzenia, jakie wymieniali, i wyczuł, że wiedzieli równie mało jak on. We wzroku

Perrigo wykrył podejrzliwość i pytanie, a Elberman odpowiedział mu jedynie pustką.

— Urządziłeś przyjęcie? — mruknął Święty.

W milczeniu zaciągnął się papierosem i rozpałił go ponownie. Do jego wyteżonych uszu dobiegł zza okna po lewej pojedynczy, ostry sygnał klaksonu o szczególnym dźwięku, a z dołu ponowne pukanie.

Tym razem nie było wątpliwości, co do jego intencji. Oznaczało nieugięte zdecydowanie z wyraźnym podtekstem, że jeśli nikt nie otworzy, to zaraz dojdzie do wyłamania drzwi.

— A więc sprowadziłeś gliny? — zgrzytnął zębami Perrigo.

Bez lęku wstał z krzesła. Doszedł do oczywistego wniosku, w sekundę po Świętym i zareagował odpowiednio. Zinterpretował niewłaściwie, ale rozumował prosto. Bez względu jednak na wnioski

Perrigo, dla Świętego sytuacja pozostawała bez zmian. Wobec otoczenia przez policję, jego broń była

chwilowo równie bezużyteczna jak kawałek złomu. Chciał ponadto porozmawiać jeszcze z Perrigo.

Miał on przecież gdzieś przy sobie trzysta karatów, bez których Simon Templar nie zamierzał wracać.

Dlatego to Perrigo musiał pozostać żywy, choć jego dalsze istnienie urągało poczuciu estetyki.

Simon schował pistolet do kieszeni i czekał w pogotowiu. Uchylił głowę przed pięścią Perrigo i

wypuścił cios w splot słoneczny gangstera, z odgłosem walenia tarami w bryłę kitu. Perrigo rozdziawił

usta i runął w drgawkach, a Święty się uśmiechnął.

— Zaśpiewaj mu, Isadore — polecił troskliwie i szybko zniknął. Klakson za oknem był sygnałem

Patrycji oznaczającym, że zbliżają się kłopoty i że czuwa ona na posterunku. Jednakże pierwsza część

tej informacji była zbędna. Gdy Simon zszedł na dół rozległo się ponownie dobijanie do drzwi frontowych, połączone z niecierpliwymi dzwonkami. Same drzwi zaczęły już drzeć pod naporem mocarnych ramion, gdy Święty wyłączył światło i zwolnił zamki.

W mroku wpadła na niego grupka ludzi. Simon podstawił jednemu nogę i zacisnął dłoń na nosie drugiego, potem ktoś trafił na kontakt i ponownie zapalił światło, a wówczas Święty stwierdził, że jego

palce ściskają mocno wielki organ powonienia samego głównego inspektora Teala.

— To przecież Claud Eustace! — krzyknął Święty.

Teal dziko strącił jego dłoń ze swego nosa i wytarł załzawione oczy.

— Co tu u diabła robisz? — ryknął.

— Zrywam stokrotki — odparł Święty.

Roztaczał wokół siebie taki nastrój dobrodusznej, wesołej zuchwałości, niby niewidzialną zorzę polarną, że wzburzyło to detektywa. Gotowało się w nim, jak w kotle wrzącej lawy. Zmarszczył brwi nad oczyma pełnymi wrogości.

— Tak? A gdzie jest Perrigo?

— Na górze.

— Od kiedy?

— Mniej więcej od pół godziny.

— A kiedy ty tu przybyłeś?

— Można powiedzieć, że niemal jednocześnie.

— Po co?

— Cóż, jeśli musisz wiedzieć — powiedział Święty — to dobiegła mnie plotka, iż Perrigo znalazł drugi rym do „Londynie”. Potrzebuję go do limeryku, który próbuję napisać. Myślałem o starym pułkowniku w Londynie, który żywił się piklami i budyniem, aż jednego dnia zjadł z garnka karbid na grzankach, tra la la, trala lala nie. To bardzo trudne.

Teal odpiął płaszcz i skinał na jednego ze swych ludzi.

— Brać go — rozkazał krótko.

Simon wsadził ręce do kieszeni i oparł się z urazą o ścianę.

— Według twych własnych słów — po co? — zapytał, a główny inspektor Teal powrócił trochę do swej zwykłej pozy ospałości. Ostatnio detektyw mało miał po temu okazji.

— Dziś wieczorem w pociągu pomiędzy Southampton a Waterloo zamordowano przemytnika diamentów nazwiskiem Horner. Perrigo widziano na tej stacji. Chcę go zatrzymać pod zarzutem popełnienia tego morderstwa i zabieram ciebie jako podejrzanego o współudział.

— Przykro mi — powiedział Święty tak jakoś, że dziecinne, niebieskie oczy Teala zwięzły się i pociemniały.

— Chcesz mi powiedzieć, że masz alibi?

— Chcę.

— Posłucham tego później.

— Posłuchasz tego teraz. — Arogancki palec wskazujący, który Teal darzył osobistą nienawiścią, wbił się stanowczo w wypukłość jego brzucha. — Od siódmej do ósmej piętnaście jadłem kolację w Dorchester House, co obejmuje porę morderstwa. Znajdowałem się w towarzystwie dwóch przyjaciół.

Rozmawiałem z szefem sali, dyskutowałem o winach z kelnerem i udzieliłem *maître d'hôtel* osobistej

lekcji przyrządzania doskonałych *crepes suzette*. Możesz ich spytać. Zapytaj też swoich własnych platfusów sprzed mego domu, którzy widzieli, jak wchodziłem.

Teal zabrał się ponuro do swojej gumy.

— Nie oskarżam cię o popełnienie morderstwa — powiedział. — Uważam cię za współnika i choćbyś udowodnił, że byłeś wtedy w Nowej Szkocji, to i tak nic ci to nie da. Spróbuj mi wykazać, że

teraz jesteś w Nowej Szkocji, a może posłucham.

Umysł świętego pracował na zwiększonych obrotach. Do tej maszyny wpadła gładka kupka kolczastych faktów, by ją odpowiednio przetworzyć. Po pierwsze — Perrigo ma nadal diamenty. Po drugie — diamenty trzeba mu zabrać. Po trzecie — nie może tego dokonać Claud Eustace. Po czwarte — Święty musi mieć swobodę ruchów. Po piąte — Święty nie będzie jej miał, jeśli nie przeszkodzi Claudowi Eustace Tealowi.

Piąta pozycja wynikała niedwuznacznie z podtekstów ospałego głosu detektywa i ona to wypłynęła w końcu na wierzch. Wojna między Tealem a Templarem dojrzała do walnej bitwy i nikt nie wiedział

tego lepiej niż Święty. Wiedział jednak coś jeszcze, a mianowicie, że przyjmie ona postać szalonego, błazeńskiego rodeo. Simon Templar postanowił dopilnować tego osobiście.

Wyjął ręce z kieszeni i przywołał na wargi prawdziwy uśmiech Świętego.

— Może udowodnię nawet i to — powiedział.

A potem odepchnął Teala i odskoczył jednym dzikim susem.

Dobiegł do schodów, nim detektywi zrozumieli co się dzieje, i ruszył nimi po cztery stopnie naraz, z prędkością nieosiągalną dla najszybszych policjantów w Anglii. Nim się ruszyli, był na górze. Stała tam wielka dębowa szafa, Simon zauważył ją schodząc w dół, a teraz odsunął mebel od ściany.

— Uważajcie na odciski — zaśpiewał i pchnął.

Trzej ludzie na dole spojrzeli w górę i zobaczyli spadającą szafę. Nie mieli czasu, by jej umknąć, więc postanowili przetrzymać cios. Stanęli w połowie schodów. Wielka, okuta żelazem skrzynia zaczęła na nich sunąć, tarasując całkowicie drogę. Nie mogli jej wyminąć ani przeskoczyć i dopiero po

kilku chwilach w ogłuszonych umysłach zrodził się pomysł odwrotu.

W tym czasie Święty odnowił swą szaleńczą znajomość z Gunnerem Perrigo. Zobaczył go przy bocznym stoliku, jak wpychał jakieś papiery do zniszczonego portfela. Jego twarz nadal wykrzywił ból, lecz gdy wpadł Święty, odwrócił się i przygotował do walki. W gruncie rzeczy jego najmniej



spodziewał się ujrzeć i zaskoczenie w połączeniu z gestem wzniesionej ręki Świętego zatrzymało go w

miejscu.

— Zatrzymaj wszystko, mój Piękny — powiedział Święty. — To policja, musimy razem uciekać.

Zamknął drzwi i minął otepiałego przestępcę. Otworzył szeroko okno i spojrzał w dół na prywatne ogrody przylegające do Gloucester Terrace. Zobaczył poruszające się cienie i zrozumiał, że dom jest otoczony. Simon pomachał policjantom wesoło i zamknął okno.

— Czy jest jakieś wyjście przez dach albo od tyłu? — zapytał.

Perrigo spojrzał na niego, wysuwając dolną wargę.

— Co knujesz, Templar?

— Knuję wydostanie się stąd — odparł Święty krótko. — Mów, u diabła, co wiesz i to szybko!

Perrigo spojrzał na niego niepewnie, a w ciszy usłyszeli, jak siły uderzeniowe Teala zdążają do celu.

Perrigo wreszcie się zdecydował.

— Nie ma żadnego wyjścia — powiedział.

Nie skłamał, lecz przyjął to z uśmiechem.

— To wyjdziemy tamtędy.

Klamka zazgrzytała, a drzwi zatrzeszczały od napierających ciał. Elberman przerwał nagle swe długie milczenie.

— A co będzie ze mną — jęknął, tracąc całkowicie swój starannie wypracowany akcent. — Zobowiem, gdy du wejdą?

Simon podszedł do kominka, wziął wielką, kulistą wazę i wyjął z niej sztuczne kwiaty.

— Zostaniesz tu i zaśpiewasz — powiedział wpychając wazon na głowę Elbermana.

Na korytarzu główny inspektor Teal wsadził kapelusz i cofnął się o krok. Szafa, która mu przeszkodziła, znajdowała się u podnóża schodów, ale gdyby tylko Teal miał taką możliwość, znalazłaby się na dnie najgłębszego lochu Gehenny.

— Wszyscy razem — rzucił.

Trzy krzepkie ramiona poruszyły się jednocześnie i drzwi runęły do środka.

Poza Isadore Elbermanem, szaleńczo usiłującym zrzucić z głowy porcelanowy ceber, w pokoju nie było nikogo.

Teal przeszukał wzrokiem pomieszczenie. Stało tu sporo mebli, ale żaden nie mógł ukryć mężczyzny słusznego wzrostu. Potem dostrzegł drugie drzwi i zaklął. Runął w nie, zostawiając łatwego

do pochwylenia więźnia swoim ludzom. Jego uwagę zwróciły zasłony powiewające w otwartym oknie i wystawił głowę na zewnątrz. Spojrzał na niego człowiek stojący obok krzaka.

— Widziałeś coś? — krzyknął Teal.

— Nikogo, panie inspektorze.

Teal cofnął głowę i zauważył szeroko otwarte następne drzwi. Przeszedł nimi i znalazł się na korytarzu, który właśnie opuścił.

Simon Templar i Perrigo stanęli na chwilę w sieni. Perrigo był twardym facetem z Uskides, lecz

Simon czuł się osobiście odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo i podchodził do tej

odpowiedzialności bardzo poważnie. Za tą troskliwością kryły się poważne powody natury finansowej

— było ich sto tysięcy. W czasie ich krótkiej, wspólnej drogi zdobył zaufanie Perrigo. Poklepał go teraz serdecznie.

— Gdybyśmy się rozdzielili, spotkamy się na Upper Berkeley Mews 7 — oznajmił. — Zapamiętaj ten adres.

Perrigo spojrzał na niego ponuro, ciągle zamroczony podejrzliwością.

— Nie chcę cię więcej widzieć — warknął.

— Zobaczysz — odparł Święty i wypchnął go na zewnątrz.

Główny inspektor Teal brnął ku schodom, a za nim śpieszyli dwaj jego ludzie. Zobaczyli Simona

Templara stojącego samotnie, w sieni, z dłońmi na biodrach, opartego o drzwi i uśmiechającego się do

nich anielsko.

— Wracając do rymu — powiedział Święty — właśnie coś wymyśliłem. Co sądzisz o „pułkownik wędził się w winie”? Czy jest to godne wieszczka? Czy zaakceptuje to Wilhelmina Stitch?

— Łapać go! — rzucił Teal.

Detektywi runęli w dół. Zobaczyli, jak Święty otwiera drzwi, i usłyszeli ostry dźwięk klaksonu. To podjechała Patrycja Holm, ale o tym nie wiedzieli. Drzwi zatrzęsły się ponownie, a jako zwielokrotnione echo trzaśnięcia dobiegł ich rozrywający uszy grzechot pistoletu. Rozległy się cztery strzały, a potem Teal otworzył drzwi. Miał przed sobą kłującą w oczy ciemność, w której przemówił jeden z ludzi, stojących na zewnątrz.

— Przykro mi, panie inspektorze, ale uciekli.

— Jak to się stało?

— Zestrzelili lampy i zniknęli w ciemności, panie inspektorze. Z oddali dobiegł ich drwiący klakson.

## **ROZDZIAŁ IV**

Dziwny, buraczkowy rumieniec zalał i tak czerwone policzki Teala. Powiedzieć, że stracił swe opanowanie całkowicie i definitywnie, to o wiele za mało. W ciągu ostatnich dziesięciu minut zostało

ono unicestwione, a nędzne resztki trafiły do tego punktu kosmosu, gdzie (według Einsteina) wieczność zmienia skarpetki i rusza w drogę powrotną. Był takim zaprzeczeniem opanowania, jak to jest tylko możliwe.

Dymiący kocioł furii kipiał mu pod kołnierzykiem, gdy stał przyglądając się obu policjantom pozostawionym na zewnątrz.

— Widzieliście Perrigo? — zazgrzytał.

— Tak, panie inspektorze. Wyszedł pierwszy i zaczął. Nie poznałem go od razu, myślałem, że to jeden z naszych. Potem wyszedł inny facet...

Teal zwrócił się do drugiego policjanta.

— Czego tu sterczycie? — ryknął. — Czy potrzebujecie nianieki, które trzymałyby was za rączki, gdy wychodzicie w nocy? Za nimi!

Pozostawił im pogoń i wrócił fukając na schody. Zastał tam Isadore Elbermana, uwolnionego wreszcie z dziwaczego przybrania głowy i wleczonego przez tajniaka. Pochwycony zalał Teala potokiem słów.

— Nie może mnie pan zatrzymać bez podstaw, panie Teal. Ci ludzie napadli na mnie i związali. Widział pan sam, w jakim byłem stanie.

— Wiem o panu wszystko — powiedział Teal nieprzyjemnie. Elberman mrugnął nagle.

— Proszę posłuchać, co panu powiem. Nie lubię Perrigo. Ukradł pewne bilety i nigdy nie oddał mi za nie pieniędzy, ani za nic, co mi zawdzięcza. Złapie go pan, a ja powiem o nim wszystko. Jezdem niewinnym człowiekiem, którego napadnięto. Powiem panu.

— Powiesz to pan rano w komisariacie — rzucił Teal.

Nie był w nastroju, by kogokolwiek cierpliwie słuchać. Simon Templar uszczypnął go w nos po raz setny, dosłownie i w przenośni, na samą myśl o tym pot wystąpił na dłonie Teala. Nieważne, że nakaz

aresztowania Świętego otrzymałby na każde wezwanie i że znalazłby go w ciągu piętnastu minut, wystarczyłoby się przejść na Upper Berkeley Mews 7 i zadzwonić do drzwi. Nieraz już Teal sądził, że

wystarczy tylko to zrobić i zawsze się okazywało, że bujna kolonia końskich much żeruje na jego nadziejach. Trwało to, aż Teal przestał liczyć na coś mniejszego, niż przyłapanie Świętego na gorącym

uczynku, z kamerami filmowymi i grupą biskupów jako świadków. Coś przypominającego ten ideał trafiło mu się tego wieczoru, by wymknąć się między palcami i w ucieczce machnąć mu ogonem

przed

oczami.

Nie podchodził entuzjastycznie do aresztowania Elbermana, opadło nawet jego zainteresowanie osobą Perrigo. Myśli o Świętym wypełniały go po brzegi, nie pozostawiając miejsca na nic innego.

Patrzył pośępnie i obojętnie, jak wsadzają Elbermana do samochodu i w tym samym nastroju przyjmował meldunek ludzi wysłanych w pogoń. Nie był pomyślny.

— Jechaliśmy za nim aż na Euston Road, panie inspektorze, ale nadaremnie. Za późno wyruszyliśmy.

Teal nie spodziewał się czego innego. Przez wypełnioną do ostatniej sekundy minutę wypróbował na podwładnych swój ostry język, by nie określić tego właściwiej i był za to zły na samego siebie. Potem ich odprawił.

— Przekażcie pozdrowienia naczelnikowi swego wydziału — nakazał. — Powiedzcie mu, że ma dobrych oficerów. Gdy będę znowu potrzebował durni, to was wezwę.

Wyszedł z tymi słowy z całkowitą świadomością, że jego odejście śledzą zdziwione, urażone spojrzenia.

Zrozumiał, że Święty założył mu za skórę głębiej, niż sądził. W żadnych innych okolicznościach stoicki, zrównoważony Teal nie popędziłby tak kota swym bezradnym podwładnym.

Teal nie przejął się tym. Gdy wsiadał do samochodu, wrzący w nim tygiel wściekłości ostygł do rozpalonego żaru zdecydowania. Nim go złapie, Święty będzie już prawdopodobnie miał w zanadrzu następną garść piasku do sypania mu oczy, nowe sztuczki, na których ma się wyłożyć. Teal był na to przygotowany. Było mu to obojętne. Cały wszechświat skurczył mu się w tej chwili do jednej ambicji

— zapędzenia Simona Templara do narożnika, z którego nie zdoła umknąć, przygwożdżenie go tam i załatwienie wszelkimi sposobami dozwolonymi przez angielskie prawo. I zrobi to, choćby miał czekać

czterdzieści lat i przebyć cztery tysiące mil.

Częściowo się to spełniło — lecz nie był tego świadom.

Najbardziej nieugięty i gniewny detektyw na Wyspach Brytyjskich, główny inspektor Claud Eustace Teal, wcisnął gaz i ruszył w drugi etap swej Odysei, kierując się na Upper Berkeley Mews.

## ROZDZIAŁ V

Simon Templar wpakował gnata do kieszeni i skoczył w mrok. Ludzie Teala na zewnątrz byli nastawieni na wspólną akcję, lecz zestrzelenie świateł spowodowało konsternację. Simon zwinnie ominął odgłosy ich błędzenia i pobiegł w stronę kwadratowego pasma półmroku, wskazującego wyjście z dziedzińca. Zaczepił palcami o ceglana obudowę bramy i wypadł na ulicę. O jard czy dwa, z lewej strony, ujrzał światła postojowe hamującego przy krawężniku samochodu. Potem zjawił się Perrigo. Wykonał taki sam manewr i bez zatrzymania pognął biegiem. Simon oderwał się od ściany i ruszył za nim. Po chwili złapał go za rękę.

— Do samochodu — nie uciekniesz pieszo!

Mówiąc to wskoczył na stopień — Patrycja przyhamowała na chwilę hironдела. Perrigo rozejrzał się z wahaniem, drobiąc w miejscu. Potem również wpadł do środka.

— Ruszaj, miluchna — powiedział Święty.

Wielki samochód skoczył naprzód, rzucając Perrigo na tylne siedzenie. Patrycja płynnie zmieniła bieg, a Simon wślizgnął się lekko, na miejsce obok niej.

— No? — zapytała, a Święty wybuchnął śmiechem.

— Och, mieliśmy wesolutkie przyjęcie.

— Co się stało?

Simon zapalił papierosa i zaciągnął się z wielkim zadowoleniem.

— Wkroczył brzuch Clauda Eustace Teala, a za nim sam Claud Eustace. Było to niezwykle.

Następnie wyszedłem. Claud Eustace pewnie uważa to teraz za jeszcze bardziej niezwykle.

Patrycja przytaknęła.

— Widziałam ludzi wchodzących do ogrodu, wtedy zajechałam od tyłu i zobaczyłam samochód policyjny. Czy miałeś dużo kłopotów?

— Nie ma o czym mówić. — Święty odwrócił się i zaczął wpatrywać w drogę za nimi. —

Pociągnąłem Teala za nos, powiedziałem mu świetny limeryk i zostawiłem, by go przemyślał...

Skręciłbym tutaj, kochanie — na pewno będą nas ścigać.

Dziewczyna posłuchała. Potem obdarowała Świętego uśmiechem.

— Chłopcze, gotowa byłam staranować samochód policyjny, gdyby próbowali cię zabrać.

Święty spojrzał na nią uważnie.

— Naprawdę?

— Jasne, rozbiłabym go w drzazgi.

— A potem?

— Wydostałabym cię jakoś.

— Pat, czyś ty straciła rozum?

Roześmiała się, potrząsnęła głową i pognąła szybko długą, pustą ulicą. Simon przyglądał się jej bacznie. Najbardziej awanturniczemu przygodom swego niespokojnego życia Simon poświęcał tylko tyle uwagi, ile było konieczne, ani trochę więcej. Szybko wypierał ją szelmowski nastrój, tak jak stało

się to teraz. Pogрузzył się z wielką radością w obserwacji rysów znanych mu lepiej niż własne. Widział

je wyraźnie na tle przemykających w tył, mrocznych budynków — mały nosek, ślicznie ukształtowane czoło, stanowczy podbródek, lekko rozchylone czerwone wargi, wesołe, lśniące oczy. Wiatr wywołał

na jej policzkach lekki rumieniec i rozwiewał włosy jak złotą grzywę. Pod krótką skórzaną kurtką małe, wysokie piersi parły do przodu z zapalem młodości.

Odwróciła się do niego, wiedząc, że jest obserwowana.

— O czym myślisz, zuchu?

— Myślę, że chciałbym cię na zawsze zapamiętać taką, jaką jesteś teraz — odparł Święty.

Jedna z małych, silnych dłoni oderwała się od kierownicy i spoczęła na jego kolanie. Przykrył ją swoją.

— Cieszę się, że nigdy nie byłem dżentelmenem. — powiedział.

Gnali dalej, zataczając szerokie koło ulicami Londynu. Skrzyżowania zatrzymywały ich czasami, ale starali się wybierać mniej uczęszczane boczne uliczki i szybko jechali. Perrigo siedział z tyłu i dumął z podniesionym wyżej uszu kołnierzem płaszcza. Wszechświat wirował mu nadal przed oczyma

i próbował jakoś go uporządkować. Zaskakujące wydarzenia całkowicie przekraczały jego zdolność pojmowania. Święty raz wali go w żołądek, raz podaje mu kapelusz. Raz go wiąże, raz wyciąga z pułapki. Raz Święty wydaje się mieć bezpośrednie powiązania z policją, raz jej umyka z zapalem uczciwego obywatela unikającego kontaktu z przedstawicielem władzy. Dla Gunnera Perrigo było tego

trochę za wiele, jego prosta dusza widziała rozwiązanie wszystkich kłopotów jedynie w Smith-Wessonie.

Z tego chaosu wynurzyła się z jego świadomości jedna trwała myśl i postanowił na jej podstawie podjąć ewentualne decyzje. Jeden podwójny fakt tkwił niewzruszenie pośrodku wiru. Święty wiedział

za dużo i w pewnej chwili zdradził się z zamiarem zdobycia paczuszki diamentów. Wnioski wypływające z tego wiązały się z sobą i wskazywały na pewny wniosek: najbezpieczniejsze dla Gunnera Perrigo będzie znalezienie się jak najdalej od wszelkich miejsc, gdzie może przebywać Święty

i dostać się do kryjówki diamentów. Został jednak rozszyfrowany przy pomocy lusterka. Przez kilka minut Święty myślał za Perrigo i możliwość takiego manewru zmusiła go do czujności. Od tej chwili nie spuszczał z oka lusterka wstecznego i od razu zauważył dyskretne poruszenie pasażera.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się słodko.



— Nie — powiedział.

Perrigo zerknął na niego i cofnął się trochę.

— Mogę teraz sam zająć się sobą — chrząknął.

— Nie możesz — powiedział Święty.

Gdy się odwracał, Perrigo zacisnął zęby, skoczył i nacisnął klamkę. Drzwiczki się otworzyły, a wtedy Święty postawił nogę na siedzeniu i przeskoczył przez oparcie jednym susem.

Obaj runęli na tylne siedzenie, walcząc dziko w kotłowaniu rąk i nóg. Perrigo miał przewagę wagi i brutalnej siły, a Święty szybkości i zwinności. Samochód znowu ruszył, a oni przewalali się pośród ciosów. Po kilku chwilach Święty wyswobodził ramię i wypuścił serię ciosów w żebra. W ich wyniku

zdobył przewagę i zaklinował Perrigo w narożniku, z kolanami na jego piersi. Gdy podniósł wzrok, ujrzał znajomy kształt hełmu policjanta i poczuł, że samochód ponownie stoi.

Znajdowali się w jednej z wąskich uliczek położonych w trójkącie, którego dwa ramiona tworzyły ulice Regent i Oxford. Wielka ciężarówka i kilka taksówek spowodowały chwilowy korek na wąskiej

jezdni i policjant stał akurat w pobliżu. Patrycja rozglądała się bezradnie.

— Co jest? — zapytała władza, a Święty uśmiechnął się zwycięsko.

— Jesteśmy tajnymi wysłannikami szejka Ali ben Dova i przysięgliśmy umieścić święte naczynie domowe kalifa na szczycie pomnika Alberta.

— Co?

— No, znaczy to, że mój przyjaciel jest pijany.

Policjant wyjął notes.

— Mimo to — powiedział — nie ma pan prawa tak go traktować.

Perrigo otworzył usta, a Simon mocniej przycisnął go kolanem.

Perrigo zakrztusił się i poczerwieniał.

— Tak, ale nie ma pan pojęcia, jaki się staje gwałtowny po kilku kolejkach — powiedział Święty.

— Zupełnie szaleje. Staram się zabrać go do domu, nim narozrabia.

— Pomocy! — wydusił Perrigo słabo.

— Dostaje przywidzeń i różnych takich — mówił Święty. — Wydaje mu się, że chcą go porwać i zamordować. Roi mu się, że każdy napotkany to notoryczny przestępca. Nie poznaje nawet swojej żony, oto ona, panie sierżancie. Ma z nim dopust boży. Nie rozumiem, czemu wyszła za tego głupka. Choć gdyby spotkał go pan trzeźwego, to uznałby go za wielce szanownego obywatela. I jest nim. To gruba ryba w diamentach. W tej chwili jest wart więcej pieniędzy, niż zarobiłby pan, choćby pozostawał na służbie trzysta lat i żył powietrzem.

Patrycja nachyliła się błagalnie.

— Panie sierżancie, to straszne — zawołała. — Proszę zrozumieć, proszę pomóc mi uniknąć skandalu. Ubiegłym razem sędzia zagroził, że pošle męża do więzienia, jeśli to się powtórzy.

— Nie jestem twoim mężem! — zawył Perrigo. — Zostałem obrabowany! Panie...

— Widzi pan — powiedział Święty. — Jest jak mówiłem. Trzy tygodnie temu strzelił do listonosza oskarżając go o podłożenie bomby do skrzynki na listy.

Policjant spojrzał niepewnie na śliczną, zmartwioną twarz Patrycji i poruszyło go to widocznie.

Wtedy Perrigo znów się szarpnął.

— Nie poznaje go pan? — wybełkotał. — To Świluught...

Perrigo zamierzał powiedzieć coś innego, ale Święty zatkał mu usta dłonią.

— W tym stanie strasznie klnie — powiedział Święty ze smutkiem. — Nie powtórzę, jak nazwał kucharkę, gdy ubzdurał sobie, że posypała ziemniaki arsenikiem. Gdyby to ode mnie zależało, znalazłby się pod kluczem. To niebezpieczny wariat, ot co.

Nagle oczy policjanta zabłyśły.

— Co to? — szczechnął.

Simon rozejrzał się wokół. Na siedzeniu, leżał na widoku jego pistolet, który musiał mu wypaść z kieszeni podczas bójki. Lśnił oskarżycielsko na gładkiej tapicerce z zielonej skóry, a każdy milimetr tego oskarżenia odbijał się w skupionych, wytrzeszczonych oczach policjanta... Simon wciągnął głęboko powietrze

— Och, to rekwizyt. Byliśmy na próbie teatru amatorskiego...

Głowa policjanta zanurkowała z niespodziewaną szybkością. Zbliżył ją do twarzy Perrigo, a gdy ją wycofał, jaśniała uporem i pewnością.

— Ten człowiek nie pił — oznajmił.

— Bezwonny dżin — wytłumaczył Święty swobodnie. — Nowy wynalazek, przydatny dla mężów — pantoflarzy. Świetna sprawa. Nie da się już wykryć alkoholu w chuchu.

Policjant wyprostował się.

— Ach tak? Cóż, lepiej będzie, jak udamy się do komisariatu i posłuchamy tego dokładniej.

Święty pokręcił głową. Spojrzał przez przednią szybę i zobaczył, że korek się już rozładował, a droga jest czysta. Dotknął jedną ręką ramienia Pat i uśmiechnął się anielsko.

— Przepraszam — powiedział. — Jesteśmy umówieni z pomnikiem Alberta.

Odepchnął policjanta, klepnąwszy go otwartą dłonią w ramię. W tejże chwili Patrycja zwolniła hamulce i hirondel wystartował z miejsca z dużą szybkością.

Simon i Perrigo wrócili do przerwanej dzikiej walki. Tym razem celem był pistolet na siedzeniu.

Złapał go Simon. Przydusił też ostatecznie przeciwnika do podłogi, przygniatając mu ramiona kolanami. Chłodny wylot broni wpił się w gardło Berrigo.

— To koniec twych wyczynów, bracie — powiedział Święty krótko. — Zrozum wreszcie, że jestem twą jedyną szansą. Jesteś tu obcy. Gdybym cię wypuścił, Teal miałby cię za kratkami w rekordowym czasie. Nie wytrzymałbyś nawet dwudziestu czterech godzin. A gdyby ten gliniarz rozpoznał cię, to w ciągu dwudziestu czterech minut zabrałby cię z nami na komisariat i byłoby po tobie. Wbij to sobie do

głowy. I dodaj jeszcze jedno. Nie zdołasz mi uciec. Mam na sercu twój paszport i bilet do Nowego Jorku. Wyciągnąłem ci je z kieszeni, nim opuściliśmy biednego Isadore'a. Dlatego musisz trzymać się mnie jak najbliżej. Gdy z tobą skończę, od razu dam ci kopa w tyłek — ale nie wcześniej!

## ROZDZIAŁ VI

Hirondel pokonał zakręt i wypadł na Regent Street. Pokazał się przed nimi przód autobusu. Patrycja spokojnie skręciła kierownicą, objechała wysepkę z niewłaściwej strony, wyminęła taksówkę, prywatny samochód i znów znalazła się na jezdni. Leżący na podłodze Perrigo trawił nowe fakty, przekazane mu przez Świętego. Pierwsze, nad którymi medytował może i były apokryficzne, lecz drugie odznaczały się niewątpliwie zwięzłością i rzeczowością, jak stalowy walec wwiercający mu się

w przelyk. Wchłaniał je w czasie chwilowej ciszy, a nad głową wirowały mu gwiazdy.

— No dobra — powiedział w końcu. — Puszczaj.

Simon podciągnął się na siedzenie. Schował pistolet do kieszeni, lecz mimo to panował nad sytuacją. Gdy wjeżdżali na Berkeley Square, obserwował Perrigo rozglądającego się na wszystkie strony i rzucił mu jeszcze jedno ostrzeżenie.

— Wyskakiwanie z jadących pojazdów — powiedział — jest co roku przyczyną wielu wypadków ulicznych. Jeśli opuścisz nas teraz, może dojść do jeszcze jednego. Rozważ to, bracie... A ponadto —

Święty znów stawał się gadatliwy — dopiero zaczęliśmy naszą znajomość. Miną szczebioty i prychnania, że tak powiem, i zaczniemy się lubić. Pora teraz na maleńkie, pokojowe interludium.

*Gdy skończą się ciastka i żytko*

*Jest już po bułeczkach i piwie*

*A świnki mają pełne korytko*

*Na jasnym błękitnym niebie*

— jak mówi poeta. Czy pisujesz wiersze?

Perrigonic nie odpowiedział.

— Nie pisuje wierszy — stwierdził Święty.

Samochód zatrzymał się kilka jardów przed wjazdem na Upper Berkeley Mews, a Simon nachylił się i umieścił łokcie na oparciu przedniego siedzenia z brodą opartą na dłoniach.

— Gdy nam przerwano, kochanie — powiedział — zacząłem właśnie mówić o twych ustach. Są to najbardziej czarujące, nęcące, pociągające, przyprawiające o szaleństwo, kuszące usta, jakie kiedykolwiek całowałem i oglądałem. Świętokradztwem jest myśleć, że mogą one kiedykolwiek jeść wędzonego śledzia. Nie wolno ci nigdy więcej jeść wędzonych śledzi. Sposób, w jaki drgają ci kąciki

ust, gdy nie wiesz, czy masz się uśmiechnąć, czy nie... Patrycja odwróciła się skromnie.

— Co zrobimy teraz? — zapytała, a Święty westchnął.

— Psy gończe Teala widziały jak odjeżdżasz? — Tak.

— To lepiej będzie, jak zobaczą cię wracającą. Ja zajmę się resztą. Wsiądę tu z Bertie.

Otworzył drzwiczki i wyszedł, a Perrigo za nim, zmuszony do tego dłonią Świętego, która zacisnęła się na jego karku. Nie puszczając ani na chwilę, Simon pochylił się nad samochodem.

— Gdy znajdziemy dla siebie chwilkę, Pat — powiedział — przypomnij mi o tyradzie na cześć twych oczu, liczącej około dwustu pięćdziesięciu, starannie dobranych słów.

— Dokończysz później — powiedziała Patrycja radośnie i wcisnęła pedał.

Simon stał chwilę patrząc, jak samochód skręca w uliczkę. Wtedy zrozumiał, że szczebioty i prychnania rzeczywiście dobiegają końca. Nonszalancka parodia zmieniła się u celu w prawdę. Był to dziwny moment w życiu tego wesołego, młodego, błędnego rycerza. Spadło to na niego z oślepiającą jasnością, jak grom z jasnego nieba. Wskazało cel. Nie dokonała tego żadna straszna bitwa, ratująca życie ucieczka, ani niesamowita chwila olśnienia, kiedy to wszystkie nieuchwytnie blanki Raju ukazują

się w cieniu miecza. Przeznaczenie, przewrotnie kształtujące swe oblicze, wybrało inny sposób

objawienia. Prosty i zaskakujący, widziany często i uważany za coś znajomego. Dziewczęcy profil na pasiastym tle przydymionego kamienia. Żółte światło lampy prześwitujące przez rozwianą grzywę złotych włosów. *Commedia*.

O 10.30 wieczorem, trzeciego kwietnia Simon Templar stał na chodniku Berkeley Square i spoglądał życiu prosto w oczy. Tylko przez chwilę. Potem hirondel zniknął, a chwila minęła. Ale co miało się stać, to się stało. Bogowie przemówili. Simon odwrócił się. Miał w oczach nowe błyski. — Idziemy — powiedział.

Poszli. Kroczył lekko i szybko, w żyłach wesoło krążyła mu krew. Wypił jednym haustem magiczne wino bogów, aż do ostatniej kropli. Tak może uczynić tylko dzielny człowiek i został za to nagrodzony. Perrigo pokornie szedł obok. Simon nie miał najmniejszego pojęcia, co się dzieje w umyśle gangstera. Jeszcze mniej o to dbał. Zmierzyłby się tej nocy z setką Perrigów, z każdym po kolei lub w dwóch oddziałach po pięćdziesięciu, obojętnie. Powaliłby ich, pobiłby, skułby, skrupowałby, owinąłby w pergamin i ułożyłby w rzędzie, by zawołać municypalne sępy. Jeśli Perrigo w to nie wierzy, wystarczy, by spróbował i zobaczy, co z tego wyniknie. Simon mniej dbał o Perrigo, niż nosorożec o małego robaka.

Wszedł po schodach domu przy Berkeley Square 104, przekręcił klucz w zamku i zapalił światło. Zaprosił Perrigo do środka uprzejmym gestem.

— Tam — powiedział.

Wszedł bardzo powoli. Na ponurym obliczu gangstera widać było wykluwanie się nowego planu walki. Simon czuł to. Wiedział, że lód jest bardzo kruchy, że jedynie dwa atuty w postaci paszportu i biletów powstrzymywały dotąd Perrigo przed trzecią próbą ucieczki. Nie przejmował się tym. Gdy druga noga gangstera minęła próg, Simon wepchnął go głębiej, wpadł za nim błyskawicznie i oparł się plecami o zamknięte drzwi.

— Knujesz teraz — mruknął — że walniesz mnie tu w głowę stojakiem na parasol, odzyskasz swą własność i znikniesz. Mylisz się.

Wepchnął Perrigo dalej. Wydawało się, że zrobił to lekko, lecz w istocie z niespodziewaną siłą.

Gangster poleciał trzy kroki w stronę schodów, tam stanął i odwrócił się gwałtownie. Simon wyciągnął

z kieszeni pistolet, co powstrzymało przeciwnika od dalszej działalności na własną rękę.

— Nie ważysz się strzelać — zagroził.

— Znów się mylisz — odparł Święty metalicznie. — Strzelę z wielką przyjemnością. Od miesiący nikogo nie zastrzeliłem. Myślisz może, że przestraszę się hałasu. Jeszcze jedna pomyłka. Ten pistolet nie ma tłumika, ale pierwsze trzy naboje są naładowane tylko do połowy. Na ulicy nie będzie nic słychać. — Przez pełną napięcia sekundę oczy Świętego posyłały sztylety. — Ciągłe myślisz, że blefuję. Prawie jesteś zdecydowany, by to sprawdzić. Racja. To twoja szansa. Jesteś ode mnie tylko o

krok. Mały kroczek... Czekam na ciebie!

I Perrigo zrobił ten krok. Pistolet pochylił się i czknął. Zrobił mniej hałasu niż strzelający korek szampana, lecz z głowy Perrigo zniknął kapelusz i wylądował na dywanie, Rewolwerowiec spojrział na

niego z twarzą bladą jak papier.

— Jasne — powiedział Święty wracając do towarzyskiego tonu. — Nie jestem najlepszym strzelcem. Ćwiczyłem trochę ostatnio, ale dużo mi jeszcze brakuje do twojej klasy. Następnym razem mógłbym cię niechcący zastrzelić, a to bardzo zmartwiłoby mnie. Wiąże się z tym również pewne pytanie — czy pójdziesz do Nieba? Wątpię. Mają tam szczególne wymagania wobec ludzi, których wpuszczają. Nie sądzę, by spodobał się im twój garnitur. A czy umiesz grać na harfie? Czy znasz psalmy? Czy masz białą koszulę nocną?

Perrigo zacisnął pięści.

— W co grasz? — warknął.

— Znasz mnie — powiedział Święty retorycznie. — To ja strąciłem L z Londynku i może za chwilę strącę P z Perrigo. Moja gra nie uległa zmianie od naszego pierwszego spotkania. Było to prywatne przyjęcie, a ponieważ wtrąciła się policja, przenieśliśmy się gdzie indziej. Tylko dlatego tu jesteśmy i

tylko dlatego wyciągnąłem cię z Regent's Park. Krótko mówiąc, jak już się może domyśliłeś, nadal pragnę tych diamentów, mój drogi. Oznaczają początek nowego rozdziału mojej kariery i krótki okres spokoju dla głównego inspektora Teala. Są moją emeryturą na starość. Bardziej mi zależy na tej paczuszce, niż na jakimkolwiek wcześniejszym łupie, a jeśli sądzisz, że ich nie dostanę, nazywasz się „Frajer”. Teraz ruszaj dalej, w tej sieni są przeciagi.

— Wpierw zobaczę cię w piekle — zazgrzytał Perrigo zębami.

— Nigdy nie zobaczysz mnie w piekle — powiedział Święty. — Lubię łagodny klimat, jestem też bardzo muzykalny i lubię harfy. Naprzód marsz!

Zapędził Perrigo do drzwi prowadzących na kamienne schody. Na dole znajdowała się mała kwadratowa piwnica, wyposażona w krzesło i łóżko polowe. Drzwi, jak to zauważył Perrigo, były dębowe, grube na trzy cale, a dodatkowo zabezpieczała je szeroka, żelazna sztaba. Zachęcony gestem, gangster wszedł i usiadł na łóżku.

— Gdy poznasz mnie lepiej — powiedział Święty — wówczas stwierdzisz, że mam kompleks piwnicy. Tylu ludzi zabierało mnie do piwnic, by skrzywdzić me grzeszne ciało, iż nabrałem urazu. W

piwnicach jest coś złowrogiego i straszego, nie sądzisz?

Perrigo nie odważył się wyrazić swego zdania.

— Jak długo tu zostanę? — zapytał.

— Do jutra — powiedział mu Simon. — Trochę tu wilgotno i duszno, ale wentylacja nie pozwoli ci się udusić. Jeśli postanowisz powiesić się na własnych szelkach, możesz to zrobić nad tym luźnym kamieniem w rogu, skrywającym głęboki grób przygotowany dla zwłok, które mogą wpaść mi w



ręce.

Przyjdę tu rano ze śniadaniem i szczypcami do wyrywania paznokci, a wtedy pogadamy. Dobrej nocy,

mój stary.

Pozostawił Perrigo, by przetrawi te miłe słowa i wyszedł, zasuwając żelazną sztabę i zabezpieczając ją stalowym skoblem. Gdy wbiegał po schodach, rozległ się srebrzysty głos dzwonka i wiedział, że pora na nową akcję. Nie był zdziwiony, spodziewał się tego, ale szybkość, z jaką spełniły się jego przewidywania, świadczyła o wytrwałej nieugiętości głównego inspektora Teala. Naruszyłoby to pogodę ducha kaze — go, z wyjątkiem Simona Templara. Przeszedł do fałszywej szafy w łazience na piętrze domu przy Upper Berkeley Mews 1 i przebiegł szybko do numeru 7. Z uśmiechem na ustach wszedł do swojej sypialni i zamknął za sobą lustro.

Patrycja już tam na niego czekała.

— Przyszedł Teal — powiedziała. — Sam?

— Rozmawiał ze swoim psem gończym, gdy dawałam ci sygnał. Więcej nie ma nikogo.

— Doskonale.

Zdjął płaszcz i pochylił się nad toaletką, przywracając szczotką i grzebieniem dawny połysk swym włosom. Pod nadzorem Patrycji usunął w czarodziejski sposób wszelkie ślady ostatnich starć w samochodzie. W kilka sekund był, jak zawsze, wymuskany, schludny, nieskalany i czujny, tkwił jak śmiejące się oko cyklonu wśród piekielnych psot, nakładając błękitną, aksamitną bonzurkę...

— Kochanie....

Przerwała mu kładąc rękę na ramieniu. Była bardzo poważna.

— Posłuchaj, chłopcze. Nigdy dotąd w ciebie nie wątpiłam, ale tym razem nie wyciągnie cię z tego żaden książę Fortezza.

— Może i nie.

— Jesteś pewien, że nie wpadniesz w prawdziwe tarapaty?

— Jestem. Nasza śliczna zapasowa droga ucieczki spełniła swoje zadanie. Już nigdy te psy gończe na zewnątrz nie będą dla mnie najlepszym alibi. Claud Eustace dowie się dzisiaj o tajemnym przejściu,

wróci tu z nakazem rewizji i brygadą robociarzy, którzy je znajdą. Ale okaże się ono warte swych pieniędzy. Jasne, że będą kłopoty. Czekam na nie!

— A co potem?

Simon położył jej ręce na ramionach i obdarzył swoim uśmiechem Świętego.

— Czy znasz takie kłopoty, z których bym się nie wykaraskał? — zapytał stanowczo — czy kiedyś widziałaś mnie pokonanego?

Nie wiedząc czemu wzruszyła się jego postrzeloną pogodą ducha.

— Nigdy! — zawołała.

Na dole rozległ się dzwonek. Święty nie zwracał nań uwagi. Wpatrywał się w nią, niemal śmiał się ze wspaniałego szaleństwa.

— Czy jest coś, co może mnie powalić?

— Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czerwone usta. Dzwonek rozległ się ponownie. Simon zrobił szeroki gest.

— Na dole — oznajmił — jest nadzwyczaj wielki detektyw, którego jedynym celem w życiu jest popsucie nam wakacji. Nasz drogi Claud Eustace Teal, z buzią pełną gumy i nabrzmiewającymi czerwienią koralami, składa nam ostatnią, urzędową wizytę. Chodźmy trafić go w szczękę.

## **ROZDZIAŁ VII**

W salonie Patrycja zamknęła książkę i spojrzała na wchodzącego głównego inspektora Teala. Za gościem szedł Simon. Było pewne, że odegra kolejną rolę dramatyczną z takim zacięciem, jakby była to sprawa życia i śmierci. Był artystą. Tej nocy pikanteria zadania, jakie na siebie nałożył, pobudzała wszystkie jego nerwy. Teal, żujący pracowicie podczas złowieszczej, kilkusekundowej pauzy

pomyślał, że nigdy nie widział Świętego równie beztroskim i niebezpiecznym.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — stwierdził wreszcie ciężko.

— Ani trochę — mruknął Święty. — Widzisz przed sobą scenę wypoczynku domowego. Chcesz piwa?

Teal trzymał się mocno. Wiedział, że ma przed sobą twardego zawodnika i zamierzał odkryć się jak najpóźniej. Wściekłość słusznego oburzenia dusił w sobie podczas całej drogi z Regent's Park, aż z wielkim trudem doszedł do przekonania, że konieczna jest ostrożność. Jego zdecydowanie nie osłabło

ani na jotę, lecz nie zamierzał osiągnąć swego celu za wszelką cenę, frontalnym atakiem. Wojownicze

błyski w niebieskich oczach Świętego zapowiadały wiele przeszkód, które będzie musiał pokonać, i na

razie główny inspektor Teal próbował uzyskać jakiś punkt zaczepienia.

— Wróciłeś spokojnie? — zapytał.

Wysunął macki, burcząc wymijająco, a Simon uśmiechnął się.

— Spodziewasz się, że zapytam, dlaczego — wycedził — ale odmawiam robić tego, czego się po mnie spodziewasz. Ponadto wiem.

— Skąd wiesz?

— Mam wszędzie szpiegów. Siadaj, Claud. To zapadające się krzesło kupiliśmy specjalnie dla ciebie, a cygara z tego pudełka wybuchną, gdy je zapalisz. A może zdejmiesz kapelusz? Nie przylepi się do tapety.

Teal ściągnął melonik z nerwową delikatnością. Zrozumiał, że czeka go ciężka walka o dotrzymanie obietnicy, jaką sobie złożył. Powtórzył swe pytanie z ledwo dostrzegalną chrypką w ospałym głosie.

— Skąd wiesz, po co mi jesteś potrzebny?

— Duszeńko, skąd mógłbym to wiedzieć, gdybym nie był z tobą wtedy, gdy po raz pierwszy zapragnąłeś mnie mieć? — odparł Święty głucho.

— Przyznajesz więc, że to z tobą rozmawiałem przy Regent's Park?

— Między nami — przyznaję.

— Masz tu jakieś podziemne przejście, prawda?

— Ten dom jest pełen króliczych nor.

— A gdzie jest Perrigo?

— Udaje króliczka.

Teal zakręcił guzik i opuścił powieki. Paskudne, zimne ciarki zaczęły szaleńczo biegać po jego kręgosłupie. Przypominało to uczucie człowieka, który we wstępie do koszmaru bryka radośnie na środku mostu wzniesionego nad bezdenną czeluścią i nagle odkrywa, że most zmienił się w wąską belkę z toffi, a tu zaczyna się robić coraz cieplej.

Coś tu zaczynało się dziać. Nie miał pojęcia co, ale czuł wyraźnie narastające napięcie.

— Pomogłeś Perrigo uciec z Regent's Park, prawda? — starał się mówić jeszcze bardziej sennie i ospale niż przedtem, lecz zdenerwowanie ucinało odrobinę końcówki każdej sylaby. — Przyznajesz, że

spowodowałeś naumyślne zakłócenie porządku poprzez korzystanie z broni palnej na drodze publicznej, a także przeszkadzałeś policji w wypełnianiu jej obowiązków i stałeś się współnikiem mordercy?

— W tych czterech ścianach i w tych spodniach — powiedział Święty — nie mogę cię okłamać.

— Bardzo dobrze. — Knykcie Teala zbieleły na rondzie melonika. — Templar, aresztuję cię...

— Och, nie — powiedział Święty. — Nie, Claud, nie rób tego.

Detektyw naprężył się, jakby otrzymał cios. Ale Simon Templar nawet na niego nie patrzył.

Wybierał sobie papierosa z pudełka na stole. Podrzucił go w powietrze i złapał wargami, wyciągając

ręce z zadowoleniem. — Moja jedyna sztuczka salonowa — zauważył zmieniając temat.

Teal mówił przez zęby.

— A to dlaczego? — wybuchnął.

— Nie nauczyłem się żadnej innej — wyjaśnił Święty naiwnie.

— Dlaczego nie mam cię aresztować?

Simon przysiadł bokiem na stole. Pstryknął automatyczną zapalniczką i przytknął ogień do papierosa.

— Ponieważ między tym, co mówię ci teraz, Claudzie, w tych czterech ścianach i w tych spodniach, a tym, co powiem w sądzie, jest tak ogromna różnica, iż nie uwierzysz, że obie wersje wyszły z tych samych, różanych ust. Teal parsknął.

— Krzywoprzysięstwo, co? Myślałem, że wymyślisz coś sprytniejszego, Święty.

— Nie rozczarujesz się.

— Wymyślisz taką gadkę, że się wywiniesz?

— Wymyślę, Claud. Mam mnóstwo pomysłów. Wsadź mnie na ławę oskarżonych, a zacznę łągać jak właściciel gazety. Możesz to sobie wyobrazić?

Detektyw wzruszył ramionami.

— To twoja sprawa — chrząknął. — Skoro chcesz, by do innych twych sprawek doszło krzywoprzysięstwo, nie jestem w stanie temu zapobiec.

Simon nachylił się z lewą ręką na biodrze a prawą na kolanie. Granatowe, niebezpieczne błyski w jego oczach lśniły jeszcze mocniej, był gotów do walki, jak pirat przyparty do ściany, lecz igrający z ostatnią szansą.

— Claud, sądziłeś, że wreszcie mnie masz?

— Mam. Nadal tak sądzę.

— Myślisz, że nadchodzi wielki dzień, kiedy moje nazwisko zniknie z rejestru Spraw Niedokończonych, a ty będziesz mógł spać spokojnie?

— Tak.

— To fatalnie, Claud — powiedział Święty.

Teal uśmiechnął się wyrozumiale, lecz w jego wzroku były złe błyski.

— Ciągłe pragnę się dowiedzieć, dlaczego — powiedział obojętnie. Simon wstał.

— O.K. — powiedział, a nowy ton groźby podkreślał te lekkie słowa. — Powiem ci, dlaczego.

Chcesz odkrycia kart. Powiem ci, co sobie myślałeś. Pragniesz piórka do swego kapelusza, starałeś się

na wszelkie sposoby je zdobyć, ale ci się nie udało. Byłeś zbyt tępy. A potem pomyślałeś, że je masz.

Dziś był twój wielki wieczór. Zamierzałeś przyłapać Świętego na najbliższym błędzie, jaki

kiedykolwiek popełni. W twych krwiożerczych oczach popełniłem wszystko od morderstwa w dół, lecz

ścigałbyś mnie za kradzież czterech pensów z Bank of England.

— Tak nie powiedziałem.

— Tak myślisz. Masz, co chciałeś, Claud. Uważałeś, że byłem tak zajęty rozwalaniem gór, że nie miałem czasu zaznaczać wszystkich kretowisk? Cóż, czegoś chciałeś. Pragniesz może usłyszeć, co naprawdę robiłem dziś wieczór?

— Posłucham.

— Byłem z paroma przyjaciółmi i masz czas aż do Sądu Ostatecznego, by udowodnić, że to kłamstwo!

Detektyw rozpalił się.

— Masz mnie za nowo narodzone dziecko? — zaskowyczał.

— Nie wiem. — odparł Święty leniwie. — Może wcale się jeszcze nie narodziłeś. Może cię wykopano. Co na to poradzisz?

Teala zatkało. Jego opanowania rozprysło się na drobne kawałeczki, a wichry gniewu zaczęły mu je po kolei wyrywać z garści.

— O co ci chodzi? — zapytał żarliwie, a Święty się uśmiechnął.

— Tylko o zwykłe alibi, duszyczko. Podoba ci się?

— Alibi? — Teal powtórzył to słowo z sadystyczną siłą. — O tak, masz alibi! Sześciu ludzi widziało cię w Regent's Park, ale możesz mieć tuzin, którzy dadzą ci alibi. A gdzie jest to alibi?

— W domu, do którego prowadzi stąd tajemne przejście, o którym wiesz.

— Nie zamierzasz zmienić zdania, co do tego przejścia?

— Dlaczego miałbym zmienić? Może to dziwaczne, ale legalne w świetle prawa.

— A więc spróbujesz mi się wywinąć przy pomocy alibi?

— Nie tylko — powiedział Święty z zadowoleniem. — To alibi ma cię skompromitować.

— Czyżby?

Simon odłożył papierosa do popielniczki i schował ręce do kieszeni. Stał uśmiechnięty przed sześcioma stopami i dwoma calami bliskiego eksplozji nieładu w postaci detektywa.

— Claud — powiedział — tracisz życiową okazję. Dopuszczani cię do wszystkiego. Z dobroci serca przekazuję ci poufne wiadomości o organizacji mistrza zbrodni, za które wielu oddałoby duszę. I

czynię to z własnymi stratami. Zdradzam mój labirynt tajnych przejść, przez co będę musiał zmienić

kwaterę, jeśli zechcę znowu sprawiać kłopoty. Pokazuję ci działanie mego alibi, które gwarantuje

wywnięcie się z każdych tarapatów. Potwierdzą je czterej lordowie, rycerz i trzech oficerowie

wysokiej rangi. Gromadziłem ich przez całe lata, a teraz będę musiał wyszperać nową paczkę. Ale czym są

drobnostki wobec przyjaźni? Bądź rozsądny, Claudzie. Coraz wyraźniej widać, że ktoś się za mnie podaje.

— Tak, znam tego kogoś!

— Ale może tak być, prawda? — Święty kontynuował filozoficzny, przekonujący nacisk, w którym przebłyskiwały ostre argumenty, jak głodne rekiny w gładkim, tropikalnym morzu. — Stałem się tak słynny ze swych nieopatrznych wysiłków czynienia dobra, że ten czy ów postanowił zwalić na mnie

swe grzeszki. Dziw, że stało się to dopiero teraz. Przypomnij sobie tę ostatnią sprawę w Hampstead.

— Nie chcę więcej słyszeć o tej sprawie w Hampstead — powiedział Teal żarliwie. — Chciałbym wiedzieć, jak zamierzasz mi się teraz wywinąć. Słucham. Podaj mi nazwiska i adresy tych dwunastu kłamców. Oskarżę ich o krzywoprzysięstwo tak samo jak i ciebie.

— Nie oskarżysz. Ale powiem ci, co ja zrobię...

Święty wycelował w niego palec wskazujący. Teal odsunął go.

— Nie rób tego! — wrzasnął.

— Muszę — powiedział Święty. — Bardzo mi się podoba sposób, w jaki twój brzusek ugina się i odskakuje. Mówiąc o brzuskach...

— Powiedz mi, co ty sobie wyobrażasz?

— Oskarżę cię o przekupstwo, korupcję i szantaż! — powiedział Święty.

Jego ospały głos wypowiedział to zdanie z nagłą dosadnością i siłą strzału. Zabrzmiało jak eksplodująca bomba. Nastąpiła po nim świdrująca w uszach cisza.

Detektyw gapił się na Simona wybałuszonymi oczyma, a skóra jego twarzy pokrywała się matowym fioletem. Główny inspektor Teal nie słyszał w życiu bardziej zdumiewającego oświadczenia. Mrugał, jakby nagle zwątpił we własne zmysły.

— Czyś ty zwariował! — huknął.

— Nic o tym nie wiem.

— A kto niby mnie przekupił?

— Ja.

— Ty?

— Tak. — Święty wyjął z pudełka następnego papierosa i spokojnie go zapalił. — Nie przyglądałeś się ostatnio stanowi swego konta, co? Lepiej zrób to jutro rano. Przekonasz się, że tylko przez ostatnie

sześć tygodni dostałeś ode mnie osiemset pięćdziesiąt funtów. Dwieście 16 lutego, dwieście



pięćdziesiąt 6 marca, czterysta 22 marca — nie licząc mniejszych regularnych wpłat, dokonywanych przez ostatnie sześć miesięcy. Wszystkie czeki mają twoje potwierdzenie i wszystkie przeszły przez moje konto. Są teraz w moim banku, gotowe do sprawdzenia przez upoważnionych ludzi. To niezła sumka, Claudzie — w sumie 1 800 funciaków. Trudno ci się będzie z niej wytłumaczyć.

Część kolorów odpłynęła powoli z pulchnych policzków Teala i zniknęła pod jego płaszczem. Zmianie nie uległ jedynie wyraz oczu — puste spojrzenie pełne zastygłego, niewiarygodnego zdumienia.

— Wrobiłeś mnie w to? — wydusił.

— Niestety. — Simon zaciągnął się i wypuścił kóleczek z dymu. — To jeden z moich błyskotliwych pomysłów. Sądzisz, że zdołasz wykazać fałszywość potwierdzeń? To nie będzie łatwe.

Osiemset pięćdziesiąt funtów przez sześć tygodni to już coś. Odpisałem je od podatku jako ubezpieczenie, lecz mimo to z żalem się z nimi rozstałem. A jaka ława przysięgłych uwierzy, że wpłaciłem detektywowi tysiąc osiemset funtów przez sześć miesięcy tylko dla żartu? Jeśli staniemy przed sądem, będziesz musiał tańczyć na kruchym lodzie, mój stary. Przyznaję, że postąpiłem bardzo nieładnie przekupując cię, ale tak się stało... Na nieszczęście nie zadowoliliś się tym, co ci dałem. Żądałeś więcej i starałeś się to wydusić wszelkimi oskarżeniami. Najpierw sprawa w Hampstead, a teraz to dzisiejsze przedstawienie... Och, Claud, chyba będziemy musieli razem się z tego wywinąć.

## **ROZDZIAŁ VIII**

Detektyw jakby się skurczył. Na twarz wystąpiły mu plamy i cętki, a oszołomienie w jego oczach przyprawiło Świętego o odruch litości. Teal widział swój koniec. Spuszczona przez Świętego bomba zwała wszelkie podpórki, podtrzymujące jego świat. Stracił całą wojowniczość i chępliwość. Lepiej

niż ktokolwiek inny pojmował groźne znaczenie zastawionej na niego pułapki. Nie było z niej wyjścia

— nie był w stanie się z niej wywinąć żadnym blefem, czy podstępem. Mógłby chwycić broń i

walczyć

do końca — aresztować Świętego jak zamierzał, spróbować obalić jego alibi, wykazać bezpodstawność

kontroskarżenia o korupcję, jeśli tylko wypłynie, może nawet zostać uniewinnionym — ale i tak byłby

to koniec jego kariery. Nawet wygrywając byłby zrujnowany. Oficer policji musi stać ponad wszelkie

oskarżenia. A przed sądem te potwierdzone czeki, o których mówił Święty, byłyby obciążającym

dowodem. Mimo uniewinnienia, za Tealem nadal ciągnąłby się smrodek. Wskazywano by go palcami i

szeptano, że złamał jedenaste przykazanie i ledwo, ledwo się wywinął. A nie był już taki młody, by

machnąć ręką na wszelkie plotki i z zaciśniętymi zębami wrócić do naprawiania świata. Musiałby złożyć dymisję. Byłoby po nim.

Stał tak, coraz bledszy, bez ruchu. Święty wypuścił dwa dalsze kółka z dymu. Teal próbował coś

wymyśleć, ale nie potrafił. Nagły cios oszołomił go. Stał sparalizowany fizycznie i umysłowo. Nie był

w stanie myśleć trzeźwo i rozsądnie wobec tych diabelskich, bladoniebieskich oczu i tego, co w nich tkwiło. Nagle zacisnął pasek i obciągnął płaszcz.

— Spotkamy się rano — powiedział zdławionym głosem i wyszedł energicznie z pokoju.

Simon słyszał odgłos zamykania drzwi frontowych i kroków detektywa mijających okno i ginących

przy Berkeley Square. Coś jakby paraliżowało ich zwykłą ociężałą pewnością. Był w nich ledwo

słyszalny sygnał ostrzegawczy... Gdy Święty się odwrócił, ujrzał przyglądającą mu się Patrycję.

— Wielki triumf — powiedział spokojnie. Dziewczyna wstała.

— Blefowałeś?

— Jasne, że nie. Wiedziałem, że prędzej czy później dojdzie do starcia między mną a Tealem i

byłem na nie przygotowany. Urządziłem mu kilka dalszych, przykrych niespodzianek, ale nie został,

by o nich posłuchać. Chciałem się go tylko pozbyć. Nie miałem pojęcia, że to okaże się takim ciosem.

Patrycja odwróciła wzrok.

— To było wrzuszające — oznajmiła. — Och, postarzał się o dziesięć lat, gdy to powiedziałeś.

Simon przytaknął. Owoce zwycięstwa okazały się dziwnie gorzkie.

— Czy wiesz, Pat, że jakąś godzinę temu sądziłem, że to będzie najbardziej przykre przedstawienie, w którym Teal wziął udział? Szlachetna gra drażnienia detektywa miała zostać wykonana po mistrzowsku, jak nigdy dotąd. To wszystko, co powiem... Cóż to za piekielna awantura!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa. Zbyt dużo myślał, by mówić. Na górze rozebrał się, wszedł do łóżka i niemal natychmiast zasnął. Dar łatwego snu jest wspólny wszystkim wielkim awanturnikom, snu leczącego umysł i rozwiązującego wszelkie problemy. Patrycja, która weszła tam później zobaczyła, że jego twarz jest spokojna jak u dziecka.

Musiał spać bardzo głęboko, bo nie obudził go do końca odgłos cichego grzebania. Potem usłyszał trzaśnięcie i ocknął się całkowicie.

Otworzył oczy i rozejrzał po pokoju. Było w nim widno, więc nie dostrzegł żadnych niezwykłych cieni. Zerknął na zegarek i zobaczył, że jest już prawie siódma rano. Przez chwilę leżał nieruchomo, wpatrując się w tarczę na przeciwległej ścianie. Podłączony do niej sprytny system alarmowy obejmował każdy zakątek domu. Miganie kolorowych żaróweczek na tablicy zdradzało najmniejsze zakłócenie spokoju. Teraz jednak nie świeciła się żadna, milczał też dodatkowy brzęczyk pod poduszką

Świętego. Simon zmarszczył brwi ze zdumieniem zastanawiając się, czy nie zmyliła go wyobraźnia, a potem zapierające dech podejrzenie zawirowało mu w głowie i wyślizgnął się bezszelestnie z pościeli.

Odsunął na bok wielkie lustro i zapalił światło w tajemnym przejściu. Z prawej strony ujrzał na filcowej wykładzinie wypaloną zapałkę i zacisnął usta. Przeszedł szybko korytarzem do końca budynku. Zobaczył przed sobą szeroko otwarte tylną ściankę i drzwi szafy w łazience przy Berkeley Square 104. Przypomniawszy sobie, że sam je tak zostawił wieczorem, kiedy to spieszno mu było dostać

się do domu i zakończyć waśń z głównym inspektorem Tealem. Drzwi łazienki także stały otworem.

Wyszedł przez nie na korytarz. U dołu schodów wpadło mu w oczy i natychmiast zniknęło słabe światło.

Wówczas utwierdził się w podejrzeniu, które sprowadziło go tutaj i pożałował, że nie poczekał z pościgiem i nie wziął broni. Zakradł się na dół i zobaczył ruchomy cień.

— Zostań tam — krzyknął. — Mam cię na muszce!

Cień odskoczył, a Simon runął za nim. Zostały mu jeszcze cztery stopnie, gdy rzucił się w powietrze i wylądował na czyichś ramionach. Zwalili się razem, sturlali po reszcie schodów i z hukiem wylądowali na dole. Święty starał się ścisnąć tamtemu gardło. Dosięgnął je jedną ręką, gdy w świetle

latarni ulicznej dojrzał mdły połysk stali. Odskoczył w bok, a ostrze rozerwało piżamę i uderzyło w podłogę. Potem kościste kolano kopnęło go w brzuch, pozbawiło tchu i wysało boleśnie wszystkie siły. Zwijając się bezradnie na podłodze usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi.

Dopiero po dziesięciu minutach zdołał jakoś wstać i ruszyć na oględziny. Drzwi do celi w piwnicy stały szeroko otwarte. Widniała w nich wyryta tuż pod masywnymi skoblami dziura, szeroka jak ramię

mężczyzny, a na kamieniach posadzki było pełno wiórów. Simon zrozumiał, że był niewiarygodnie nieostrożny.

Wrócił do sypialni i spojrzał na płaszcz. Leżał inaczej niż wtedy, gdy go kładł — to tłumaczyło lekki szelest, który go obudził. Dalsze poszukiwania zdradziły, że w kieszeni nie ma już paszportu i biletów Perrigo. Niczego gorszego Święty nie mógł się spodziewać. Obolały wrócił do łóżka i zasnął

ponownie. Tym razem coś mu się przyśniło. Biegł niewłaściwą stroną wąskich, ruchomych schodów.

Przed nim była Patrycja, ale posuwała się zbyt wolno, musiał ją ominąć, by złapać Perrigo, który tańczył tuż poza zasięgiem jego rąk. Perrigo ubrany był jak orangutan w cyrku, miał śmieszny, słomiany kapelusz, frak i białe, flanelowe spodnie. Na kołnierzu nosił ogromny diamentowy

naszyjnik,

wykrzywił się, stroił miny i wrzeszczał: „Nie w tych spodniach”. Potem scena się zmieniła. Przybył

Teal dosiadający żyrafy, ubrany w pumpy i również mówiący: „Nie w tych spodniach”.

Wreszcie Święty obudził się i zobaczył, że jest wpół do dziewiątej. Wskoczył z łóżka, zapalił papierosa i poszedł do łazienki. Namydlił twarz i ogolił się, prześladowany przez sen, którego z jakiegoś powodu nie mógł uchwycić. Gdy moczył się w słonej kąpiel, olśniło go tak bardzo, iż z ogromnym pluskiem wyskoczył z wody.

Po dziesięciu minutach, pysznie wystrojony w nowy, wiosenny garnitur zbiegł po schodach, by zastać tam jajka na boczku i czytającą gazetę Patrycję.

— Perrigo nas opuścił — powiedział.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem, lecz Święty wybuchnął śmiechem.

— Opuścił, lecz wiem, dokąd poszedł — wyjaśnił. — Przed odejściem zabrał swoje dokumenty.

Zapomniałem, że ma nóż i zamknąłem go bez przeszukania. Spędził całą noc na przegryzaniu się przez drzwi i wczesnym rankiem zjawił się tu po paszport. Trochę się spóźniłem, by go złapać. Spotkamy się

z nim w pociągu do portu. Odchodzi o dziesiątej.

— Skąd wiesz, że w nim będzie?

— Gdyby planował coś innego, po co wracałby po bilet? Nie, wiem dokładnie, co knuje. Wie, że po osieroceniu go przez Isadore’a, zostało mu tylko jedno wyjście i chce je wykorzystać. Wykoncypował,

że nie pomaga policji i liczy na to, że mi umknie. Założę się, że schowa się w najbardziej zatłoczonym przedziale, jaki znajdzie, byle tylko zwiększyć swe szansę. Powiem więcej, wiem teraz, gdzie są diamenty!

— Masz je?

— Jeszcze nie. Ale zauważyłem u Isadore’a, że strój Perrigo jest niedobrany. Myślałem, że zamienił

się z Frankie Hormerem płaszczami i nim zadzwonił Teal, dwukrotnie sprawdziłem kapotę.

Oczywiście, niczego nie znalazłem. Musiało mnie coś otumanić. To nie płaszcze zamienił, lecz spodnie! Diamenty są zaszyte w portkach Bertiego!

Patrycja podeszła do stołu.

— Czy pomyślałeś o Tealu? — zapytała.

Simon podszedł do regału z książkami i wyjął mały tomik, oprawny w skórę. Ten skromny leksykon kosztował go wiele miesięcy wyteżonej pracy. Zawarte w nim nazwiska, adresy, dane osobowe, sposoby dojścia, dowody, stanowiły podstawę, która pozwalała Świętemu poruszać się gładko po podziemiu i umożliwiała mu pojawianie się tam jak meteor.

— Pat — powiedział Święty — zamierzam uczynić z Teala wielkiego człowieka. Może to rozrzutność, ale cóż z tego? Czy można mieć całą ziemię za dziesięć centów? Za tę grę już zapłaciliśmy naszym domem, naszym cennym alibi i jednym z najsprytniejszych kontrataków — no to co? Zakończmy wszystko w tym samym stylu! Jestem najinteligentniejszym człowiekiem na świecie.

Czyż nie znajdę sześciu nowych domów, nie załatwię sobie czternastu dalszych, jeszcze lepszych fałszywych świadków i nie wymyślę następnych siedemdziesięciu dziewięciu forteli i łupów? Czyż nie

napełnię dwóch takich książek, gdy tylko zechcę?

Patrycja objęła go ramionami.

— Chcesz dać ten notes Tealowi?

Święty przytaknął. Cały promieniał.

— Ukradnę gacie Perrigo, Claud Eustace znów się uśmiechnie, a my wyjedziemy.

## **ROZDZIAŁ IX**

Święty czuł się cudotwórcą. Dokonał niewielkich czarów na urzędniku od wagonów sypialnych, dzięki któremu znalazły się nie istniejące wcześniej miejsca. Potem pomedytował wypalając kilka papierosów i popełnił utwór rymowany na marginesie listy win. Tkwił nad nim nadal z

niezrównanym

zapałem, gdy Patrycja wstała i wyszła przejść się po pociągu. Nie było jej kilka minut, a gdy wróciła,

Święty spojrzał na nią i rozmyślnie nie zwrócił uwagi na jej zmieszany wzrok.

— Posłuchaj — powiedział. — Oto ballada o złym łysielcu, jest pełna przestróg:

*Za Daniela Dinwiddie Gigsworth–Glee*

*Ręczyli powszechnie uważani*

*Za wzory wszelkich cnót*

*Nawet bez spodni wokół ud;*

*Prawy człowiek (Gigsworthowie są*

*Niezdolni do skrętu w lewo),*

*Trzymał się starej moralności,*

*Umarłby prędzej, czy przez miesiąc pościł*

*Nim by się w Ściekach na plaży*

*Pokazać bez koszuli odważył*

— Simonie — powiedziała dziewczyna. — Perriga nie ma w pociągu.

Święty odłożył ołówek.

— Jest, kochana. Widziałem go, gdy wsiadaliśmy na Waterloo. On chyba też mnie zobaczył.

— Ale zaglądałam do każdego przedziału...

— Czy sprawdziłaś wszystkim odciski palców?

— Takiemu facetowi jak Perrigo trudno jest się przebrać.

Simon obdarzył ją uśmiechem.

— Przebrania bywają sprytne — powiedział. — Nie wystarczą przyklejone baki i przymocowane

nosy — to tylko szczegóły. Czy opowiadałem ci kiedyś o moim przyjacielu, który musiał się ukrywać?

Kupił różową koszulę, aksamitną marynarkę, wyhodował wielką, półkolistą brodę, wynajął pracownię

malarską i zmienił nazwisko na Prinnlovewz. Świetnie się maskował, nim któregoś dnia nie przyłapano

go sklepie dla malarzy, gdy próbował kupić tubkę żółci wątrobowej.

Musisz posłuchać dalej o Danielu:

*Jakże miła, och, jakże złota*

*Wydaje się nam jego cnota*

*Siedział on w aniołów gronie*

*Ustępujących mu miejsce na tronie!*

*Jego honor bez skaz*

*Niby latarnia morska*

*Czy nos z daleka lśnił,*

*Prowadząc przez ocean waśni*

*A potem upadł..*

*Od Kusiciela,*

*Upokorzonego przez Daniela,*

*Zgrał on ostatni atut, a Dan,*

*który jako dżentelmen*

*Unikał pań w jedwabnym dessous*

*Oraz picia choćby trunku z chmielu,*

*Kupił (och, jakże płaczą anieli!)*

*Bilet na rejs do Irlandii.*

Patrycja sięgnęła przez stół i chwyciła dłonie Świętego.

— Simon, nie dam się zbyć! Gdzie jest Perrigo?



— Jeśli będziesz mówiła głośniej, to cię usłyszy.

— Nie ma go w tym przedziale!

— Siedzi w następnym.

Dziewczyna patrzyła nań ze zdumieniem.

— A kogo udaje?

Simon z uśmiechem zapalił papierosa.

— Wybrał najprostsze i niemal najskuteczniejsze przebranie. Bardzo przypomina naszego drogiego Negro Spiritual. — Spojrzał na nią wesoło. — Zrobił to dobrze, ale i tak rozszyfrowałem go od razu.

Czy widziałaś kiedyś Murzyna z jasnożółtymi oczami? Stąd moje porównanie. Może i tacy istnieją, ale

nigdy żadnego nie widziałem. W Hongkongu zdarzają się niebieskoocy Sikhowie, są nawet dość sławni, ale to jedyny taki wybryk natury, o którym słyszałem. Nic dziwnego, że gdy spostrzegłem takie

oczy, przyjrzałem się bliżej całej twarzy i rozpoznałem Perrigo. Przypominasz go sobie?

Patrycja przytaknęła bez słowa.

— Jak mogłam to przegapić? — wybuchnęła wreszcie.

— Trzeba się nastawić na takie rzeczy — stwierdził Święty skromnie.

— Ale — przypominam sobie — siedzi w zatłoczonym przedziale.

— Zastanawiasz się, jak ściągnę z niego spodnie? Cóż, ta sprawa ma na pewno interesujące aspekty.

Jak ukraść komuś spodnie w pociągu pełnym ludzi? Może nie uwierzysz, ale nawet mnie wydaje się to

trudne.

Pociągiem przeszedł konduktor, sprawdzając wizy i wydając karty wstępu na pokład. Simon wziął dwie i kilka minut palił w zamyśleniu. Potem roześmiał się i wstał.

— Po co się martwić? — zapytał — wymyśliłem coś znacznie lepszego. To jeden z moich najlepszych pomysłów.

— Na czym polega?

Simon poklepał ją po ramieniu.

— Zamierzam zabić czas, wabiąc Bertiego — oznajmił niezmiernie poważnie. — Chodź!

Skoczył z miejsca jak oparzony i ruszył długimi, zamaszystymi krokami.

Patrycja Holm dołączyła do niego z uśmiechem — niezbadanym, nieskończenie łagodnym

uśmiechem wszystkich kobiet, którym przyszło kochać romantycznych mężczyzn. Znała Świętego

lepiej, niż on sam siebie. Nie mógł dorosnąć. Och, tak, postarzeje się, zacznie czuć głębiej, myśleć

poważniej, starać się z rozpaczliwą trzeźwością dotrzymać kroku codziennemu życiu, lecz nigdy nie

ulegną zmianie pewne cechy jego charakteru. Może oszukiwać siebie, lecz nigdy jej nie omami.

Nawet

teraz wiedziała, o czym myśli. Zbierał siły, by pójść drogą, którą wybrali wszyscy jego przyjaciele.

Ośmielił się podjąć rękawicę rzuconą mu przez bogów, przyjąć ją tak, jak każde inne wyzwanie —  
ze

śmiechem i wymachiwaniem rękoma, z brzęcącymi w uszach trąbami. Wiedziała, jak powinna mu

odpowiedzieć.

Podeszła do niego i chwyciła za łokieć.

— Ale czy to ci pomoże, maleńki?

— To mnie zabawi — odparł Święty. — Będzie też aktem litości. Naszym świętym obowiązkiem

jest dopilnować, by Bertie nigdy nie zapomniał tej podróży. Otworzę bal, prosząc go o składkę na

fundusz Towarzystwa Rozdzielania Wełnianych Kamizelek Patriarchom Górnego Psinkowa. Mówiąc  
z

uczuciem i przekonaniem odwołam się wymownie do dobra, jakie czyniłem jego czarnym braciom i

wezwę do wniesienia pewnego wkładu. Jeśli to zrobi, wyjdziemy, napijemy się i wymyślimy coś

innego. Jeśli nie, wpadniesz ty i poprosisz go o autograf. Nazywaj go Alem Jolsonem i domagaj się,  
by

zaśpiewał. Następnie...

— Potem — stwierdziła Patrycja z mocą — wezwie konduktora i zostaniemy wyrzuceni z pociągu.

Prowadź, chłopcze.

Simon kiwnął głową i podszedł do drzwi przedziału. A potem stanął jak wryty, a wymierzony w niebo papieros w jego ustach zatoczył powolny łuk, aż wreszcie opadł komicznie nisko. Po kilku chwilach Patrycja podeszła bliżej i również zajrzała do przedziału. Święty wyjął wtedy papierosa z ust i wypuścił dym z długim gwizdnięciem.

Perrigo zniknął. Nie było co do tego wątpliwości. Zajmowane przez niego miejsce w rogu było równie nieskalane obecnością człowieka, jak żadne inne odkąd George Stephenson doczepił wagony i ruszył szaleńczo do Stockton–upon–Tees. Jeśli nie bardziej. Na pozostałych siedzeniach rozpięła się tęga matrona z brodawką na brodzie, chłopczyk w marynarskim ubranku i szczupła pryszczata kobieta czytająca zamaskowany egzemplarz *Źródła samotności*. Żaden cud charakteryzacji nie mógł zamienić Gunnera Perrigo w jedną z tych osób... Taka była niezaprzeczalna prawda o całej scenie, podana skrupulatnie i treściwie. Im dłużej się jej przyglądali, tym stawała się przeraźliwsza.

Simon zwarzył spokojny nastrój mową, która oparzyłaby boki salamandry. Włożył w to całe serce. Starannie i zrozumiale uwypuklił każdy aspekt i szczegół sytuacji, ze szczodłą hojnością wyobraźni, która wprawiłaby w błogość nawet duszę sierżanta. Nikt i nic związane z wypadkiem, choćby najdalej, nie zostało pominięte w tej szeroko zakrojonej oracji. Zaczął od paleolitycznych praszczurów wspomnianego George'a Stephensona i posuwał się aż do czarnych zębów prawników Isadore'a Elbermana. W tym momencie wtrąciła się Patrycja.

— Może poszedł się umyć — powiedziała.

— Akurat! — Święty strzelił jak biczem. — Jasne, poszedł. I zabrał z sobą bagaż, by jakaś mucha nie złożyła w nim jajeczek. Czy zauważyłaś jego walizkę? Ja tak. Była nowiutka — bez jednego

zadrapania. Musiał zrobić zakupy bardzo wcześnie, kompletując wszystkie manatki. Cały jego majdan

został u Isadore'a i nie ośmielił się po niego wrócić. Ta waliza zniknęła!

Oficer doglądający zaokrętowania minął ich i otworzył drzwi przedziału.

— Panna Lovedew? — Pyszczata kobieta zgłosiła się. — Pani dokumenty są w porządku.

Simon wziął Patrycję pod ramię i łagodnie odprowadził.

— Nazywa się Lovedew — powiedział grobowo. — Chodźmy poszukać miejsca, gdzie umrzemy.

Przeszli kilka chwiejnych kroków.

— Musi być nadal w pociągu! Od wyruszenia ani razu nie zwolniliśmy, a nie mógł wyskoczyć bez skręcenia karku. — powiedziała Patrycja.

Święty chwycił jej dłonie.

— Masz rację! — krzyknął. — Pat, masz świętą rację! Bertie musi być w pociągu, a skoro tak, to go znajdziemy, choćbyśmy mieli rozebrać wszystko na kawałki. Teraz pójdę tędy, a ty tamtędy i miej oczy szeroko otwarte. Jeśli zauważysz kogoś z wielką, bujną brodą, złap ją i dobrze pociągnij!

— Tak jest, Święty!

— Ruszamy!

Szedł szybko korytarzem paląc następnego papierosa i zataczając się pod wpływem kołysania pociągu.

Starannie zabrał się do dzieła. W ciągu dziesięciu minut obejrzał tak zróżnicowany zestaw pasażerów, że mózg zaczął mu się gotować. Przed oczyma przewinęła mu się seria fizjonomii, na widok których Cesare Lombroso zacmokałby się na śmierć i chwycił za miarkę. Amerykanie wszelkich

kształtów i wielkości, Anglicy w pumpach, z flanelowymi torbami, dzieci płci męskiej, żeńskiej i nijakiej, duże kobiety, małe kobietki, trzej kosmopolityczni milionerzy — gruby, chudy i zalany, trzy żony kosmopolitycznych milionerów — to samo, lecz w innej kolejności, pisarz, aktor, polityk, czterej

Persowie, trzech Hindusi, dwaj Chińczycy i dzikus z Borneo. Simon Templar sprawdził każdego, który przy największym skoku wyobraźni pasował do rysopisu poszukiwanego i zaczerpnął dość danych, by

napisać trzy książki lub sześćset osiemdziesiąt siedem nowoczesnych opowiadań. Mimo to, nie znalazł

Gunnera Perrigo.

Doszedł do końca ostatniego wagonu i stał chwilę patrząc ponuro w okno, nim ruszył z powrotem.

Wtedy to właśnie ujrzał coś dziwnego. Początkowo widok ten nie poruszył go zbytnio. Po prostu coś białego przesunęło się za oknem. Popatrzył za tym obojętnie i powrócił do posępnego obserwowania pasażerów. Przed nosem przeleciały mu dwa następne białe cienie i po chwili dostrzegł czerwony materiał powiewający lekko na drutach obok toru.

Święty zmarszczył brwi i spojrzał uważniej. Przed oczami frunął mu cały wodospad czegoś tam i osiadał po drodze. Wielkie i małe coś, o różnych kształtach i w połowie barw tęczy przepłynęło za oknem lądując na polach i żywopłotach. Zatrzepotała płachta zielonej tafty, która wyglądała jak żarłoczny sęp po sporze z młotem parowym, a za nią chora na żółtaczkę bawełniana mewa, którą chyba

spotkało to samo. W ślad za nimi udało się stadko najróżniejszych strzępów i kawałków. Co najmniej sześć sztandarów o niewłaściwych barwach zatrzepotało na wietrze po zatknięciu się na słupach telegraficznych. Trwało to, aż całą okolicę pokryły łupy zdobyte we wszystkich sklepach Knightsbridge i Brompton Road.

Nagle Świętego olśniło znaczenie tego wszystkiego, tak niespodziewanie i jasno, że odrzucił głowę i zaniósł się niepohamowanym śmiechem. Skręcił do sąsiednich drzwi. Był pewien, że są zamknięte, lecz się mylił. Otworzył się od niewielkiego nacisku ramieniem, bo były tylko tymczasowo zablokowane. Teraz jednak nie zwrócił na to uwagi. Nie wątpił, że w najświeższym, niespodziewanym

olśnieniu dostrzegł prawdę i wiedział dokładnie, co miał z nią począć. W pięć minut później, tuż po

krótkiej przerwie na mycie i czyszczenie ubrania, szedł beztrąsko korytarzem, kontynuując jedną z najradośniejszych podróży swego życia. Zatrzymał się przed przedziałem zajmowanym uprzednio przez Perrigo i otworzył drzwi.

— Panno Lovedew — powiedział melancholijnie, a pryszczata dama zgłosiła się podnosząc twarz.

— Czy pani bagaż jest ubezpieczony?

— Oczywiście — odpowiedziała — — Dlaczego pan pyta?

— Może już pani zgłaszać roszczenia — stwierdził Święty.

Kobieta przyjrzała mu się niepewnie.

— Nie rozumiem pana. Co się stało? Czy pan jest z linii żeglugowej?

— Jestem głównym kucharzem i pomywaczem butelek — odparł Święty z grobową powagą — i nie podoba mi się pani koszula nocna z czerwonej flaneli.

Zamknął drzwi i ruszył dalej, nucąc pod nosem coś wesołego, zostawiwszy za sobą damę cierpiącą od zdumienia, wściekłości i trądzika.

W wagonie sypialnym spotkał niepokieszoną Patrycję. Rozjaśniła się na jego widok.

— Znalazłeś go?

Simon usiadł.

— Jak ci się wiodło?

— Wprost cudownie — powiedziała z grymasem. — Cztery razy sprawdziłam moją część pociągu i zauważyłabym Perrigo chociażby przebrał się za komara.

— Doznałem natchnienia — oznajmił Święty.

Wziął listę win, ołówek i zaczął szybko pisać. Potem uniósł kartę i przeczytał:

*Góry się zatrzęsły, pioruny spadły*

*Same niebiosa ze wstydu zatkały;*

*A duch przodka Dinwiddie*

*Gigsworth w białej koszuli,  
Mocno skręconej przy kolanach,  
Zatrząsł się cały od zdrady Dana.  
Gdyby Dan był zwykłym łotrem  
Nie byłoby to takie najgorsze;  
Gdyby tylko obrabował bank  
Czy napadł na dyliżans,  
Lub też, wzięwszy kij  
Nieśmiało przebił panią Glee;  
Mogliby to jakoś zrozumieć,  
Bo młodość się musi wyszumieć;  
Zdarzają się czasem dziwne rzeczy  
W rodzinach nawet najlepszych;  
Lecz podłość Dana była tak przemożna,  
Iż gorszej od niej popełnić nie można,  
Bo kupił (tak im się wydawało)  
Czekoladę po dziewiątej rano.*

— Zawsze będziesz szalony? — zapytała Patrycja z uśmiechem.

— Aż po grób, dzięki Bogu — odpowiedział Święty.

— Ale nie znalazłeś Perrigo?

— Ależ znalazłem go!

Dziewczyna spojrzała ze zdumieniem. — Znalazłeś go?

Simon przytaknął i ujrzała, jak jego oczy się śmieją.

— Tak. Był w wagonie bagażowym na końcu składu, wyrzucając ruchomości i nieruchomości z

kufra na stroje. A na dodatek kufer ten podpisany był nieśmiertelnym nazwiskiem Lovedew —

stwierdziłem to później i starałem się zawiadomić właścicielkę, ale mi chyba nie uwierzyła. W każdym

razie walnąłem go i nastąpiła szybka wymiana komplementów. A mówiąc krótko...

— Właśnie...

— Perrigo jest zamknięty w tym kufrze, tak jak pragnął. Ale bagaż ten otrzymał nowe nalepki, które nie spowodują najmniejszego zamieszania na *Berengarii*, jeśli tylko Claud Eustace przybędzie na czas,

czego się po nim spodziewam, bo Isadore niemal na pewno wszystko wyśpiewa. Nam zaś pozostaje jedynie czekać na akompaniament. — Simon spojrzał na zegarek. — Droga Pat, mamy jeszcze pół godziny jazdy i chyba stać nas na butelkę!

## ROZDZIAŁ X

Zegar wydzwaniał wpół do pierwszej, gdy główny inspektor Teal wysiadł sztywno ze specjalnego samochodu policyjnego tuż przy bramie Basenu Oceanicznego. Posterunek policji przy Albany Street opuścił o wpół do jedenastej, kierowca Lotnej Brygady niewiarygodnie szybko dojechał z Londynu do

Southampton.

Isadore Elberman jednak zaśpiewał, zgodnie z przewidywaniami Świętego i to nieźle. Dobrze skruszony po bezsennej nocy w celi powtórzył kilka razy miejscowemu inspektorowi to, czego nie usłyszały uszy Teala poprzedniego wieczoru. Opowieść zawierała takie bogactwo ozdóbek i szczegółów, że inspektor pośpiesznie chwycił za telefon i poprosił Teala, by osobiście wysłuchał tych

zwierzeń.

Nie tylko Isadore Elberman nie spał tej nocy. Gdy otwierano bank, Teal czekał już na schodach.

Zapytał o stan swego konta, a po kilku minutach kasjer podał mu pasek papieru. Inspektor dowiedział się z niego, iż posiada 1 800 funtów więcej, niż powinien i nie musiał już dalej prowadzić śledztwa.

Z



banku pojechał taksówką na Upper Berkeley Mews, lecz długie dobijanie się do drzwi frontowych nie

przyniosło żadnego skutku, a dyżurujący tajniak powiedział, że Templar wyszedł z dziewczyną o wpół

do dziesiątej i jeszcze nie wrócił. Teal wrócił do Scotland Yardu, gdzie zastała go wiadomość z Albany

Street.

Podczas jazdy do Southampton złożyły mu się w całość oddzielne kawałki układanki, którą sam zaczął się bawić. Pasowały gładko do siebie bez żadnych luk, odsłaniając obraz o jednym spójnym zarysie i przygnębiająco prostym, trójbarwnym wzorze. W wyrytych na miedziorycie surowych, twardych faktach tej sprawy nie dostrzegł słabego punktu. Wszystko było dziecinnie proste i oczywiste, jak najłatwiejsze zadanie z przedszkolnej arytmetyki. Siedziało na zadnich nogach i łypało oczami.

Powoli i stanowczo, trzymając głęboko w kieszeniach zaciśnięte pięści, główny inspektor Teal wchodził po trapie *Berengarii*, by zakończyć sprawę. W tym czasie na pokładzie rufowym, Simon Templar siedząc na wielkim kufrze przemawiał do dwóch stewardów, tragarza, poirytowanej damy z pryszczami i małej grupki zaciekawionych pasażerów.

— Zgadzam się — mówił Święty. — To oburzające. Musicie jednak obciążyć tym Bertiego. Mogę się jedynie domyślać, że i on nie lubi koszul nocnych z czerwonej flaneli. O ile można domniemywać z

danych okoliczności, widok niezmiernie godnych sukien pani Lovedew napełnił go tak niepohamowanym szaleństwem, iż zaczął wyrzucać za okno całą zawartość kufra. Ale mnie za to winić? Czyż jestem stróżem Bertiego? Gdy się tylko odwróciłem...

— Nie wierzę mu! — krzyczała zdenerwowana dama. — Jest pan pospolitym złodziejem, ot co! Poznałabym wszędzie ten kufer. Mogę opisać wszystko, co w nim jest!

— Założę się, że nie — powiedział Święty.

Dama odwołała się do zgromadzonych gapiów.

— To nie do zniesienia! — wrzeszczała. — To najbardziej bezczelna zniewaga, jaką słyszałam w życiu! Ten człowiek ukradł moje ubrania i nakleił na kufer swoją nalepkę!

— Madame — zaczął Święty. — Nigdy nie przeczyłem, że ten kufer, sam kufer, należy do pani.

Nalepka odnosi się do jego zawartości. Jako praworządny obywatel...

— Gdzie jest kapitan? — histerycznie domagała się odpowiedzi dama z wysypką.

W tejże chwili przez tłum przepchał się Teal.

Tylko przez chwilę przyglądał się Świętemu, a ten z kolei dostrzegł wory pod oczami inspektora i inne oznaki zmęczenia na twarzy. Same oczy były jednak twarde i bez wyrazu, a usta zaciśnięte gorzko.

— Przepuszczałem, że cię tu zastanę — powiedział.

Ostatnia z Lovedewów okręciła się na pięcie.

— Zna pan tego człowieka?

— Tak — odparł Teal drewnianym głosem. — Znam go.

Święty skrzyżował nogi i wyjął papierośnicę. Gestem ręki wskazał detektywa.

— Panie i panowie — mruknął — Mam zaszczyt przedstawić *Deus ex machina*, czyli szybki jak strzała. To pan Claud Eustace Teal, który opowie wam o swoich wędrówkach po Północnej Eutanazji.

Pan Teal, panna Lovedew.

— Teal? — rozwścieczona dama odskoczyła, jakby użądliła ją pszczoła. — Nazywa się pan Teal?

— To moje nazwisko — odparł lekko zaskoczony detektyw.

— Ma pan czelność przyznać się do niego?

— Tak, oczywiście.

Kobieta osunęła się w ramiona jednego z gapiów.

— Czy tu wszyscy zwariowali? — załkała. — Jestem rabowana w biały dzień! To jego wspólnik —

nie wypiera się! Czy nikt nie może ich powstrzymać?

Teal był zdezorientowany.

— Jestem oficerem policji. — powiedział.

— Jesteś kłamcą! — krzyknęła kobieta.

— Moja dobra pani...

— Nie waż się pan tak do mnie mówić! Jesteś podłym, nędznym, chamskim złodziejem!

— Ależ...

— Chcę mój kufer. Muszę mieć mój kufer! Jak mogę płynąć do Nowego Jorku bez kufra? To mój kufer!

— Claudzie — powiedział Święty z przejęciem — czy widziałeś kufer lokaja jej wujka? To dopiero kolosalna paka.

Panna Lovedew rozejrzała się dziko.

— Czy nikt mi nie pomoże? — zaczęła jęczeć.

Simon wyjął papierosa z ust i wstał. Postawił jedną nogę na kufrze, umieścił na niej przedramię i uniósł dłoń prosząc o ciszę.

— Czy mogę wyjaśnić? — powiedział.

Kobieta chwyciła się za skronie.

— Jeśli ktoś zamierza słuchać tego... tego...

— Dżentelmena? — podsunął jej Święty na próbę.

Teal podszedł bliżej i chwycił się za pasek.

— Jestem oficerem policji — powtarzał stanowczo — i na pewno chcę wysłuchać jego wyjaśnień.

Tym razem oznajmił o swojej profesji z takim nieustraszonym przekonaniem, że gwar komentarzy ucichł i zapadła napięta cisza. Nawet pryszczata wojowniczką patrzyła nań w milczeniu, tracąc pewność siebie. Cisza wywołała niemal teatralny efekt.

— No? — powiedział Teal. Święty machnął lekko papierosem.

— Przybyłeś w samą porę — powiedział — by rozstrzygnąć poważne nieporozumienie. Podam ci fakty. Przyjechałem tu rano pociągiem mającym połączenie ze statkiem, aby przypilnować naszego przyjaciela, nazwijmy go Bertie. W czasie podróży straciłem go z oczu. Tuptałem wszędzie ciekaw, co

się z nim stało, i wreszcie go odnalazłem w wagonie bagażowym, podczas wyrzucania przez okno ostatnich fatalaszków panny Lovedew.

— To kłamstwo! — pisnęła dama, słabo lecz jadowicie. — Ukradł moje ubrania, obraził mnie...

— Wrócimy do tego za minutkę — powiedział nieporuszony Święty. — Jak mówiłem, zastałem Bertiego, gdy wlaził do kufra, który tak bezceremonialnie opróżnił. Osobiście narażając się na niebezpieczeństwo i niewygodę pomogłem mu w tym zadaniu i zamknąłem. Aby mi go dostarczono po

przybyciu na miejsce, zmuszony byłem tymczasowo zamienić naklejki na kufrze. Przyznaję, iż dla wyższych celów pożyczyłem go sobie bez pozwolenia panny Lovedew. Próbowałem udzielić jej wyjaśnień, lecz arogancko je odrzuciła. Potem, gdy czekałem tu na ciebie, doszło do sporu na temat praw własności. Kufer, czemu nigdy nie przeczyłem, należy do panny Lovedew. Pozostaje kwestia Bertiego.

Panna Lovedew wytrzeszczyła na niego oczy.

— Chce pan powiedzieć, że w tym kufrze jest mężczyzna? — zapytała z odrazą.

— Madame — odparł Święty — Jest Chce go pani? Pierwszy pragnął go pan Teal, ale gotów jestem otworzyć licytację. Okaz jest w bardzo dobrym stanie, nie licząc podbitego oka i nadwerężonej szczęki,

ale poza tym całkowicie sprawny i gotów do drogi. Jest bardzo spięty i wrażliwy, ale niezwykle męski.

Należy go karmić żytniówką i kawiozem...

Teal nachylił się nad kufrem i sprawdził nalepki. Widniało na nich jego nazwisko. Wyprostował się

i utkwiał w Świętym ciężki wzrok.

— Chcę porozmawiać z tobą na osobności — powiedział.

— Chętnie — odparł Święty krótko.

Detektyw rozejrzał się wokół.

— Nie wolno dotykać kufra bez mego pozwolenia — powiedział.

Ruszył do relingu, a Simon szedł obok. Zatrzymali się, gdy znaleźli się poza zasięgiem tłumu. Przez kilka chwil patrzyli na siebie.

— To Perrigo siedzi w tym kufrze? — zapytał Teal.

— Nikt inny.

— Mamy pełne zeznania Elbermana. Czy wiesz, jaka kara grozi za posiadanie skradzionych diamentów?

— Wiem, jaka grozi za przyłapanie na posiadaniu skradzionych diamentów — stwierdził Święty ostrożnie.

— Czy wiesz, gdzie te diamenty są teraz?

Simon kiwnął głową.

— Są zaszyte w siedzenie spodni Perrigo.

— To dlatego chciałeś Perrigo?

Święty przechylił się przez reling.

— Claud — rzucił — jesteś cholernym głupcem.

Wzrok Teala stwardniał.

— Dlaczego?

— Bo grasz ze mną cholernie głupio. Znasz mnie. Czy kiedykolwiek byłem zamieszany w umyślne morderstwo?

— Wiem, że bywałeś zamieszany w różne ciemne sprawy.

— Nigdy nie byłem zamieszany w nic równie piekielnego. Wiesz o tym, ale doprowadziłeś się do takiego stanu, że gotów jesteś uwierzyć we wszystko, co zechcesz. To obłąd. Pies zjadający psa. Pokonuję cię w czymś i się wściekasz. Wtedy muszę cię podrażnić. Im bardziej cię drażnię, tym bardziej szalejesz. Im bardziej szalejesz, tym mocniej muszę cię dręczyć. Doszło do tego, iż nic nie jest

dla nas zbyt złe, byleby dokuczyć drugiemu. — Święty uśmiechnął się. — Cóż, biorę krótkie wakacje,

a zatem daję ci przerwę.

Teal uniósł ramiona do nieba, ale zamilkł na chwilę. Święty położył papierosa na paznokciu kciuka i cisnął go daleko.

— Pozwól mi pomyśleć za ciebie — powiedział. — Ostatnio myślenie za innych wychodzi mi doskonale... Przez całą noc zastanawiałeś się nad moimi słowami. Rano sprawdziłeś, że nie blefowałem. Wiesz, że pozostaje ci tylko jedno. Sumienie nie pozwoli ci zapomnieć o moich postępkach. Musisz stawić czoła: aresztować mnie i czekać na koncert. Musisz pozostać sobą, choćby

miało cię to złamać. Wiem, co czujesz. Podziwiam cię za to, ale nie zamierzam dopuścić do takiego końca.

— Nie?

— Nie w tych spodniach — powiedział Święty. — Dlaczego miałbym to zrobić? Dostajesz Perrigo, a ja chcę trochę odpocząć. A tu masz prezent–niespodziankę. Zajmij się nim, a może przed końcem roku awansujesz.

Teal spojrział na notes, wciśnięty mu przez Świętego, i przejrzał go uważnie.

Potem znów spojrział na Świętego. Jego twarz była nadal tak nieruchoma jak rzeźba na nagrobku, lecz oczy odrobinę odtajały. Gdy uniósł wzrok, Święty śmiał się swoim niezmiennym, bezgłośnym, zuchwałym śmiechem Świętego. W jego oczach tańczyły niebieskie diabełki.

— Claud, gram według moich reguł — powiedział Templar — Nie zapominaj o tym. Ta głęboka

filozofia obejmuje nawet najbardziej szalone czyny. Dzięki niej, jako jedyny człowiek w tym wyblakłym wieku, cieszę się każdą minutą życia. A — po raz ostatni w tym opowiadaniu Świętego palec wskazujący trafił wesoło i zuchwale w swój cel — jeśli któregoś dnia weźmiesz stronę z mojej książki, to nigdy nie zabraknie ci radości i zabawy.

Potem Simon odszedł. Wycofał się po swojemu, z uśmiechem Świętego i klepieniem detektywa po ramieniu. Teal obserwował go bez słowa.

Patrycja czekała na Simona trochę dalej. Razem zeszli po trapie i ruszyli nabrzeżem. Święty zatrzymał się za narożnikiem magazynu i spojrzał na nią spokojnie, opierając się jedną ręką o ścianę.

Dziewczyna wiedziała, co oznacza to milczenie. Dla niego klamka zapadła i gotów był do zapłacenia rachunku gotówką. Drugą rękę trzymał w kieszeni, a uśmiech nie schodził mu z warg.

Jednak tylko na tę jedną chwilę pożegnał czyste pola lekkomyślnych przygód, rozumiejąc czym jest spłata rachunku, przyglądał się leżącej przed nim drodze oczami, które nigdy niczego się nie bały. Był

gotów rozpocząć podróż.

Patrycja uśmiechnęła się. Nigdy nie kochała go bardziej niż w tej chwili, lecz w jej uśmiechu nie było niczego poza radością. Odpowiedziała, nim zdążył się odezwać.

— Chłopcze, jestem taka szczęśliwa. Stał bez ruchu.

— Nic nie mów, Simonie! Nie chcę. Czyż i tak nie mamy wszystkiego, co nam potrzeba? Czyż życie nie jest wspaniałe? Czyż nie czekają nas nowe przygody i... i...

— Radości i zabawy?

— Tak! Po cóż to psuć? Nie będę cię słuchała. Jeśli nawet ta przygoda nam nie wyszła...

Roześmiał się nagle. Oparł dłonie na biodrach. Czekająca na ten śmiech. Zrobiła wszystko, by go przywołać. W jego oczach ujrzała ponownie błyski dawnej radości. Była szczęśliwa.

— Pat, naprawdę tego chcesz?

— Tylko tego.

— Nie rezygnować z walk i zabawy? Szaleć po całym świecie, robić wszystko, co jest całkowicie i cudownie zwariowane i brawurowe, ryzykować, śpiewać, pokazywać tym wszystkim zasuszonym psiskom, czym może być życie, nie dbać o nikogo, rabować bogatych, dawać biednym, prześladować nadętych, zabijać smoki, podstawiać nogi policjantom?

— Jestem na to gotowa! Złapał ją za rękę.

— Na pewno?

— Całkowicie.

— Bez najmniejszych wahań?

— Żadnych.

— No to możemy zacząć od razu. Spojrzała na niego.

— Co masz na myśli?

Święty rozluźnił pasek i pokazał na dół. Nawet wtedy nie zrozumiała.

— Pamiętasz, jak znalazłem Bertiego? Chował się w kufrze Lovedew. Mieliśmy krótką ale wesołą bójkę. Potem wszedł do środka. Podczas tego zamieszania, krzyków i ogólnego poruszenia Bertiemu trafił się jeden z najsoczystszych nokautów, jakie wykonałem...

Przerwał, a dziewczyna odwróciła się ze zdumieniem.

*Z Berengarii* dobiegł ich dziki, szalony wrzask rozwścieczonego wielbłąda padającego pod ostatnią słomką, która przechyliła szalę.

Patrycja odwróciła się ponownie z zakłopotaną miną.

— Cóż to było? — zapytała.

Święty uśmiechnął się anielsko.

— Był to śmiertelny krzyk starej Pryszczatki. Właśnie otworzyli jej kufer i znaleźli Bertiego. Bez spodni. Możemy teraz rozpocząć naszą podróż — powiedział Święty.